2/2019

Nowa Europa Wschodnia

www.new.org.pl Dwumiesięcznik marzec–kwiecień 2 (64) / 2019 ISSN 1899-5543 Indeks 245534 Cena 19,90 zł (w tym 5% VAT)

ROSJA VS EUROPA

Andrew Wilson

Warszawa–Kijów: kryzys i nowi aktorzy

Ołena Betlij

Pięć lat Poroszenki

Piotr Andrusieczko

Adam Balcer

Adamowicz. Gdańsk i Wschód

Włodzimierz Mędrzecki

Kresy jako przepustka do wielkości

ISSN 1899-5543 03
9 771899 554196

eprasa.pl 4e2336049b

REKLAMA

Paweł Kowal

TESTAMENT PROMETEUSZA

ŹRÓDŁA POLITYKI WSCHODNIEJ III RZECZYPOSPOLITEJ

Do kupienia w sklepie internetowym
kew.org.pl
i najlepszych polskich księgarniach

Kolegium Europy Wschodniej im. Jana Nowaka - Jeziorańskiego we Wrocławiu

Instytut Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk

Nowa Europa Wschodnia

New Eastern Europe

eprasa.pl 4e2336049b

Nowa Europa Wschodnia

eprasa.pl 4e2336049b

eprasa.pl 4e2336049b

Mariusz Makowski

W młodości siła

Zmęczenie, znużenie, poczucie powtarzalności – to uczucia najczęściej towarzyszące specjalistom zajmującym się regionem Europy Wschodniej. Wciąż słyszymy te same hasła, myślimy tymi samymi utartymi schematami: Rosja to Putin, Białoruś to Łukaszenka, Ukraina to polityczna zawierucha, Kaukaz – oddalony i pogrążony w autorytaryzmie. Każdy z tych sądów ma w sobie wiele prawdy, ale ten numer „Nowej Europy Wschodniej" pozwala spojrzeć na region trochę inaczej.

Jadwiga Rogoża pisze o działalności Teatru.doc – pokazuje, jak mimo sprzeciwu władz i niesprzyjającej atmosfery politycznej powstała oddolna inicjatywa artystyczna, która przetrwała już niejedną zawieruchę. Teatr.doc jest symbolem obywatelskiego sprzeciwu, swobody twórczej i nie jest jedynym takim zjawiskiem w Rosji. Rosjanie także potrafią organizować się „oddolnie". Ukraina pogrążona jest w wojnie i chaosie, można utyskiwać, że reformy i przemiany nie następują tak szybko, jak oczekiwaliśmy. Jednak – jak pisze Piotr Andrusieczko w tekście podsumowującym pięcioletnie rządy Petra Poroszenki – Ukraina obroniła swoją suwerenność. Złe wiadomości rozchodzą się najszybciej i najchętniej je powtarzamy, ale popatrzmy, ile dobrego stało się w ostatnim czasie na Ukrainie (reforma armii, otrzymanie tomosu itp.). Największym zaskoczeniem może wydawać się Kaukaz. Kto spodziewałby się kilka lat temu rewolucji w Armenii? Kto wróżył odsunięcie polityków ze starego układu, których analitycy nazywali „niezatapialnymi". Kolejny raz okazuje się, że Europa Wschodnia jest nie tylko nużąca, ale też zaskakująca, i że wpływ na wydarzenia w jej poszczególnych krajach ma nie tylko skostniała nomenklatura, ale także obywatele. A co najbardziej pocieszające (o tym w tekście Wojciecha Góreckiego), na obszarze poradzieckim powoli dochodzi do głosu pokolenie nowych obywateli, ludzi urodzonych po 1991 roku. Oni już nie wzdychają z sentymentem za Sojuzem i chcą czegoś więcej niż „byleby nie było wojny".

Małgorzata Nocuń

eprasa.pl 4e2336049b

Spis treści

Rozmowa numeru

Rozmowa z Andrew Wilsonem **Granice myślenia geopolitycznego** 7

In memoriam: Paweł Adamowicz

Adam Balcer **Gdańsk: na styku Północy ze Wschodem** 17

Publicystyka

Piotr Andrusieczko **Pierwsza pięciolatka?** 27
Mirosław Skórka **Postęp przez powrót** 36
Rozmowa z Grzegorzem Motyką **Dla arcybiskupa Szeptyckiego wierność Rzymowi zawsze stała na pierwszym miejscu** 45
Ołena Betlij **Zmarnowana pięciolatka** 52
Kamil Kłysiński **Aneksja w świetle prawa** 60
Rozmowa z Andrejem Lachowyczem **Powtórka z rozrywki** 67
Ewa Polak **Między Trzecią a Czwartą Republiką Armenii** 76
Wojciech Górecki **Rok 2018 na Kaukazie Południowym. To przyszła młodość** ... 82
Anna Głąb **Śmieci w wielkim mieście** 90
Dominik Wilczewski **Bat na czwartą władzę** 101

Spory – polemiki

Leszek Szerepka **SZEREPKA versus SIKORSKI** 108
Mateusz Kubiak **Uśpiony analityk czy nieuważny krytyk?** 111

Rozmowa

Rozmowa z Włodzimierzem Mędrzeckim **Nasza legitymacja wielkości** 114

Historia

Marta Panas-Goworska, Andrzej Goworski **Aleksander Czekanowski – legenda Syberii** 123

eprasa.pl 4e2336049b

Reportaż

Magdalena Chodownik **SOS słane donikąd** 131
Ewelina Szeratics **Halo? Tu kosmos?** 144

Kultura

Jadwiga Rogoża **Teatr na barykadach** 150

Recenzje

Aneta Strzemżalska **Wojną narysowana** 161
O książce Poliny Żerebcowej *Mrówka w słoiku. Dzienniki czeczeńskie 1994–2004*
Piotr Bajor **Pesymistyczna wizja czy rzeczywistość?** 163
O książce Juliusza Ćwielucha i Mirosława Różańskiego *Dlaczego przegramy wojnę z Rosją*
Martyna Słowik **Studium obezwładnionych obsesji** 165
O książce Juliusza Strachoty *Turysta polski w ZSRR*
Wojciech Wojtasiewicz **Tanie podróżowanie, tanie pisanie** 167
O książce Stephana Ortha *Couchsurfing w Rosji. W poszukiwaniu rosyjskiej duszy*
Piotr Oleksy **Miejsce po archipelagu** 169
O książce Siergieja Lebiediewa *Granica zapomnienia*
Maciej Robert **Tajemnicza obecność** 171
O książce Julii Wizowskiej i Grzegorza Szymanika *Długi taniec za kurtyną. Pół wieku Armii Radzieckiej w Polsce*
Zbigniew Rokita **Ostatni Jakuci** 174
O filmie *Ága* Milki Lazarowa

eprasa.pl 4e2336049b

Nowa Europa Wschodnia
Dwumiesięcznik

Wydanie zostało dofinansowane przez
MIASTO WROCŁAW

www.wroclaw.pl

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania. Redakcja ceni sobie swobodę wypowiedzi i różnorodność opinii, dlatego teksty publikowane w „Nowej Europie Wschodniej" nie muszą być zgodne z poglądami Wydawcy ani Redakcji. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych bez zgody Wydawcy jest zabronione. Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść zamieszczanych materiałów promocyjnych.

REDAKCJA
Andrzej Brzeziecki (redaktor naczelny),
Sonia Knapczyk, Małgorzata Nocuń
(zastępca redaktora naczelnego),
Krzysztof Popek, Sławomir Popowski,
Zbigniew Rokita, Wojciech Wojtasiewicz,
Kamila Zimnicka (korekta)

WSPÓŁPRACUJĄ
Piotr Andrusieczko, Adam Balcer, Kuba Benedyczak, Jan Brodowski, Kamil Całus, Maciej Falkowski, Wojciech Górecki, Iwona Kaliszewska, Piotr Kępiński, Wojciech Konończuk, Bohdana Kostiuk, Kamil Kłysiński, Tomasz Kułakowski, Grzegorz Nurek, Piotr Oleksy, Piotr Pogorzelski, Witalij Portnikow, Jadwiga Rogoża, Ziemowit Szczerek, Andrzej Szeptycki, Marcin Wojciechowski, Andrzej Zaręba (rysunki)

PRENUMERATA
prenumerata@new.org.pl
Informacja o prenumeracie:
www.new.org.pl

WINIETA I PROJEKT GRAFICZNY
Piotr Grzyb

SKŁAD, ŁAMANIE I OKŁADKA
Małgorzata Chyc | AT Wydawnictwo

ADRES REDAKCJI I WYDAWCY
Kolegium Europy Wschodniej
im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego
we Wrocławiu
Zamek Wojnowice,
ul. Zamkowa 2, 55-330 Wojnowice
tel. +48 71 341 71 97
e-mail: office@kew.org.pl
www.kew.org.pl
Prezes Zarządu: Jan Andrzej Dąbrowski

„Nowa Europa Wschodnia"
ul. Szlak 26/12A
30-001 Kraków
redakcja@new.org.pl
www.new.org.pl

ISSN: 1899-5543
ISSN: 2084-3992 (online)
Cena 19,90 zł (w tym 5% VAT)
Nakład 2400 egz.
Druk: Media Studio Reklamy Drukarnia,
Aleja Kołłątaja 73, Będzin 42-500

eprasa.pl 4e2336049b

Granice myślenia geopolitycznego

Z Andrew Wilsonem, profesorem ukrainistyki University College London, rozmawia Adam Reichardt

ADAM REICHARDT: Wielokrotnie zwracałeś uwagę na koncepcję ładu półtorabiegunowego sformułowaną przez rosyjskiego intelektualistę Wadima Cymburskiego, która – jak dowodzisz – jest kluczem do zrozumienia rosyjskiej geopolityki oraz stoi w opozycji do bardziej klasycznego modelu amerykańskiego ładu jednobiegunowego po rozpadzie Związku Sowieckiego. Według Cymburskiego, ład półtorabiegunowy zakłada istnienie regionalnych hegemonów, którzy kontrolują swoich sąsiadów. Cymburski zmarł dokładnie dekadę temu – od tego czasu sporo się zmieniło. Wiele wydarzeń mogło nawet wskazywać, że doktryna ta wciąż jest żywa i ma się dobrze w rosyjskiej propagandzie. Czy zgadzasz się z tym stanowiskiem?

ANDREW WILSON: Rozmowa o Cymburskim zawsze jest ciekawa. Za życia był on bardziej popularnym intelektualistą rosyjskim niż Aleksandr Dugin – nawet jeśli częściej słyszeliśmy o Duginie. Posługiwanie się modelem systemu geopolitycznego sprawia, że *per ipsum* geopolityka staje się ważnym czynnikiem. Rosja myśli właśnie w ten sposób. Rosja kocha słowo „geopolityka". Tymczasem Unia Europejska nie myśli w kategoriach geopolitycznych. Nie tylko przeszliśmy od ładu jednobiegunowego do nowego porządku świata – przepaść dzieli nas w praktycznie każdym aspekcie. Idealny model Cymburskiego powinien być receptą na stabilność: świat podzielony na niezależne regiony, skoncentrowane wokół kluczowych biegunów. Rosja miałaby własną strefę wpływów i wprowadzałaby w niej swój porządek. W ten sposób zostałaby ustanowiona równowaga między rosyjskim regionem a innymi częściami świata, z założeniem, że satelity wokół bieguna rosyjskiego byłyby w pełni szczęśliwe w tym układzie…

To zawsze była błędna wizja, a tym bardziej nie był to sposób na stabilność. Rosja została pchnięta w tym kierunku – miało to bardzo destabilizujące skutki. Nie istnieje żaden współczesny globalny odpowiednik

eprasa.pl 4e2336049b

dziewiętnastowiecznego koncertu mocarstw, pilnującego ładu. Ład, w którym żyjemy, najpewniej moglibyśmy określić jako postjednobiegunowy, na pewno nie jest to ład wielobiegunowy lub półtorabiegunowy.

Wspomniałeś, że Unia Europejska nie myśli w kategoriach geopolityki, podczas gdy Rosja – tak. Czy powiedziałbyś, że jest to jedna z przyczyn konfliktów i niestabilności obszaru posowieckiego?

Próba opisania Unii Europejskiej, która jest złożona z dwudziestu ośmiu państw, zawsze będzie stanowić wyzwanie. W istocie jest to imperium prawa i regulacji. Unia wierzy w jednolitość tego modelu – w jego granicach i poza nimi. Jako całość Europa oferuje eksport *acquis communautaire*, tymczasem Rosja myśli geopolitycznie. Jednak są pewne kraje unijne, które dostosowują się do myślenia geopolitycznego, co następuje od 2008 lub 2014 roku, głównie w Europie Wschodniej, ale nie tylko.

Na przykład jednym z kluczy do zrozumienia Brexitu jest uświadomienie sobie, że mamy do czynienia z geopolityczną fantazją. Nawet BBC mówi o tym, jak Wielka Brytania „negocjuje z Europą", gdy jest to całkowicie fałszywe spojrzenie. Współpraca europejska jest faktem, Wielka Brytania musi zdecydować o swoim miejscu w tym układzie i wtedy Unia mogłaby stworzyć tę przestrzeń. Zwolennicy Brexitu myślą, że uciekną od tego dzięki geopolityce, jednak nic nie wskazuje na to, żeby mogło im się udać. Rosja nie jest jedynym państwem starającym się rozbić Unię swoim geopolitycznym myśleniem.

Pozostając przy temacie Brexitu: jeśli dojdzie do wyjścia Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej, jakie będą tego geopolityczne skutki dla regionu?

Proces ten nie mógł być gorzej przeprowadzany przez stronę brytyjską, pokazuje on także, że fantazja o *quasi*-imperialnym odrodzeniu nie dała w ogóle Wielkiej Brytanii silnej pozycji w realizacji swoich celów…

Czy jest jakikolwiek bezpośredni wpływ Brexitu na obszar poradziecki? Jako osoba, która jest zarówno Brytyjczykiem, jak i ekspertem od spraw Europy Wschodniej, jestem ciekawy, czy widzisz jakieś zależności…

Nie ma wątpliwości, że w polityce zagranicznej jest to katastrofa na wielką skalę. Banałem będzie stwierdzenie, że Wielka Brytania porwała się z motyką na słońce. Po Brexicie będziemy z pewnością graczem mniejszej wagi. W Europie Wschodniej brytyjska polityka zagraniczna była częścią polityki europejskiej, która prowadzona przez blok dwudziestu ośmiu państw miała wielkie wpływy w takich krajach jak Ukraina czy Mołdawia. Powiedziałbym,

eprasa.pl 4e2336049b

że w praktyce można było wskazać na siedem bądź osiem krajów Unii, które faktycznie interesowały się Europą Wschodnią. Unia jest skutecznym graczem zespołowym. Wielka Brytania mogła odgrywać pewną rolę w Europie Wschodniej jako jedno z tych ośmiu państw.

Brexit przysporzy Wielkiej Brytanii tak wielu problemów – w zakresie handlu czy gospodarki – że takie regiony jak Europa Wschodnia znajdą się niestety na marginesie brytyjskiej polityki zagranicznej. Pozytywnym następstwem może być to, że będziemy mieli nieco więcej wolności w zakresie kształtowania takiej polityki, jaką chcemy, na przykład w zakresie cyberbezpieczeństwa. Aby pozostać widoczni w regionie, myślę, że musielibyśmy działać równolegle z Partnerstwem Wschodnim, a nawet je finansować.

Negatywnym następstwem będzie również aktywność rosyjskiej propagandy, która już przedstawia sytuację Wielkiej Brytanii jako źródło problemów. A wiadomo, że rosyjska propaganda działa na zasadzie łączenia sprzecznych informacji prowadzących do konfliktu. Dlatego Rosjanie wspierali Brexit w Wielkiej Brytanii, a w Europie podkreślali jego negatywne strony. Proces ten może być także prezentowany jako zapowiedź osłabienia Partnerstwa Wschodniego. Z tym wszystkim Wielka Brytania będzie musiała sobie jakoś poradzić.

Tak jak Europa...

Dokładnie. W starej Unii Europejskiej rosyjska propaganda będzie skupiała się na tym, jak Brexit jest niszczący, a oczywiście jest. Zakładam, że w Europie Wschodniej będzie rozpowszechniana informacja, że takie kraje jak Wielka Brytania nie interesują się już w ogóle Europą.

I że pojawia się przestrzeń dla innych graczy. Na przykład na Białorusi mamy do czynienia ze sporym entuzjazmem związanym z tym, że Chiny mogą stanowić dodatkową równowagę wobec Rosji...

Wracamy do wizji geopolitycznej Cymburskiego. Myślę, że był on dosyć staromodny w pewnym aspekcie, rozumował wciąż w kategoriach tradycyjnej geografii – naturalną sferą wpływów Rosji ma być jej bezpośrednie sąsiedztwo. Tymczasem żyjemy w świecie geografii postmodernistycznej. Rola Chin w Europie Wschodniej jest w większości determinowana przez inicjatywę „Jeden pas i jedna droga", która jedynie pozornie może być postrzegana jako anachroniczny projekt geograficzny. Bliskość geograficzna jest tylko jednym z wielu czynników, który wpływa na politykę zagraniczną. Dlatego koncepcja, że Białoruś może polegać na Chinach, ma sens w świecie geografii postmodernistycznej.

W kontekście „Jednego pasa i jednej drogi" Białoruś nie jest stacją

eprasa.pl 4e2336049b

Archiwum prywatne

Andrew Wilson: Spodziewałbym się rosyjskiej ingerencji w wybory do Parlamentu Europejskiego i próby strategicznego podważenia samej idei wyborów jako legalnego procesu. W wyborach europejskich Rosja będzie wspierała skrajnie lewicowe i skrajnie prawicowe ugrupowania, każdą niszczącą siłę, którą znajdzie.

końcową – są nią Niemcy i reszta Europy. Niemniej, Białoruś stała się ważnym przystankiem na tej trasie. Coraz częściej możemy usłyszeć język chiński na lotnisku w Mińsku. Nieopodal znajduje się duży chińsko-białoruski park biznesowy. Kraje takie jak Białoruś myślą, że Chiny to nowe możliwości. Chiny nie narzucają zasad i regulacji takich jak Unia Europejska. Także nie składają ofert nie do odrzucenia, jak Rosja. Jednak nie jest z nimi łatwiej. Chiny są zainteresowane przede wszystkim dobrymi ofertami dla chińskich firm. W efekcie stosunki między Białorusią a Chinami nie rozkwitły tak, jak liczył na to Aleksander Łukaszenka kilka lat temu. Z pewnością relacje te poszerzają wachlarz możliwości, których obecnie Łukaszenka potrzebuje w związku z pogarszającymi się stosunkami z Rosją. Próba zwiększenia liczby kierunków polityki zagranicznej Mińska zakończyła się jedynie częściowym sukcesem, nie wyczerpano jednak wszystkich możliwości.

Władze w Mińsku wyrażają pewien niepokój związany z prawdopodobieństwem realizacji scenariusza krymskiego na Białorusi, jeśli nie ulegną żądaniom Kremla. Czy jest to realne w twojej opinii?

I znów kłania się Cymburski… jego wizja świata, z regionami i biegunami, stawiała te bieguny w centrum. Patrzył on na dany region przez pryzmat domniemanego bieguna i jego interesów. Jednak to nie oznaczało koniecznie stałych formuł relacji między biegunem a jego satelitami. W praktyce Rosja nie zachowuje się tak, jak dobry przykład bieguna. Jest zbyt wymagająca wobec wszystkich swoich klientów lub przyjaciół. Relacje z Wiktorem Janukowyczem nigdy nie ułożyły się poprawnie na dłuższą metę. Stosunki z nowym prezydentem Ukrainy w kraju, który znacząco zmienił się od 2014 roku, nie będą tym, czego Rosja by się spodziewała. A od Łukaszenki Kreml nie tylko wymaga lojalności, której przywódca Białorusi nigdy nie będzie mógł okazać, ale i przez ostatnie pięć lat zupełnie zredefiniowała to pojęcie.

Balans jest błędnym słowem wyrażającym relacje między Rosją a Białorusią. Łukaszenka nie stoi po środku metaforycznej deski, balansując między Rosją a Zachodem. Głównym partnerem Mińska jest Rosja. Białoruś potrzebuje suwerenności i umiejętności manewrowania, aby targować się w tym związku. Rosja wydaje się obecnie dążyć do związania Łukaszenki w ten sposób, żeby nie miał żadnej innej opcji. Kreml jest sfrustrowany Białorusią, a Białoruś chce zachować swoją swobodę manewru.

Czy Kreml rozważałby zastosowanie środków militarnych do zmuszenia Łukaszenki do bardziej uległej postawy?

eprasa.pl 4e2336049b

Przede wszystkim spodziewam się wykorzystania nacisków ekonomicznych. Białoruś zawsze była zależna od rosyjskich subsydiów – jest to powszechnie znany fakt – i znajduje się w tej pułapce z opóźnionym zapłonem od niemal dekady. Rosyjski kurek wywierania presji ekonomicznej jest silnym narzędziem. Widzieliśmy to już w „ultimatum Miedwiediewa" z grudnia 2018 roku, które miało zmusić Mińsk do zacieśnienia relacji w ramach Związku Rosji i Białorusi. Nie dojdzie w tym przypadku do scenariusza krymskiego, gdyż nie mamy tu Krymu. Nie ma tego typu enklaw na Białorusi. Nie mamy żadnego ekwiwalentu dla rosyjskiej floty czarnomorskiej. Nie ma tu także otwartych tylnych drzwi, których funkcję na Ukrainie pełnił układ charkowski z 2010 roku, na mocy którego Wiktor Janukowycz pozwolił rosyjskim służbom bezpieczeństwa włóczyć się po całym Krymie i każdym innym rejonie Ukrainy. Białoruskie KGB od lat współpracuje z rosyjskim FSB i jest to słabość w zakresie bezpieczeństwa. Także Cerkiew Prawosławna może odegrać rolę rosyjskiej piątej kolumny na Białorusi. Istnieją więc możliwości wywierania presji za pośrednictwem działań hybrydowych. Jednak spodziewam się w pierwszej kolejności ekonomicznych nacisków, które są najbardziej efektywne. Polityka Kremla zależy też od tego, czy Rosja otrzyma to, co chce. Jeśli tak się nie stanie, może spróbować innych środków.

Chciałbym wrócić do koncepcji, o której wspominałeś wcześniej – geografii postmodernistycznej. Kiedy myślę o geopolityce, mam wrażenie, że wróciliśmy do XIX wieku, kiedy regionalne mocarstwa starały się ustanowić swoje strefy wpływów i utrzymać równowagę względem innych mocarstw. Możemy z pewnością patrzeć w ten sposób na Rosję, może także na Turcję. Co dokładnie rozumiesz przez ten termin?

W XIX wieku, kiedy mieliśmy do czynienia z koncepcją koncertu mocarstw i wielości sił, system geopolityczny był rozumiany w kategoriach geograficznych (nawet jeśli termin „geopolityka" został sformułowany na przełomie stulecia). Oczywiście, czynniki geograficzne wciąż są istotne dla polityki zagranicznej. Jednak w dzisiejszym globalizującym się świecie nie patrzyłbym na stosunki międzynarodowe w kategoriach dziewiętnastowiecznych. Oczywiście, pozwala to uwydatniać pewne tendencje, takie jak rosyjska obsesja na punkcie kontroli i gotowość do korzystania z twardych środków. Jednak siła Rosji zależy też od technologii i destrukcyjnej roli, jaką może ona odgrywać w realizacji celów.

Twoim zdaniem więc koncepcja geografii postmodernistycznej jest związana z sytuacją, w której przestrzeń informacyjna jest kluczowym obszarem interakcji, nato-

eprasa.pl 4e2336049b

miast przestrzeń fizyczna staje się coraz mniej znacząca?

Dokładnie. Prędkość także ma tu znaczenie.

Jednak jeśli spojrzymy na takie kraje jak Chiny, a także w pewnym stopniu Rosję, zauważymy, że państwa te starają się kontrolować swoją wewnętrzną przestrzeń informacyjną – zasadniczo tworząc ograniczenia w tej sferze...

Tak, ale Rosja jest pod tym względem daleko za Chinami. Nie posiada tego typu infrastruktury na miejscu. Na pewno, po protestach opozycji w Rosji w 2011 roku widzieliśmy, jak Kreml nakłada ograniczenia i udoskonala wykorzystywanie w kraju trolli internetowych, które potem były angażowane w działania poza Rosją. Był to jednak alternatywny sposób na zapewnienie kontroli bez blokowania dostępu do internetu i narzucenia chińskiego modelu kontroli.

Czy myślisz, że wyciągnęliśmy lekcję z kampanii dezinformacyjnych, szczególnie po wyborach w USA? Czy powinniśmy spodziewać się ingerencji w majowe wybory do Parlamentu Europejskiego?

Istnieje obecnie wiele solidnych analiz naukowych dotyczących propagandy w mediach społecznościowych i jej specyfiki. Badacze wykorzystują zarówno *big data*, jak i informacje w mikroskali. Odpowiedź ze strony świata polityki nie musi być jednak przeprowadzana na obu tych poziomach. Reakcją polityczną jest myślenie o sposobach, w jaki te technologie są wykorzystywane przez lokalnych polityków, lokalne media, w warunkach lokalnych i tak dalej. Istnieje także poczucie, że rosyjska propaganda jest skuteczna w konkretnych warunkach, natomiast nie działa w innych. Na przykład w czasie wyborów prezydenckich we Francji stanowcza akcja państwa okazała się całkiem efektywna. Z drugiej strony, problem w Ameryce polegał na tym, że Rosja była w stanie działać wewnątrz i na wybranych obszarach. W USA istnieje pewien rodzaj niechęci do polityki, zwłaszcza po stronie republikanów: wobec całego świata astroturfingu, fałszywej i deklaratywnej polityki oraz ukrytych źródeł jej finansowania; Rosja zidentyfikowała te nastroje i uznała za łatwe do wykorzystania. Stąd ten problem jest w Ameryce strukturalny. Nie chodzi już tylko o media społecznościowe.

Wracając do Europy, niektóre kraje są bardziej skuteczne od innych w przeciwdziałaniu rosyjskiej dezinformacji.

Na pewno spodziewałbym się rosyjskiej ingerencji w czasie wyborów do Parlamentu Europejskiego. Nie tylko w ramach pojedynczego kraju, ale przez próbę strategicznego podważenia samej idei wyborów jako legalnego pro-

eprasa.pl 4e2336049b

cesu. W wyborach europejskich Rosja będzie wspierała skrajnie lewicowe i skrajnie prawicowe ugrupowania, każdą niszczącą siłę, którą znajdzie. Będzie także starała się rozpowszechniać wątpliwości dotyczące legalności i funkcjonowania demokracji w Europie. Będziemy to obserwować choćby na Ukrainie w tym roku…

Na pewno Ukraina jest ciekawym przypadkiem. Czego się spodziewasz? Z dzisiejszej perspektywy sprawa wydaje się całkowicie otwarta.

Zbieżna z wyborami europejskimi jest w tym przypadku kwestia legalności. Nie ma pewności, ilu Ukraińców ma prawo do głosowania, ilu Ukraińców znajduje się zagranicą. Głosy zagraniczne mogą okazać się decydujące, ale także wzbudzają kontrowersje. Wygląda to jak zaproszenie Rosjan do wywołania problemów.

Wyniki wiarygodnych badań opinii publicznej nie zmieniły się zasadniczo przez ostatnie sześć miesięcy. Julia Tymoszenko jest na prowadzeniu, ale nieznacznie – wciąż poniżej 20 procent. Petro Poroszenko nie ma zagwarantowanego drugiego miejsca, ale to nie jest jego cel. Mamy więc duże pole wyboru, jednak w praktyce brakuje możliwości realnego podejmowania decyzji i wyraźnych faworytów. Ktokolwiek wygra, niekoniecznie musi to zrobić w pierwszej turze i bez wyraźnej przewagi w drugiej. To jest właśnie wielka różnica w porównaniu z 2014 rokiem, kiedy Poroszenko wykorzystał nastroje społeczeństwa, wyraźnie zaniepokojonego wojną i opowiadającego się za szybkim procesem wyborczym. Wygrał w pierwszej turze ze znaczną przewagą.

Zupełnie przeciwna jest obecna sytuacja. Wybór jest dosyć przygnębiający – te same stare twarze. Przypadek Wołodomyra Zełenskiego jest nietypowy. Jest on albo ostatecznym absurdem polityki wirtualnej albo, jak niektórzy Ukraińcy by powiedzieli, logiczną odpowiedzią na system, w którym wszyscy politycy to błazny i głupcy. W ten sposób jest to najbardziej rzucający się w oczy aspekt wyborów. Niemniej jednak Ukraina jest zupełnie innym krajem niż pięć lat temu. Nikt nie będzie Janukowyczem 2.0.

Co oznaczałaby prezydentura Tymoszenko dla integracji europejskiej Ukrainy oraz relacji z Rosją?

Tymoszenko stara się odkryć samą siebie na nowo. W zakresie polityki zagranicznej stanowczo odrzuca zarzuty formułowane przez Poroszenkę o prorosyjskość. Wierzę, że zwycięzca wyborów prezydenckich nie może pójść w ślady Janukowycza, a nawet Leonida Kuczmy. Ukraina zmieniła się od 2014 roku. Spoty wyborcze Tymoszenko są jeszcze bardziej proeuropejskie niż Poroszenki

eprasa.pl 4e2336049b

i niż jego hasło wyborcze: „Idziemy naszą własną drogą". Jak zawsze, kwestie te zależą od charakteru każdego z kandydatów, ale także od ich środowisk. Problemem Tymoszenko jest to, że jako prezydent do wyborów parlamentarnych dysponowałaby bardzo niewielkim poparciem w parlamencie. Po wygranej może przyciągnąć do siebie ludzi, jednak zacznie z bardzo słabą bazą. Jeżeli się tak stanie, październikowe wybory byłyby znacznie ważniejsze dla prezydentury Tymoszenko niż Poroszenki.

Czy uważasz, że wygrana Tymoszenko dałaby jej impet przed wyborami październikowymi?

Na pewno. Ale ponownie z bardzo słabą bazą na start. Politycznie będzie to dla niej wielkie wyzwanie.

Innym państwem posowieckim, w którym dojdzie niebawem do wyborów, jest Mołdawia. Masz jakieś przemyślenia dotyczące kierunków, jakie może przyjąć mołdawska polityka?

Możemy posłużyć się przykładem Mołdawii, by wrócić do początku naszej rozmowy; ponieważ, jak w przypadku Brexitu, sytuacja w Mołdawii obrazuje limity ram geopolitycznych. Często słyszymy od Vlada Plahotniuca, że jest on jedynym gwarantem zachodniej orientacji Mołdawii. Słyszymy równie często od Igora Dodona, że jest jedynym gwarantem orientacji rosyjskiej. Jednak w praktyce wielu Mołdawian uważa, że ich kraj powinien stanowić kartel zachodnio-rosyjski. Rezolucja Parlamentu Unii Europejskiej z zeszłego roku użyła określenia „podbój państwa" w reakcji na anulowanie wyników wyborów na burmistrza Kiszyniowa. Kluczowe pytania nadchodzących wyborów będą dotyczyć tego, jak silne są poszczególne opcje w kraju oraz jak bardzo demokratyczne będą to wybory.

Profesor Andrew Wilson jest historykiem, publicystą i ekspertem do spraw Europy Wschodniej. Profesor ukrainistyki w University College London oraz analityk Europejskiej Rady Spraw Zagranicznych (ECFR). W Polsce ukazała się jego książka *Ukraińcy* (Warszawa 2004).

eprasa.pl 4e2336049b

FPP Group in the CoR (CC BY 2.0) commons.wikimedia.org

„Pamiętam, jak w latach 90. XX wieku uczyłem się od Niemców, Francuzów, Duńczyków oraz Holendrów. Teraz uważam za swój obowiązek przekazywać tę wiedzę na Wschód".

Paweł Adamowicz, „New Eastern Europe", nr 3–4/2016

Paweł Adamowicz (1965–2019). Działacz opozycji demokratycznej w PRL, wieloletni prezydent Gdańska, członek Rady Kolegium Europy Wschodniej – człowiek dialogu, wielki patriota.

O Gdańsku Pawła Adamowicza i jego związkach ze Wschodem czytaj na stronie 17.

eprasa.pl 4e23360495

Gdańsk: na styku Północy ze Wschodem

Adam Balcer

Choć położony na północy, Gdańsk jako port powstały u ujścia Wisły, europejskiej rzeki mającej jedno z największych dorzeczy na kontynencie, był przez wieki silnie powiązany także ze Wschodem. Dzisiaj to dziedzictwo stanowi fundament jego aktywnej polityki wschodniej.

Zabójstwo prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza sprawiło, że port nad Motławą znalazł się kolejny raz w swej historii na pierwszych stronach gazet całego świata. Gdańsk, pod rządami Pawła Adamowicza, jak mało które miasto w Unii Europejskiej prowadził samorządową politykę wschodnią skierowaną do krajów byłego Związku Radzieckiego. Tę politykę należy tłumaczyć biografią prezydenta Adamowicza, położeniem miasta, ale przede wszystkim jego historią – nie tylko najnowszą. Warto przypomnieć dziedzictwo historycznych związków Gdańska ze Wschodem, gdyż jest ono niewystarczająco znane, natomiast bez wiedzy o nim nie da się zrozumieć współczesnego gdańskiego zaangażowania na wschodnim kierunku.

Kresowy Gdańsk

Rok 1945 był przełomową datą w najnowszej historii Gdańska. Olbrzymia większość jego mieszkańców uciekła, została wypędzona lub zginęła w trakcie walk o miasto. W rezultacie zmieniła się radykalnie struktura etniczna miasta – przestało być niemieckie i stało się polskie. Wśród dziesiątków tysięcy Polaków – nowych gdańszczan – byli liczni uchodźcy ze wschodnich terenów II RP, szczególnie z Wileńszczyzny i zachodniej Białorusi oraz w mniejszym stopniu z Galicji Wschodniej. Symbolem tego dziedzictwa są święte obrazy z Kresów w gdańskich świątyniach. W Gdańsku znajduje się na przykład obraz Matki Bożej Łaskawej, będący repliką Matki Boskiej Jasnogórskiej, który trafił tu z kościoła ormiańskiego w Stanisławowie.

Jednym z najbardziej znanych pomników w Gdańsku jest monument Jana III Sobieskiego, który przez ponad pięćdziesiąt lat stał we Lwowie. Był dziełem lwowskiego rzeźbiarza Tadeusza Barącza, wywodzącego się ze starej ormiańskiej rodziny. Sobieski urodzony w Olesku koło Lwowa, bardzo często przebywający w Żółkwi

eprasa.pl 4e2336049b

(koligacja z Żółkiewskimi), posiadający kamienicę królewską we Lwowie i często odwiedzający to miasto jest przedstawiony w żupanie i kontuszu. We Lwowie postać króla była zwrócona twarzą na południowy wschód, skąd najczęściej nadchodziło niebezpieczeństwo dla Lwowa (Osmanowie, Tatarzy, Kozacy, Mołdawianie). W Gdańsku pomnik stał się w latach osiemdziesiątych XX wieku miejscem demonstracji „Solidarności", w których brał udział młody Paweł Adamowicz. W przeddzień pogrzebu prezydenta kondukt żałobny zatrzymał się przy pomniku Sobieskiego. Polacy z Kresów są do dzisiaj nadreprezentowani w elitach miasta. Warto przypomnieć, że rodzice Pawła Adamowicza pochodzą z Wilna. Jego pozytywny i pryncypialny stosunek do przyjmowania uchodźców spoza Europy przez Polskę – za który był brutalnie atakowany przez partię rządzącą i związane z nią media – należy wiązać z rodzinnym doświadczeniem wypędzenia z małej ojczyzny, ale także chrześcijańskim światopoglądem otwartym na inne religie.

Pryncypialny stosunek Pawła Adamowicza do przyjmowania uchodźców spoza Europy należy wiązać z rodzinnym doświadczeniem wypędzenia z małej ojczyzny, ale także chrześcijańskim światopoglądem.

Tatarzy pomorscy

Wśród polskich uchodźców z byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego, którzy trafili do Gdańska, byli też Tatarzy. Nie przypadkiem w 1990 roku w Gdańsku został otwarty jedyny w Polsce duży meczet z wysokim minaretem. Świątynia nosi imię Dżamala ad-Dina Al-Afganiego, reformatora muzułmańskiego żyjącego na przełomie XIX i XX wieku. Tatarzy intencjonalnie wybrali go na patrona meczetu w Gdańsku. Dżamal urodzony w Afganistanie mieszkał przez pewien czas na Kaukazie i w Azji Centralnej, odwiedzając także Petersburg i Moskwę. Miał wielki wpływ na upowszechnienie idei jedności muzułmanów oraz ich modernizacji wśród elit muzułmańskich carskiej Rosji. Paweł Adamowicz był jedynym prezydentem polskiego miasta, który odwiedził meczet w trakcie ramadanu i wziął udział razem z wiernymi w iftarze, kolacji spożywanej każdego dnia postu po zapadnięciu zmroku. Dlatego nie powinien dziwić fakt, że podczas mszy pogrzebowej modlitwę za duszę zamordowanego prezydenta odmówił także w języku arabskim imam.

W 2007 roku Tatarzy powołali w Gdańsku Narodowe Centrum Kultury Tatarów Rzeczypospolitej Polskiej im. Leona Mirzy Kryczyńskiego. Patron instytucji był wybitnym przedstawicielem społeczności tatarskiej zaangażowanym w okresie międzywojennym w ruch prometejski, walczący o wyzwolenie narodów spod władzy

eprasa.pl 4e2336049b

bolszewickiej Rosji. Kryczyński był w latach 1918–1920 szefem gabinetu premiera Krymu i następnie Azerbejdżanu. Był związany z Pomorzem jako wiceprezes sądu okręgowego w Gdyni. Znalazł się wśród najwybitniejszych Polaków rozstrzelanych przez Niemców w masowych egzekucjach nad Piaśnicą (pomorski Katyń) w 1939 roku, gdzie kilka lat temu zbudowano jego pomnik. Narodowe Centrum przyznaje Medal Chana Dżelal Ed Dina. Ten chan dowodził Tatarami walczącymi po stronie litewsko-polskiej podczas bitwy pod Grunwaldem w 1410 roku. Był synem Tochtamysza, jednego z najwybitniejszych chanów Złotej Ordy i sojusznika wielkiego księcia Litwy Witolda. Dżelal Ed Din na krótko przy wsparciu Litwy opanował tron Wielki Ordy istniejącej na stepach południowej Rosji.

W 2010 roku z inicjatywy Narodowego Centrum powstał w Gdańsku pomnik Tatara Rzeczpospolitej przedstawiający ułana tatarskiego szwadronu 13 pułku Wileńskiej Brygady Kawalerii z II RP. Na cokole umieszczono napis „Z buńczukiem za Polskę". W uroczystości jego odsłonięcia wzięli udział prezydent RP Bronisław Komorowski, prezydent Paweł Adamowicz oraz Mustafa Dżemiliew, lider Tatarów krymskich i poseł Rady Najwyższej Ukrainy.

Jest to jedyny pomnik Tatarów w Europie.

Partnerzy, turyści i imigranci

Po 1945 roku całkowicie zmieniło się sąsiedztwo Gdańska. Królewiec, miasto przez wieki bardzo bliskie Gdańskowi, zmienił nazwę na Kaliningrad i wszedł w skład radzieckiej Rosji. Po 1989 roku te zmiany spowodowały, że Gdańsk mógł i musiał znacznie bardziej „przesunąć" się na Wschód. Po 1989 roku Gdańsk ustanowił partnerskie relacje oraz stałą współpracę z licznymi miastami byłego Związku Radzieckiego (Astana, Kaliningrad, Odessa, Omsk, Połock, Sankt Petersburg, Wilno). Gdańsk zorganizował setki konferencji, seminariów, szkoleń dla dziennikarzy, ekspertów i samorządowców z krajów byłego ZSRR, delegacji do nich oraz wsparł publikację czasopisma „New Eastern Europe" poświęconego tematyce wschodniej [siostrzanej redakcji „Nowej Europy Wschodniej" – przyp. red.].

Prezydent Adamowicz jako jedyny prezydent polskiego miasta prowadził blog po rosyjsku. Jego posty regularnie ukazywały się na portalu niezależnego radia Echo Moskwy. Po inauguracji Partnerstwa Wschodniego Gdańsk dołączył do Konferencji Władz Lokalnych i Regionalnych dla Partnerstwa Wschodniego (CORLEAP). Paweł Adamowicz opracował raport dla CORLEAP poświęcony wsparciu przez miasta Unii Europejskiej demokracji lokalnej w krajach Partnerstwa Wschodniego. W 2016 roku Gdańsk wstąpił do Europejskiego Stowarzyszenia na Rzecz Demokracji Lokalnej (ALDA), które tworzy agencje demokracji lokalnej w miastach i gminach krajów

eprasa.pl 4e2336049b

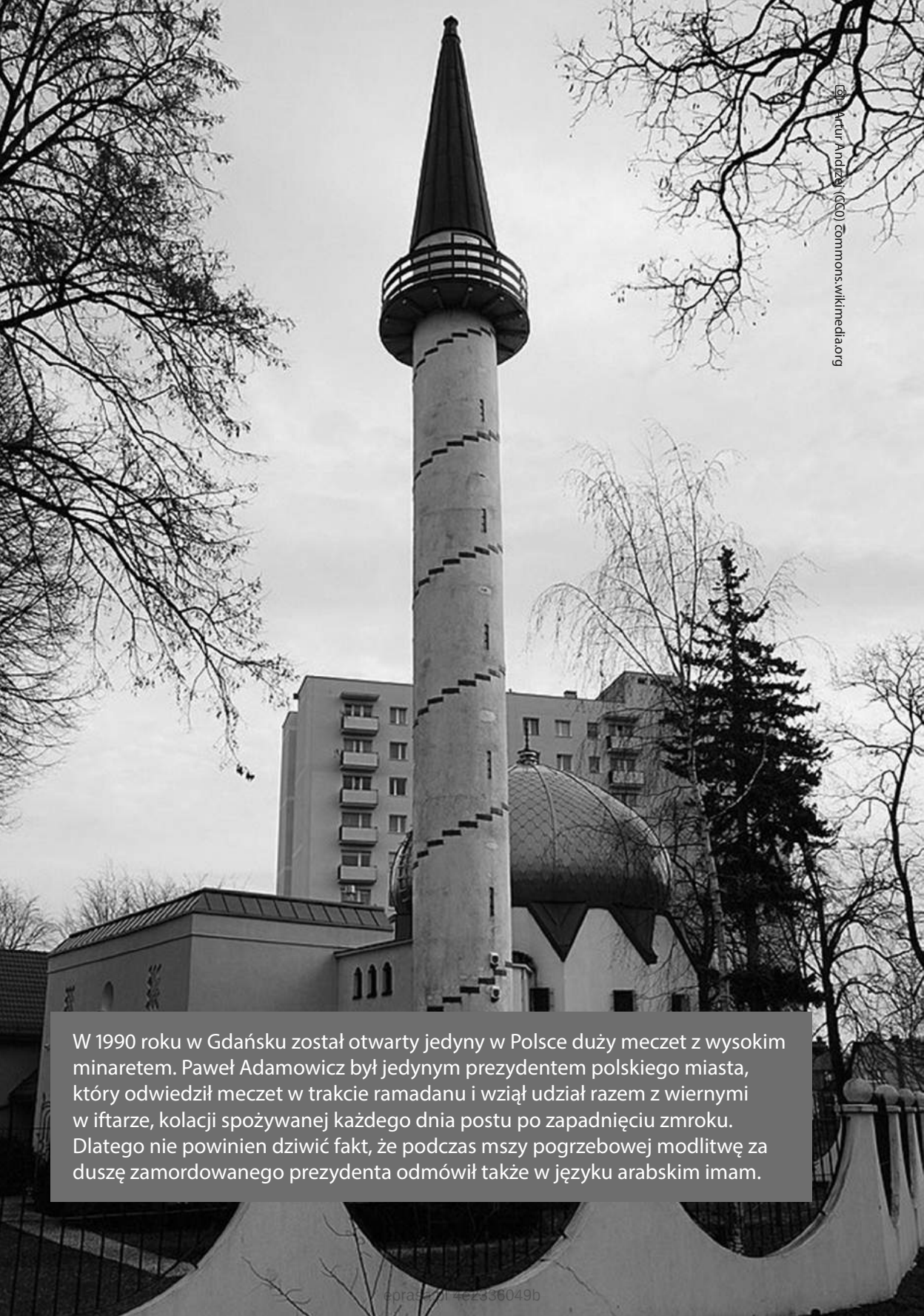

Artur Andrzej (CC0) Commons.wikimedia.org

W 1990 roku w Gdańsku został otwarty jedyny w Polsce duży meczet z wysokim minaretem. Paweł Adamowicz był jedynym prezydentem polskiego miasta, który odwiedził meczet w trakcie ramadanu i wziął udział razem z wiernymi w iftarze, kolacji spożywanej każdego dnia postu po zapadnięciu zmroku. Dlatego nie powinien dziwić fakt, że podczas mszy pogrzebowej modlitwę za duszę zamordowanego prezydenta odmówił także w języku arabskim imam.

epraszam 4e2336049b

sąsiadujących z Unią. W 2017 roku Gdańsk utworzył w ramach ALDA Agencję Demokracji Lokalnej w Mariupolu na Ukrainie. Działa ona na rzecz wprowadzania europejskich wartości i standardów w Mariupolu, frontowym mieście żyjącym w cieniu nieustanego zagrożenia agresją ze strony rosyjskiej.

Po 2012 roku Gdańsk stał się najbardziej „wschodnim" miastem w Polsce także w wymiarze kontaktów międzyludzkich. Po wejściu w życie umowy o małym ruchu granicznym Gdańsk stał się głównym kierunkiem wyjazdów dla mieszkańców obwodu kaliningradzkiego odwiedzających Polskę. W latach 2012–2013 ich liczba znacznie wzrosła. Zdecydowana większość z dwóch milionów przyjazdów obywateli Rosji do Polski była wówczas skierowana do Gdańska. Niestety agresja rosyjska na Ukrainę w 2014 roku oraz jednostronne zawieszenie umowy przez rząd polski w 2016 roku spowodowały, że obecnie Rosjanie znacznie rzadziej niż kilka lat temu przyjeżdżają do Gdańska. Z drugiej strony od 2014 roku radykalnie wzrosła liczba Ukraińców migrujących tu w poszukiwaniu pracy. W rezultacie w 2016 roku Gdańsk z inicjatywy prezydenta Adamowicza jako pierwsze i póki co jedyne miasto w Polsce powołał Radę Imigrantów i Imigrantek. Zdecydowana większość jej czternastu członków wywodzi się z Europy Wschodniej i Azji Centralnej (Ukraina, Białoruś, Rosja, Uzbekistan). Najwięcej jest Ukraińców, ale znajdują się wśród nich także Czeczenka i Tatarka krymska.

Gdańsk z inicjatywy prezydenta Adamowicza jako jedyne miasto w Polsce powołał Radę Imigrantów i Imigrantek. Zdecydowana większość jej członków wywodzi się z Europy Wschodniej.

Od Waregów do Mameluków

Związki Gdańska ze Wschodem sięgają okresu znacznie wcześniejszego niż 1945 rok i należy ich szukać u samego zarania miasta i tłumaczyć jego położeniem. Gdańsk powstał pod koniec X wieku u ujścia Wisły na jednym z rzecznych szlaków handlowych łączących Bałtyk z Morzem Czarnym i Kaspijskim wzdłuż osi północ–południe. To właśnie na tych szlakach Wikingowie handlowali z Bizancjum („od Waregów do Greków") oraz światem islamu („od Waregów do Saracenów").

Związki te potwierdzają wykopaliska archeologiczne prowadzone w Gdańsku, podczas których znajdowano w ostatnich dekadach dirhemy (warto pamiętać, że nazwa pochodzi od greckiego słowa drachma) między innymi z państwa z Samanidów z Azji Centralnej. Jego stolice znajdowały się w Bucharze i Samarkandzie w dzisiejszym Uzbekistanie i były wówczas centrami cywilizacyjnymi o światowym

eprasa.pl 4e2336049b

znaczeniu. Istotne, ale na pierwszy rzut oka nieoczywiste związki Gdańska z Azją Centralną można zaobserwować w kolejnych wiekach w sferze naukowej, szczególnie astronomii. Warto przypomnieć, że rodzina Mikołaja Kopernika ze strony matki wywodziła się z Gdańska i utrzymywał on stałe kontakty z krewniakami (dlatego w Gdańsku w najstarszej kamienicy znajduje się izba jego pamięci). Kopernik posłużył się w swoich przełomowych odkryciach rozwiązaniami geometrycznymi, które wcześniej opracował Nasir al-Din Tusi, jeden z najwybitniejszych średniowiecznych astronomów pochodzący z Azji Centralnej.

W XVII wieku Gdańsk wydał kolejnego giganta astronomii Jana Heweliusza. Jego *opus vitae*, *Atlas ciał niebieskich*, zawiera liczne cytaty ze średniowiecznego atlasu Uług Bega, słynnego władcy astronoma związanego z Samarkandą, w której założył obserwatorium, wówczas najnowocześniejsze na świecie. Z kolei w innej swojej pracy Heweliusz dokonał kompleksowego porównania obliczeń Uług Bega z innymi katalogami gwiazd.

W 1308 roku Gdańsk został opanowany przez zakon krzyżacki, który powstał w Palestynie w trakcie wypraw krzyżowych. Przez kilkadziesiąt lat punkt ciężkości działalności zakonu znajdował się w basenie Morza Śródziemnego. Krzyżacy nie tylko walczyli z muzułmanami, ale także nierzadko panowali nad nimi, współpracowali z nimi, zapożyczając różne elementy z ich cywilizacji. Historycy sztuki dostrzegają wpływy islamskie na krzyżacką architekturę obronną, a nawet sakralną, której przykłady można znaleźć w Gdańsku. Warto także przypomnieć o powiązaniach średniowiecznego Bliskiego Wschodu z Europą Wschodnią. Od 1250 roku głównymi przeciwnikami Krzyżaków na Bliskim Wschodzie byli Mamelukowie, kasta wojowników panująca w Egipcie i wywodząca się wówczas z turkijskich Połowców i Tatarów zamieszkujących eurazjatycki Wielki Step, w tym Ukrainę.

Związki Gdańska ze Wschodem potwierdzają wykopaliska archeologiczne, podczas których znajdowano dirhemy między innymi z państwa Samanidów z Azji Centralnej.

W 1361 roku Gdańsk przystąpił do Hanzy, związku handlowego miast Europy Północnej. Jej przedstawicielstwa powstały w Kownie, Wilnie, Połocku, Witebsku, Smoleńsku, Pskowie i największy kantor w Nowogrodzie Wielkim. W rezultacie w średniowieczu na gdańskich targowiskach nierzadko można było spotkać prawosławnych kupców. Z drugiej strony związki Gdańska z Hanzą w zaskakujący sposób uwidaczniały się z czasem na Bliskim Wschodzie. Pod koniec XV wieku Joos van Ghistele, pochodzący z hanzeatyckiej Gandawy, spędził kilka lat, podróżując po Bliskim Wschodzie, szczególnie po Egipcie rządzonym wówczas przez Mame-

eprasa.pl 4e2336049b

Miasto Gdańsk

Podpisanie przez prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza i mera Mariupola Jurija Chotłubieja listu intencyjnego dotyczącego współpracy między miastami. Gdańsk, Europejskie Centrum Solidarności.

luków z Kaukazu. Jego bardzo popularne pamiętniki kilkakrotnie drukowane były w Niderlandach. Po Egipcie jego przewodnikiem, z którym van Ghistele zbudował „hanzeatycką" więź, był Nassardijn, mamelucki rusznikarz pochodzący z… Gdańska.

U wrót Wisły

Kamieniem milowym w historii Gdańska było odzyskanie miasta przez Polskę w 1466 roku. Gdańsk na blisko trzysta trzydzieści lat związał się nie tylko z Polską, ale także z Litwą, co najlepiej pokazuje herb Prus Królewskich, który można spotkać na ważnych budynkach w mieście. Herb Prus pierwotnie przedstawiał czarnego krzyżackiego orła. Król Kazimierz Jagiellończyk dodał do niego polską Koronę, ale także ramię z mieczem, które zapożyczono z herbu Litwy, czyli Pogoni. Z drugiej strony heraldyka Gdańska oddziaływała na Wschód. Godło Gdańska (dwa krzyże pod koroną między dwoma lwami), które nadał miastu Kazimierz Jagiellończyk, stało się źródłem inspiracji dla herbów wybitnych rosyjskich rodzin arystokratycznych, na przykład Szeremietiewów. Ten ród dzisiaj znają nawet historyczni laicy ze względu na fakt, że od niego pochodzi nazwa moskiewskiego lotniska Szeremietiewo powstałego w ich dawnych posiadłościach: Szeremietiewowie jak inne rody rosyjskie przyjęli herb wzorowany na gdańskim, gdyż wywodzili swoje legendarne pochodzenie od wodza jednego z pruskich plemion.

W XVI wieku unia Polski i Litwy stała się spichlerzem Europy, zaś Wisła uzyskała pozycję kluczowej arterii handlowej kontynentu. Gdańsk stał się największym mia-

eprasa.pl 4e2336049b

stem Rzeczpospolitej. Jednak handel nie rozwijał się tylko poprzez Wisłę, ale także jej dopływy: San, Bug i Narew. Niektóre miasta ze wschodnich ziem Rzeczpospolitej dzięki handlowi zbożem (prawo składu), na przykład Drohiczyn czy Brześć Litewski, przeżyły złoty okres. Gdańsk stał się miejscem intensywnych spotkań między północną i wschodnią Europą, między polską kulturą sarmacką – szlachecką, kontrreformacyjną, ale równocześnie silnie zorientalizowaną oraz ukształtowaną w relacjach z *Slavia Orthodoxa* oraz protestanckiej niemieckiej kultury mieszczańskiej. Symbolem tego spotkania jest obraz pod tytułem *Apoteoza Gdańska* z 1608 roku spełniający kluczową rolę w dekoracji najważniejszej sali Czerwonej ratusza miejskiego w Gdańsku, przedstawiający przywitanie patrycjusza gdańskiego w holenderskim stroju i polskiego szlachcica w kontuszu.

Niderlandzkie ikonostasy

Głównym partnerem handlowym Gdańska i Rzeczpospolitej stały się Niderlandy. Związki Gdańska z Niderlandami nie ograniczały się jednak do handlu. Znalazły najpełniejszy wyraz w olbrzymim wpływie holenderskiej sztuki na stolicę handlową Rzeczpospolitej. Poprzez Gdańsk sztuka niderlandzka emanowała na całą Europę Wschodnią. Na przykład według Tadeusza Chrzanowskiego, wybitnego historyka sztuki: „Czerwona Sala (…) miała rozprzestrzenić się w zasięgu: Wilno (Ostra Brama) (…) Lwów (bernardyński kościół z okuciowym szczytem), by apogeum swoistej asymilacji znaleźć w dekoracjach kamienic (…) Zamościa i w kaplicy Boimów we Lwowie".

Znakomitym przykładem oddziaływania poprzez Gdańsk sztuki niderlandzkiej przekraczającej granice między wyznaniami był wspaniały ikonostas z monasteru w Supraślu, jednego z najważniejszych ośrodków kulturowych świata prawosławnego, a następnie wspólnoty greckokatolickiej. Został on wykonany najprawdopodobniej przez artystów gdańskich. Stał się źródłem inspiracji dla analogicznych ikonostasów w Mohylewie i Smoleńsku. Niestety oryginał z Supraśla uległ zniszczeniu podczas II wojny światowej.

Na bazie Wisły powstał także szerszy europejski szlak handlowy Gdańsk–Lwów–Stambuł, który wybitny historyk francuski Fernand Braudel nazwał przesmykiem polskim. Można nawet mówić o wykształceniu się systemu naczyń połączonych między Azją i Gdańskiem, w którym głównym spoiwem były Niderlandy. W XVI i XVII wieku Holandia stała się bowiem kluczowym partnerem handlowym nie tylko Rzeczpospolitej, ale także Imperium Osmańskiego i Persji, panujących wówczas nad ziemiami położonymi wokół Morza Czarnego oraz dużej części wybrzeży Morza Kaspijskiego. Zboże z Polski często było reeksportowane przez Ho-

eprasa.pl 4e2336049b

lendrów do osmańskiej Turcji. Handlowi towarzyszyła także intensywna wymiana kulturowa. Do Holandii trafiły z Iranu i Turcji kwiaty, zwłaszcza tulipany, a wraz z nimi również motywy roślinne ze sztuki perskiej i osmańskiej ukształtowanych przez Azję Centralną czy sztukę gruzińską i ormiańską oraz bizantyjską w przypadku Osmanów. Te motywy odcisnęły istotne piętno na niderlandzkich produktach rzemiosła artystycznego (na przykład kafle, tkaniny dekoracyjne), malarstwie i rzeźbiarstwie (płaskorzeźby, ornamenty). Z Niderlandów trafiły one do Gdańska, stając się integralną częścią jego kultury. W rezultacie paradoksalnie pewne motywy sztuki islamskiej trafiały pośrednio do Gdańska i poprzez niego w głąb Rzeczpospolitej z… Niderlandów.

Gdańszczanin we Lwowie

Uosobieniem przesmyku polskiego był Martin Gruneweg, pochodzący z Gdańska kupiec, duchowny i kronikarz, który na długi czas osiadł we Lwowie. Żył na przełomie XVI i XVII wieku; urodził się jako luteranin. W Warszawie na szlaku wiślanym poznał kupców ormiańskich ze Lwowa, którzy zachęcili go do odwiedzenia ich miasta. We Lwowie Gruneweg przeszedł na rzymski katolicyzm i został dominikańskim zakonnikiem. Podróżował ze Lwowa do Kijowa, Moskwy i Stambułu. W swym klasycznym opisie Lwowa Gruneweg porównał go do Wenecji, posługując się, jak na gdańszczanina przystało, metaforą marynistyczną: „W mieście tak jak w Wenecji stało się czymś zwyczajnym, aby spotkać na rynku ludzi z krajów całego świata w ich strojach: Madziarzy w czapkach madziarkach, Kozacy w kuczmach, Moskwiczanie w kapeluszach, Turcy w turbanach. Wszyscy oni w długich szatach (…). Każdy z nich jakąkolwiek mówi religią, znajdzie swój język tutaj. Miasto jest setki mil od morza. Jednak, wciąż kiedy widzisz (…) tłumy Kreteńczyków, Turków, Włochów ubranych jak żeglarze, masz uczucie, że port morski znajduje się zaraz za bramą miejską".

Gdańsk był miejscem intensywnych spotkań między północną i wschodnią Europą.

Z drugiej strony kupcy ormiańscy osiedlali się w Gdańsku i poprzez „networking" w ramach diaspory rozsianej po świecie robili interesy na Bliskim Wschodzie. Od wieków bursztyn znad Bałtyku był bardzo popularnym produktem w świecie islamu. Ormianie uznali, że bardziej zyskowna będzie produkcja wyrobów bursztynowych w Gdańsku niż eksport surowego materiału. W rezultacie pod koniec XVIII wieku Gdańsk stał się ośrodkiem produkcji… muzułmańskich bursztynowych modlitewników.

eprasa.pl 4e2336049b

Tatarski mistyk i święty Mikołaj

Podobieństwa między Lwowem i Gdańskiem dotyczą ich pogranicznego charakteru w wymiarze kulturowym. W średniowieczu Gdańsk był położony na pograniczu z bałtyckim światem pogańskim. Stał się w rezultacie ośrodkiem zakonów misjonarskich takich jak dominikanie. Zakon ów założył Dominik Guzman pochodzący z Hiszpanii innego pogranicza religijnego. Dominikanie w Europie Wschodniej prowadzili działalność misyjną równocześnie wśród Prusów, „schizmatyków" na Rusi Kijowskiej oraz szamanistycznych Połowców z ukraińskich stepów. Klasztor dominikański i bazylikę Świętego Mikołaja w Gdańsku założył w XIII wieku Jacek Odrowąż, wyświęcony osobiście przez Guzmana, przyszły patron Polski i Litwy przez kilka lat nawracający Prusów na chrześcijaństwo. Odrowąż działał także jako misjonarz na Rusi Kijowskiej i w Wielkim Stepie.

Po II wojnie światowej do bazyliki Świętego Mikołaja dominikanie przewieźli ze swojego wspaniałego kościoła we Lwowie średniowieczną ikonę Matki Bożej Zwycięskiej, patronki miasta. Słynący cudami obraz został ofiarowany zakonowi przez Konstancję, córkę księcia bizantyjskiego i żonę Lwa, księcia halicko-włodzimierskiego, od którego pochodzi nazwa miasta. Nawet bardziej fascynująca jest znajomość tego kościoła wśród muzułmanów Imperium Osmańskiego i Chanatu Krymskiego. Bardzo popularna była wśród nich legendarna biografia Sarı Saltıka, wielkiego mistyka muzułmańskiego, łączącego różne tradycje religijne. Saltık żył pod koniec XIII wieku i najprawdopodobniej był Tatarem z Krymu. Stał się symbolem działalności misyjnej wśród chrześcijan, dlatego jego szczątki, według legendy, zostały pochowane w wielu miejscach na świecie, przede wszystkim w krajach chrześcijańskich. Jednym z takich miejsc był… Gdańsk, a dokładnie bazylika Świętego Mikołaja, ponieważ z tym chrześcijańskim świętym Sarı Saltık był szczególnie kojarzony.

Właśnie w tym kościele został ochrzczony Paweł Adamowicz i następnie ukształtowany przez dominikanów organizujących spotkania dyskusyjne dla uczniów słynnego I Liceum im. Mikołaja Kopernika.

Adam Balcer jest stałym współpracownikiem „Nowej Europy Wschodniej". Szef projektu Eurazja w WiseEuropa. Wykładowca Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego. Ostatnio wydał książkę *Turcja, Wielki Step i Europa Środkowa* (Kraków 2018).

eprasa.pl 4e2336049b

Pierwsza pięciolatka?

Piotr Andrusieczko

Prezydent Petro Poroszenko ubiega się o reelekcję. Jedno z jego głównych haseł wyborczych brzmi: „Albo ja, albo Putin". Polityk obiecał też Ukraińcom wejście do Unii Europejskiej i NATO.

„Nie mamy prawa zatrzymać się pośrodku drogi. Misja naszego pokolenia – doprowadzić do zakończonej sukcesem budowy mocnego ukraińskiego państwa" – oświadczył Poroszenko 22 stycznia podczas wielkiego uroczystego forum „Od Krut do Brukseli". Prezydent przypomniał, że wielu ludzi nie wierzyło w powstrzymanie agresji Rosji i zachowanie niepodległości, wyrwanie się z ekonomicznej zapaści, decentralizację kraju, podpisanie umowy stowarzyszeniowej z Unią Europejską, zniesienie wiz do Unii, otrzymanie tomosu.

W kampanii Poroszenki główne zagrożenie dla Ukrainy zostało zdefiniowane pod hasłem „Putin". Z jednej strony to przypomnienie o rosyjskiej agresji, z drugiej – naklejenie wszystkim, którzy mówią o możliwości porozumienia z Moskwą, etykiety „zwolenników ustępstw wobec rosyjskiego prezydenta". Chodzi przede wszystkim o ubiegającego się o fotel prezydencki komika Wołodymyra Zełenskiego, który w wywiadzie udzielonym pod koniec grudnia ubiegłego roku powiedział, że w kwestii Donbasu trzeba będzie porozumieć się z Rosją, oraz uznawanego za prorosyjskiego kandydata Bloku Opozycyjnego – Za Życie Jurija Bojkę. Ale prezydent miał też na uwadze Julię Tymoszenko.

Zagrożenie odnowieniem rosyjskich wpływów jest realne, a Poroszenko proponuje jasną alternatywę: „Do 2024 roku wystąpimy o członkostwo w Unii Europejskiej, otrzymamy i zaczniemy realizować »Plan działań na rzecz członkostwa w NATO«" – zaznaczył i zakończył wystąpienie słowami: – „Poczucie głębokiej odpowiedzialności przed krajem, przed obecnymi, przed minionymi i przyszłymi pokoleniami przekonały mnie do podjęcia decyzji o ponownym kandydowaniu na urząd prezydenta".

Łatwo nie będzie. Według sondaży opublikowanych w styczniu i na początku lutego, Petro Poroszenko zajmuje trzecie miejsce w przedwyborczym rankingu. Wyprzedzają go komik Wołodymyr Zełenski i była premier Julia Tymoszenko. Co prawda, od grudnia notowania prezydenta wzrosły, ale i tak zajmuje on pierwsze miejsce w „antyrankingu" – ponad 45 procent zadeklarowało, że nie chce na niego głosować. W podobnej sytuacji był Leonid Kuczma, kiedy w 1999 roku ubiegał

eprasa.pl 4e2336049b

się o reelekcję. Poroszenko okres dwóch kadencji prezydenckich Kuczmy zapewne dobrze pamięta.

Najsympatyczniejszy z oligarchów

W cieniu forum, na którym Poroszenko ogłosił start w wyborach, odbył się nadzwyczajny zjazd prorosyjskiego Bloku Opozycyjnego – Za Życie, na którym ugrupowanie wysunęło swojego kandydata na urząd głowy państwa: Jurija Bojkę. Uwagę zwróciła obecność Wiktora Medwedczuka, który przedstawił plan uregulowania konfliktu na Donbasie.

Medwedczuk jest przyjacielem i kumem Władimira Putina, dla wielu stanowi ucieleśnienie rosyjskich wpływów na Ukrainie i planów Kremla wobec Kijowa. Poroszence zarzuca się, że roztoczył parasol ochronny nad Medwedczukiem: przez kilka lat lider ruchu Ukraiński Wybór był specjalnym przedstawicielem Ukrainy do spraw wymiany więźniów przetrzymywanych w Rosji i samozwańczych republikach.

Poroszenko zna Medwedczuka od dawna. I to też pokazuje, jaką drogę polityczną przebył obecny prezydent. W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku udało mu się zbudować podwaliny biznesu, w tym korporację cukierniczą Roshen (1996 rok). Ale jak wielu innych ludzi biznesu zainteresował się polityką. W 1998 roku został członkiem Zjednoczonej Socjaldemokratycznej Partii Ukrainy, na której czele stał wówczas Medwedczuk. Ich drogi rozeszły się w 2000 roku. Poroszenko w parlamencie stworzył własną grupę poselską Solidarność, a wkrótce partię o tej samej nazwie. Solidarność jesienią 2000 roku wraz z kilkoma innymi ugrupowaniami przyłączyła się do Partii Regionalnego Rozwoju Pracownicza Solidarność Ukrainy. W marcu 2001 roku przyjęto nową nazwę: Partia Regionów.

Przeciwników Poroszenki jest wielu, bo oczekiwania też były duże.

Poroszenko w Partii Regionów sprawował funkcję zastępcy przewodniczącego, jesienią 2001 roku opuścił ugrupowanie ze względu na – jak wyjaśnił – całkowitą rozbieżność w poglądach politycznych. Jego partia Solidarność pod koniec 2001 roku weszła do Bloku Nasza Ukraina Wiktora Juszczenki, po wygranej w wyborach parlamentarnych w 2002 roku, w sztabie wyborczym Naszej Ukrainy Poroszenko przemawiał po Juszczence, wywarł dobre wrażenie. W 2004 roku wspierał finansowo kampanię prezydencką Wiktora Juszczenki, a jego telewizyjny Kanał 5 relacjonował pomarańczową rewolucję.

Po zwycięstwie Juszczenki w wyborach prezydenckich Poroszenko został przewodniczącym Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony Ukrainy, chociaż ma-

eprasa.pl 4e2336049b

Piotr Andrusieczko

Poroszenko został prezydentem w jednym z najcięższych momentów w historii Ukrainy. Tragedia Majdanu, utrata Krymu i wojna na Donbasie – te wydarzenia na starcie zdefiniowały jego prezydenturę i zapowiadały, że bez strat wizerunkowych nie uda się zakończyć pięciu lat przebywania na czele władzy.

eprasa.pl 4e2336049b

rzyło mu się stanowisko premiera. To przypadło jednak Julii Tymoszenko. Po kilku miesiącach został zmuszony do dymisji, zarzucano mu wykorzystywanie stanowiska i korupcję, wszczęto wobec niego postępowanie, ale sprawa została zamknięta.

Poroszenko został przewodniczącym rady Banku Narodowego Ukrainy. Od października 2009 roku do marca 2010 roku był ministrem spraw zagranicznych. Umiał się ustawić również po zwycięstwie Wiktora Janukowycza w wyborach prezydenckich (2010 rok). W 2012 roku przyjął nominację na ministra rozwoju ekonomicznego i handlu w rządzie Azarowa. Wtenczas Kijów prowadził oficjalnie rozmowy na temat umowy stowarzyszeniowej z Unią Europejską, a Poroszenko znał wielu europejskich polityków. Ministrem był jednak krótko, do grudnia 2012 roku.

Kiedy w Kijowie wybuchł Majdan (listopad 2013 roku), Poroszenko był deputowanym w Radzie Najwyższej. Nie wiadomo, w jakim stopniu intuicja polityczna, a w jakim odpowiedzialność, a może przypadek spowodowały, że wydarzenia końca 2013 i początku 2014 roku okazały się dla niego szansą. Szansą, którą wykorzystał.

Był obecny na Majdanie, później na Krymie, podczas prezydenckiej kampanii wybrał się na Donbas. Nagle okazało się, że jest najpopularniejszym politykiem reprezentującym demokratyczne siły, dla społeczeństwa był też najbardziej akceptowalny ze wszystkich działaczy politycznych występujących na scenie Majdanu. „Najsympatyczniejszy z oligarchów" – jak wtedy często mówiono.

W maju 2014 roku głosowano na niego, ponieważ nie chciano drugiej tury wyborów. W tamtych czasach druga tura oznaczałaby przedłużanie okresu niepewności czy wręcz sprzyjałaby chaosowi. Poroszenko obiecał między innymi szybkie zakończenie operacji antyterrorystycznej (ATO) na wschodzie kraju, obniżenie kursu dolara, oddzielenie polityki od biznesu – przykład miał dać sam, sprzedając koncern Roshen, wspominał też o ukróceniu korzystania z rajów podatkowych przez ukraińskich polityków i biznes.

Wygrał w pierwszej turze, zdobył 54,7 procent głosów. Wcześniej udało się to tylko Leonidowi Krawczukowi w grudniu 1991 roku. W obu przypadkach zadecydował kontekst polityczny: Krawczukowi fotel prezydenta przyniosła fala niepodległości, Poroszence – stan wojny.

Między wojną i reformami

Kiedy Poroszenko przyjechał zarejestrować swoją kandydaturę w Centralnej Komisji Wyborczej, uniknął spotkania z aktywistami, którzy przed wejściem rozwiesili transparenty przypominające o niewyjaśnionych zamachach na działaczy obywatelskich. Wśród nich znajdowało się znane hasło „Kto zlecił zamach na Katię Handziuk?". Jedni twierdzą, że prezydent wszedł tylnym wejściem, inni, że przeczekał

eprasa.pl 4e2336049b

protestujących. 31 lipca 2018 roku aktywistka i doradczyni mera Chersonia, trzydziestoletnia Kateryna Handziuk została zaatakowana kwasem na ulicy. Po kilku miesiącach walki o życie w szpitalu zmarła na skutek doznanych oparzeń.

Dlaczego pytanie o ów zamach adresowane jest do prezydenta? Po pierwsze, śledztwo prowadzi Służba Bezpieczeństwa Ukrainy, która mu podlega. Po drugie, zdaniem aktywistów i ojca zamordowanej Kateryny, osobami, które mogą być zamieszane w zabójstwo, są przedstawiciele Bloku Petra Poroszenki w obwodzie chersońskim (podaje się konkretne nazwiska).

To tylko jeden z przykładów pretensji wobec prezydenta ze strony jego oponentów. Tych jest wielu, bo oczekiwania też były duże. Ale trzeba dodać, że Poroszenko nie odpowiada za wszystko. Obiektywnie: został głową państwa w być może najcięższych dla Ukrainy czasach. Tragedia Majdanu, utrata Krymu i wojna na Donbasie – te wydarzenia zdefiniowały jego prezydenturę, wiadomo było, że bez strat wizerunkowych nie uda się zakończyć pierwszej kadencji.

Pierwsza krytyka spadła na Poroszenkę po klęsce pod Iłowajskiem, gdzie w sierpniu 2014 roku ukraińskie wojska znalazły się w kotle. Poroszence zarzucono, że nie wyciągnął konsekwencji wobec odpowiedzialnych za porażkę. W następstwie tego wydarzenia, we wrześniu 2014 roku, Ukraina podpisała pierwsze porozumienie mińskie, a w trakcie kolejnej bitwy (pod Debalcewe) sygnowano drugie porozumienie mińskie (luty 2015 roku). Dla oponentów prezydenta porozumienia te były pójściem na ustępstwa wobec agresora.

Trzeba jednak przyznać, że niewątpliwą zasługą Poroszenki jest to, że Ukraina w latach 2014–2015 obroniła suwerenność. Jakościową zmianę przeszła też ukraińska armia. W 2014 roku była ona – jak mówił ukraiński dziennikarz specjalizujący się w tematyce wojskowej Jurij Butusow – „wojennym Majdanem". W ciągu kilku lat poddano ją modernizacji, mimo wielu problemów jest dziś jakościowa inna. Sam Poroszenko z własnych środków przekazywał milionowe kwoty na jej dozbrojenie.

Niełatwo było również na froncie wewnętrznym, tym bardziej że po Majdanie oczekiwania (co do reform politycznych i ekonomicznych) były duże. Co można zaliczyć na plus: podpisanie umowy stowarzyszeniowej z Unią Europejską; rozpoczęcie decentralizacji kraju, zreformowanie policji; uproszczenie procedur biurokratycznych. Unia Europejska zniosła wizy dla Ukraińców. Pojawiły się jednak problemy z dalszym wdrażaniem reform, zwłaszcza w walce z korupcją. W kwietniu 2015 roku powołano Narodowe Biuro Antykorupcyjne Ukrainy, co było jednym z elementów reformy antykorupcyjnej – wymagały jej od Kijowa struktury zachodnie. Tyle że odbyło się to z oporami, naciski Zachodu okazały się konieczne. Podobnie było w przypadku elektronicznych deklaracji majątkowych dla polityków i urzędników, które wprowadzono we wrześniu 2016 roku – znów nie obeszło się bez grożącej ręki Zachodu.

eprasa.pl 4e2336049b

Korupcja pozostaje jednym z głównych problemów Ukrainy. Według Indeksu Percepcji Korupcji Transperancy International, Ukraina – mimo polepszenia sytuacji w ostatnich latach – zajęła w 2018 roku sto dwudzieste miejsce (dla porównania Polska jest na trzydziestym szóstym miejscu). W Europie gorzej wypadła tylko Rosja, która plasuje się na trzydziestym ósmym miejscu.

Nie zrealizowano również postulatu Majdanu podnoszonego w kampanii wyborczej Poroszenki – oddzielenia biznesu od polityki. Co prawda, w niełaskę popadli oligarchowie: Dmytro Firtasz i Ihor Kołomojski, ale już najbogatszy Ukrainiec Rinat Achmetow, będący symbolem ukraińskiego systemu oligarchicznego, nie utracił pozycji. Obrońcy Poroszenki podnosili, że prezydent nie może walczyć jednocześnie ze wszystkimi oligarchami. Z kolei oponenci zadawali pytanie, czy głowa państwa, która sama posiada biznes, jest w stanie przeprowadzić zmiany systemowe? Niektórzy mówili wprost, że Poroszenko sam jest oligarchą i czerpie korzyści z posiadania wpływów politycznych.

Niewątpliwą zasługą prezydenta jest to, że Ukraina w latach 2014–2015 obroniła suwerenność.

Poroszenko wbrew przedwyborczym obietnicom nie sprzedał biznesu. Tłumaczył, że nie może sprzedać koncernu Roshen ze względu na brak odpowiednich propozycji kupna (przeszkodę stanowiła wojna na wschodzie Ukrainy). Dopiero w styczniu 2016 roku ogłosił, że Roshen przechodzi pod zewnętrzny zarząd Rothschild Trust. Pod koniec 2018 roku Rothschild Trust po raz pierwszy wypłacił Poroszence dywidendy (za trzy lata zarządu) w kwocie 556,7 miliona hrywien (ponad 20,5 miliona dolarów). Poroszenko uiścił od tej sumy 60 milionów hrywien podatku.

Ale prezydent pozostawał właścicielem innych firm (Kanał 5, Międzynarodowy Inwestycyjny Bank, zakłady Kuźnia na Rybalskim, które zajmowały się produkcją sprzętu wojskowego i dostarczały ukraińskiej armii kutry bojowe). Dopiero w 2018 roku Kuźnia została sprzedana byłemu wicepremierowi Serhijowi Tihipce.

Poroszenko potrafił być bezwzględny wobec przeciwników politycznych. W 2014 roku zaprosił Micheila Saakaszwilego, byłego prezydenta Gruzji, na Ukrainę, Saakaszwili miał pomagać w realizacji reform, Poroszenko nadał mu obywatelstwo i mianował przewodniczącym odeskiej obwodowej administracji państwowej. Kiedy Saakaszwili zaczął sobie za wiele pozwalać, krytykował głowę państwa, mówił o wstrzymywaniu reform i wspieraniu korupcji, Poroszenko odebrał mu obywatelstwo. Koniec końców, Saakaszwili został z Ukrainy deportowany.

Mimo spadku popularności do końca 2017 roku Poroszenko prowadził w rankingach. Wszystko zmieniło się na początku 2018 roku. Światło dzienne ujrzał skandal związany z urlopem prezydenta na Malediwach. Początkowo otoczenie głowy

eprasa.pl 4e2336049b

Piotr Andrusieczko

Armia od początku była w centrum uwagi Poroszenki i nic w tym dziwnego dla głównodowodzącego w kraju, który znajduje się w stanie wojny. Poroszenko zwracał też uwagę na wzmacnianie języka i kultury ukraińskojęzycznej. Ale to religia miała okazać się polem największego sukcesu.

państwa próbowało zataić ten ekskluzywny wyjazd, później nieporadnie tłumaczyło się przed dziennikarzami, aż w końcu sam Poroszenko został zmuszony do ujawnienia prawdy.

To fakt, w wyjeździe na Malediwy nie było żadnych oznak korupcji, ale podróż i tygodniowy pobyt na jednej z wysepek kosztowały niemal pół miliona dolarów. Poroszenko opłacił je z własnych środków, jednak głęboki niesmak wśród części Ukraińców pozostał.

eprasa.pl 4e2336049b

Prezydent wojny, wiary i dotacji

9 kwietnia 2018 roku prezydent spotkał się w Stambule z patriarchą konstantynopolskim Bartłomiejem I. Tydzień później ogłosił, że Ukraina otrzyma tomos. Początkowo mało kto w to uwierzył, wiele osób uważało, że to kolejny element politycznej gry. „Armia broni ukraińskiej ziemi. Język broni ukraińskiego serca. Cerkiew broni ukraińskiej duszy" – powiedział Poroszenko w programie „Swoboda Słowa" w telewizji ICTV 24 kwietnia. Tym samym *de facto* rozpoczął nieoficjalną kampanię wyborczą. Na ulicach ukraińskich miast pojawiły się bilbordy z hasłami „Armia! Język! Wiara!", które stały się nieoficjalnym sloganem wyborczym.

Armia od początku była w centrum uwagi Poroszenki i nic w tym dziwnego w przypadku głównodowodzącego, w którego kraju panuje wojna. Poroszenko zwracał też uwagę na wzmacnianie języka i kultury ukraińskojęzycznej. Ale to wiara miała okazać się polem największego sukcesu.

Konstantynopol zdecydował się przyznać autokefalię Ukrainie, nie zważając na protesty Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej i jej ukraińskiego przedstawicielstwa oraz rosyjskich polityków. 15 grudnia 2008 roku doszło do utworzenia niezależnej Prawosławnej Cerkwi Ukrainy, której zwierzchnik, metropolita Epifaniusz otrzymał 6 stycznia 2019 roku tomos. To historyczne wydarzenie i bez wątpienia osobisty sukces Poroszenki, który przekuł się na wzrost poparcia dla prezydenta.

Trudno stwierdzić, w jaki sposób na notowania prezydenta wpłynęło wprowadzenie 26 grudnia 2018 roku stanu wojennego. Czy Poroszenko mógł zareagować inaczej? Do tej pory Rosjanie odpierali wszystkie oskarżenia o prowadzeniu na Ukrainie wojny jednym stwierdzeniem: „nas tam nie ma". Jednak, gdy doszło do otwartego ataku przeprowadzonego pod rosyjską flagą, Poroszenko musiał zareagować zdecydowanie. Stan wojenny został zresztą ograniczony do dziesięciu obwodów i wprowadzony na trzydzieści dni, więc wbrew krytykom nie wpłynął na kalendarz wyborczy.

„Armia broni ukraińskiej ziemi. Język broni ukraińskiego serca. Cerkiew broni ukraińskiej duszy" – powiedział Poroszenko w programie „Swoboda Słowa".

Rok 2018 należał do Julii Tymoszenko, która była liderką notowań – na początku 2019 roku znalazła się na drugim miejscu z poparciem 19,2 procent. Tymczasem z początkiem bieżącego roku poparcie dla Poroszenki wzrosło do 14,8 procent i dało mu trzecie miejsce. Liderem sondaży został komik Wołodymyr Zełenski, na którego chciało zagłosować 21,9 procent ankietowanych.

„Armia! Język! Wiara" to za mało, by wygrać wybory. Poroszenko zdecydował się dać wyborcom jasną perspektywę dotyczącą wejścia Ukrainy do Unii Europejskiej

eprasa.pl 4e2336049b

i NATO. Jednak w odróżnieniu od innych polityków, którzy wykorzystywali ten temat wcześniej (na przykład Wiktor Juszczenko), ma on na koncie sukces w postaci zrealizowania obietnicy autokefalii.

Jak wskazuje dyrektorka Fundacji Demokratyczne Inicjatywy Iryna Bekeszkina, Poroszenko może liczyć na poparcie we wszystkich regionach Ukrainy oprócz jego wschodnich terenów. I to właśnie wyborcy z centralnej i zachodniej części kraju są głównymi adresatami jego kampanii.

Dla Poroszenki idealne byłoby wejście do drugiej tury prorosyjskiego kandydata Jurija Bojki. Byłaby to powtórka z wyborów 1999 roku, kiedy elekcję wygrał Leonid Kuczma. Wtedy w drugiej turze obok niego znalazł się szef Komunistycznej Partii Ukrainy Petro Symonenko, więc zwyciężył wybór mniejszego zła. Ale na taką powtórkę nie ma co liczyć.

W tej sytuacji wygodny mógłby być też wariant spotkania się w drugiej turze z Zełenskim. Socjolodzy wskazują, że Zełenskiego popierają przede wszystkim ludzie młodzi, czyli grupa najmniej aktywnie uczestnicząca w wyborach. Trudno stwierdzić, ilu z nich rzeczywiście pójdzie głosować. A w drugiej turze mogłaby zwyciężyć „odpowiedzialność" wyborców, którzy nie wyobrażają sobie aktora komediowego w roli głównodowodzącego armią. Najpierw jednak Poroszenko musiałby wyeliminować w pierwszej turze Tymoszenko. Być może pomocne w tym okaże się posunięcie władz, do którego przyczynił się Poroszenko, czyli monetyzacja subsydiów stanowiących dopłaty do opłat komunalnych. W ubiegłym roku otrzymało ją (w różnej wysokości) kilka milionów gospodarstw domowych. Wypłaty zaczną się od 1 marca, więc rezultat będzie widoczny już tylko podczas głosowania.

Nawet jeśli Poroszence uda się wejść do drugiej tury z Zełenskim, może zadziałać też efekt mobilizacji wyborców na niekorzyść obecnego prezydenta. Zełenski i jego wyborcy są trudni do zdefiniowania. A jeśli Poroszenko wejdzie do drugiej tury z Tymoszenko… Jedno jest pewne, jak podkreślają socjologowie, to najbardziej nieprzewidywalne z ukraińskich wyborów. Nawet jeśli Poroszenko nie zostanie prezydentem, to nie zniknie z polityki. Na jesień zaplanowane są wybory parlamentarne – partia Poroszenki znajdzie się w nowym parlamencie, pytanie tylko, z jakim wynikiem.

Piotr Andrusieczko jest korespondentem „Gazety Wyborczej" na Ukrainie, stale współpracuje z „Nową Europą Wschodnią".

eprasa.pl 4e2336049b

Postęp przez powrót

Mirosław Skórka

Ukraina i Rosja przestały być duchowną wspólnotą religii. Upada koncepcja „ruskiego miru", a Moskwa straciła uzasadnienie dla bycia „trzecim Rzymem". To znacznie więcej niż utrata terytorium – to zmiana paradygmatu własnej tożsamości dla tych dwóch krajów.

6 stycznia 2019 roku, w wigilię Bożego Narodzenia (według kalendarza juliańskiego), Patriarcha Ekumeniczny Konstantynopola Bartłomiej I w obecności nowo obranego metropolity kijowskiego Epifaniusza Dumenki i prezydenta Petra Poroszenki oraz wielu przedstawicieli hierarchii i władz państwowych Ukrainy podpisał w Stambule tomos uznający Prawosławny Kościół Ukrainy za Kościół siostrzany dla wszystkich kościołów prawosławnych. Następnego dnia w historycznym soborze Świętej Sofii (Mądrości Bożej) w Kijowie odprawiono uroczystą liturgię i ogłoszono treść tomosu. Znacznie wcześniej z wielkich bilbordów w wielu miastach Ukrainy prezydent Poroszenko informował, że „15 grudnia (dzień Soboru zjednoczeniowego Kościoła Prawosławnego na Ukrainie) wszedł do historii".

Trudno nie zgodzić się z tą konstatacją prezydenta, bo wydarzenie to jest odwróceniem procesu wchłaniania Ukrainy przez Rosję. Jeśli symbolicznym jego początkiem była Rada Perejasławska w 1654 roku, która rozpoczęła proces włączania ziem Ukrainy w skład ówczesnego państwa carów, to przez włączenie metropolii kijowskiej w 1686 roku do patriarchatu moskiewskiego Ukraina z Rosją stworzyła wspólnotę wiary i tradycji. W roku 1991 Ukraina ogłosiła niepodległość i rozpoczęła proces odwrotny – wychodzenia ze struktur państwa rosyjskiego, zaś w 2019 roku doszło do uniezależnienia Kościoła Prawosławnego Ukrainy od Rosji, przekreślona została jednocześnie rzekoma jedność wiary i Kościoła w Rosji i na Ukrainie.

Prawosławie, samodzierżawie, ludowość

Ukraina pod względem religijnym jest różnorodna. Zdecydowana większość mieszkańców deklaruje przynależność do prawosławia różnych denominacji. Według stanu na 1 grudnia 2018 roku 45,2 procent prawosławnych deklarowało przynależność do Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego Patriarchatu Kijowskiego (UKP PK), 16,9 procent do UKP Patriarchatu Moskiewskiego (UKP PM), 2,1 procent do

eprasa.pl 4e2336049b

Ukraińskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego (UAKP), zaś 33,9 procent deklarowało, że są prawosławnymi, ale bez przynależności do żadnego Kościoła.

Pod względem liczby zarejestrowanych parafii (wspólnot) największym był UKP PM (ponad 11 tysięcy), zaś UKP PK łącznie z Ukraińskim Kościołem Greckokatolickim mają ich łącznie nieco ponad 8 tysięcy. Od chwili okupacji Krymu i początku rosyjskiej agresji widoczna była tendencja do przechodzenia wiernych z UKP PM do UKP PK. Decydujące znaczenie w tym procesie miało zaangażowanie UKP PK w walkę z rosyjską agresją po stronie Ukrainy, niejednoznaczna pozycja UKP PM wobec tej agresji (co potwierdzały liczne przypadki działań jej duchowieństwa na rzecz separatystów) i ciche lub głośne poparcie dla polityki Kremla, a co za tym idzie, dosyć powszechna opinia uznająca UKP PM za rosyjski oręż w wojnie hybrydowej.

Przedstawiciele elit, a także władz państwowych i kościelnych Ukrainy od dawna zwracali uwagę na potrzebę zjednoczenia ukraińskiego prawosławia. Rosyjska agresja uwydatniła konieczność uregulowania sytuacji religijnej. Trudno ignorować zachowania antypaństwowe największej instytucji religijnej państwa i pozwolić na to, aby przynależność kościelna realizowała cele polityczne „ruskiego miru", które były kontynuacją starej triady wartości definiującej tożsamość rosyjską: prawosławie, samodzierżawie, ludowość" (triada Uwarowa). Dominującą rolę w nim odgrywało carskie „samodzierżawie", czyli zcentralizowane państwo działające zgodnie z interesami panującej elity politycznej, zaś dwie pozostałe wartości były podporządkowane budowaniu jego potęgi. Takie zinstrumentalizowanie roli religii i podporządkowanie jej interesom państwa sąsiedniego dla wielu ludzi wierzących na Ukrainie było nie do przyjęcia. Jak się okazało, było ono nie do przyjęcia także dla najwyższego autorytetu światowego prawosławia – Patriarchy Ekumenicznego Konstantynopola i jego Świętego Synodu.

Rada Perejasławska w 1654 roku rozpoczęła proces włączania ziem Ukrainy w skład ówczesnego państwa carów. Ukraina z Rosją tworzyły wspólnotę wiary i tradycji.

Odcinanie pępowiny

O konieczności odcięcia się od Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej byli przekonani niektórzy ukraińscy działacze polityczni jeszcze w 1917 roku. W listopadzie 1917 roku powołano w Kijowie Wszechukraińską Prawosławną Radę Cerkiewną, której zadaniem było stworzenie niezależnego od Moskwy Ukraińskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego (UAKP). 1 stycznia 1919 roku na mocy decyzji Dyrektoriatu, czyli rządu Ukraińskiej Republiki Ludowej, powołano oficjalnie UAKP. Na jej

eprasa.pl 4e2336049b

czele stanął Wasyl Lypkiwski, którego sobór wybrał na biskupa. UAKP w momencie największego wzrostu liczył około 1100 wspólnot (parafii). Liczba wiernych była praktycznie niemożliwa do oszacowania. UAKP został zniszczony przez władze bolszewickie pod koniec lat dwudziestych XX wieku, zaś ostatnie jej wspólnoty zlikwidowano (także fizycznie) w 1936 roku.

Po odzyskaniu niepodległości przez Ukrainę w 1991 roku od razu pojawiła się tendencja do tworzenia niezależnego Kościoła prawosławnego. Dla Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej metropolia kijowska jest formalnie jedną z metropolii: autonomiczną, działającą według takich samych reguł jak pozostałe struktury w Patriarchacie. Jednak Kijów ma znaczenie wykraczające poza tę funkcję, jest „historią symbolem", „macierzą miast ruskich", miastem legendarnego błogosławieństwa świętego Andrzeja i chrztu świętego Włodzimierza, symbolizuje najwspanialszy okres świetności i świętości w historii prawosławia wschodnioeuropejskiego. Trudno się zatem dziwić, że działania części hierarchów oraz liderów świeckich zmierzające do stworzenia niezależnego Kościoła Ukrainy spotkały się ze zdecydowanym oporem Patriarchatu Moskiewskiego oraz grupy hierarchów, duchowieństwa i wiernych Ukrainy, pragnących pozostania w szeregach RCP.

Na czele największej grupy „proukraińskich" prawosławnych stanął metropolita kijowski Filaret Denysenko, ważna postać w hierarchii RCP przed 1990 rokiem, strażnik tronu patriarszego i kandydat na patriarchę Moskwy po śmierci patriarchy Pimena. Wkrótce po wyborze patriarchy Aleksieja metropolita Filaret stanął na czele grupy, która oderwała się od Moskwy. Powoli umacniał własną pozycję, przyjmując tytuł Patriarchy Kijowa i Całej Ukrainy, wzmacniał struktury i status grupy, która stała się formalnie Ukraińskim Kościołem Prawosławnym Patriarchatu Kijowskiego. Moskwa – a za nią inne kościoły prawosławne – uznały go za „rozłamowy", czyli wyłączony z eucharystycznej wspólnoty światowego prawosławia. Ukraińskie aspiracje do kościelnej niezależności zostały uznane za bezzasadne.

Patriarchat Ekumeniczny wiedział, że nadanie autokefalii Kościołowi ukraińskiemu doprowadzi do ostrego starcia z Moskwą i napięć w całym prawosławiu.

Punktem zwrotnym w historii Ukrainy był 2014 rok (aneksja Krymu i agresja Rosji na Donbasie). Wydarzenia te stały się katalizatorem nowej świadomości Ukraińców i znacznie przyspieszyły proces „odcinania pępowiny" łączącej Rosję i Ukrainę. Także religijnej. W 2016 roku Rada Najwyższa Ukrainy zwróciła się do patriarchy Konstantynopola o podjęcie kroków zmierzających do zniesienia podziału prawosławia ukraińskiego, ponieważ „kanoniczna hierarchia" nie podejmuje żadnych działań w tym kierunku. Wykonuje jedynie za-

eprasa.pl 4e2336049b

dania polityczne państwa będącego agresorem, zaś daleka jest od realizacji celów religijnych. Jednak Patriarchat Ekumeniczny nie spieszył się z odpowiedzią. Zachowywano daleko posuniętą powściągliwość, aby nie dawać Moskwie jeszcze jednego argumentu do ingerencji w sprawy ukraińskie, tym razem pod pretekstem obrony „prawdziwego" prawosławia przed „zgnilizną Zachodu", z którą Moskwa utożsamia wydarzenia po rewolucji 2014 roku.

Władze ukraińskie przeprowadziły jednak udaną akcję kościelno-dyplomatyczną w Fanarze, siedzibie patriarchy Bartłomieja I. 17 kwietnia 2018 roku prezydent Petro Poroszenko poinformował frakcje parlamentarne Rady Najwyższej, że hierarchowie UCP PK i UACP oficjalnie zwrócili się do patriarchy Bartłomieja I z prośbą o nadanie autokefalii. 19 kwietnia 2018 roku Rada Najwyższa poparła ten wniosek, zaś 22 kwietnia Fanar oficjalnie przyjął prośbę z Kijowa. Po pierwszych pozytywnych sygnałach ze Stambułu Rosyjska Cerkiew Prawosławna podjęła działania mające na celu niedopuszczenie do udzielenia autokefalii Kijowowi. 31 sierpnia patriarcha Cyryl Gundiajew spotkał się z patriarchą Bartłomiejem I, aby przekonać go do zmiany decyzji. Jednak stanowisko Fanaru pozostało niezmienne.

3 września 2018 roku prezydent Poroszenko ogłosił, że Patriarchat Ekumeniczny podjął decyzję o nadaniu autokefalii Ukrainie bez względu na stanowisko Moskwy. Do Kijowa zostali skierowani dwaj specjalni posłańcy – hierarchowie Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego z USA, pozostający w jurysdykcji Konstantynopola. Ustalono procedurę, która zakładała zwołanie soboru zjednoczeniowego w Kijowie, który miał wyłonić nowego zwierzchnika Kościoła Prawosławnego na Ukrainie. Sobór odbył się 15 grudnia 2018 roku w soborze Świętej Sofii w Kijowie, miejscu wyjątkowym dla chrześcijańskiej Ukrainy. Obrano nowego zwierzchnika: arcybiskupa Białej Cerkwi i Perejasławia Epifaniusza Dumenkę. W odpowiedzi na to Patriarcha Ekumeniczny poinformował, że nowy zwierzchnik otrzyma tomos, czyli oficjalny dokument Patriarchy i Świętego Synodu, uznający autokefalię w dniu 6 stycznia 2019 roku, czyli w wigilię Bożego Narodzenia według kalendarza juliańskiego.

Moskiewski patriarcha Cyryl zerwał eucharystyczną łączność z Patriarchatem Konstantynopola. Poparły go autokefaliczne Kościoły Prawosławne Polski, Serbii i Syrii. Znamienne jest to, że zgodnie z uświęconą w prawosławiu tradycją „pentarchii", czyli duchownej wspólnoty pięciu patriarchatów – Rzymu, Konstantynopola, Antiochii, Jerozolimy i Aleksandrii, rolę pierwszego spośród patriarchatów prawosławnych pełni biskup Konstantynopola, Nowego Rzymu, zaś ci, którzy nie uznają jego pierwszeństwa (nie ma tutaj mowy o jurysdykcji w sensie kanonicznym), sami wyłączają się z komunii eucharystycznej. Oznacza to ni mniej, ni więcej, że Patriarchat Moskiewski i Kościoły, które go poparły, same wyłączyły się z ekumenicznej wspólnoty światowego prawosławia i stały się „raskolnikami", czyli rozłamowcami.

eprasa.pl 4e2336049b

Czy Rosyjska Cerkiew Prawosławna musiała tak zareagować? Tak, jeśli za punkt wyjścia przyjmiemy, że postrzega się ona przede wszystkim jako instrument realizacji doktryny „ruskiego miru" oraz że jest największą liczebnie wspólnotą prawosławną na świecie, cieszącą się poparciem państwa i w państwie tym odgrywającą ważną rolę, zatem współtworzy ona „współczesną teokrację prawosławną". Gdy jednak przyjmiemy za punkt wyjścia inną koncepcję, na przykład ewangelicznej odpowiedzialności za rozwój prawosławia rozumianego przede wszystkim jako uświęcona wiekami tradycja chrześcijańska, transcendentna wobec takich struktur jak państwa, to reakcja Moskwy jest błędna.

Na historię prawosławia możemy spojrzeć jak na ciąg aktów ogłaszania autokefalii. W Europie mamy na przykład autokefaliczne Kościoły Prawosławne w Bułgarii, Rumunii, Serbii, Polsce. Każdy z nich przechodził proces „oddzielenia" i „niekanoniczności", która potem była znoszona i dany Kościół otrzymywał autokefalię. Proces ten wyrastał z potrzeby lokalnej wspólnoty, która „dorastała" do niezależności wobec Kościoła matki. Kościół matka uznawał „dojrzałość" swojej wspólnoty córki do niezależnego bytu. Powstawał w rezultacie tego procesu Kościół siostra innych Kościołów lokalnych. W eklezjologii prawosławnej mamy do czynienia z komunią wspólnot, uznających się za godne sprawowania Eucharystii, podczas której uobecnia się Jedność Ciała Chrystusowego. Ta wspólnota nie oznacza podporządkowania jurysdykcyjnego na przykład patriarchom. Każda wspólnota autokefaliczna jest niezależna w kwestiach jurysdykcyjnych, ale uznaje łączność dogmatyczną, czyli wspólnotę prawd wiary i tradycji, która je interpretuje.

W przypadku Ukrainy zadanie podołania i przezwyciężenia podziału mogła na siebie wziąć Rosyjska Cerkiew Prawosławna i zainicjować proces nadania autokefalii, analogicznie do tego, który wdrożył Konstantynopol. Byłoby to możliwe, gdyby Moskwa uznała wspólnotę prawosławia ukraińskiego za byt niezależny, który dorasta bądź dorósł do kościelnej samodzielności, czyli autokefalii. Moskwa nie godziła się jednak na takie podejście do kwestii ukraińskiej, odmawiając jej podmiotowości eklezjalnej, czyli *de facto* podmiotowości religijnej wspólnoty narodowej, analogicznie do innych wspólnot w światowym prawosławiu. Ten brak działań i zaniechania zarzucił Moskwie Patriarcha Ekumeniczny, uzasadniając decyzję o nadaniu autokefalii Kościołowi Prawosławnemu Ukrainy.

Złoto i sobole futra

Patriarchat Ekumeniczny zdawał sobie sprawę, że procedura nadania autokefalii Kościołowi ukraińskiemu doprowadzi do ostrego starcia z Moskwą i napięć w całym prawosławiu. Zatem racje, które zmusiły go do tego działania, musiały być ważne

eprasa.pl 4e2336049b

i kanonicznie uzasadnione. Racje te mają znaczenie dla Kościołów Prawosławnych Ukrainy, Rosji oraz Polski.

Punktem wyjścia do realizacji procesu nadania autokefalii jest historia i spuścizna prawosławnej metropolii kijowskiej, która powstała około 997 roku, wkrótce po przyjęciu chrztu przez Ruś Kijowską i była wpisana na sześćdziesiątym miejscu w dyptychu metropolii Patriarchatu Konstantynopola. Różne były losy tej metropolii, która przez kilka stuleci znajdowała się w granicach Rzeczpospolitej. Po pokoju andruszowskim w 1667 roku miasto Kijów znalazło się w granicach państwa carów, w którym prawosławie było religią panującą, zaś od 1589 roku Cerkiew miała status patriarchatu. Zarówno w szeregach starszyzny kozackiej, jak i części duchowieństwa prawosławnego metropolii kijowskiej panowało przekonanie, że tylko Moskwa może zagwarantować prawa i wolności kozactwu oraz wierze prawosławnej. Nie było to przekonanie wszystkich, ale ta część, która je wyznawała, otrzymała wsparcie ze strony panujących wówczas carów oraz patriarchy moskiewskiego Joakima. W 1685 roku dokonał on intronizacji na metropolitę kijowskiego biskupa łuckiego Gedeona księcia Czetwertyńskiego. To działanie było naruszeniem obowiązujących zasad, ponieważ metropolia kijowska należała do Patriarchatu Konstantynopola i takiego aktu mógł dokonać wyłącznie Patriarchat Ekumeniczny. Mając pełną świadomość, że działanie to było naruszeniem kanonów, Moskwa wysłała do Konstantynopola posłańców zaopatrzonych w sobole futra i złoto, aby wyjednać zgodę na włączenie metropolii kijowskiej.

Kijów jest dla Rosji „historią symbolem", „macierzą miast ruskich", miastem legendarnego błogosławieństwa świętego Andrzeja i chrztu świętego Włodzimierza, symbolizuje najwspanialszy okres w historii prawosławia wschodnioeuropejskiego.

Pierwsze rozmowy z przebywającym wówczas w Stambule patriarchą Jerozolimy Dozyteuszem II, cieszącym się uznaniem pisarzem i kanonistą, uświadomiły, jak bardzo postępowanie Moskwy stoi w sprzeczności z kanonami Kościoła Prawosławnego. Patriarcha Jerozolimy zarzucił patriarsze Moskwy oraz carom, że ich działania są symonią, naruszają zwyczaje i kanony i nie mogą zostać uznane za kanoniczne. Dopiero interwencja posłańców moskiewskich u wezyra i jego osobisty nacisk na patriarchów w Stambule zmieniły opinię zarówno patriarchy Dozyteusza II, jak i patriarchy Konstantynopola Dionizego IV. Ten wydał zgodę na włączenie metropolii kijowskiej, obwarował ją jednak kilkoma warunkami: metropolia kijowska miała zachować przywileje wyboru metropolity i biskupów, biskupi po konsekrację na tron metropolity nie musieli udawać się do Moskwy, zaś podczas sprawowania liturgii na

eprasa.pl 4e2336049b

pierwszym miejscu pośród hierarchów mieli wymieniać patriarchę Konstantynopola, gdyż metropolia kijowska nosiła status „Egzarchatu Patriarchy Ekumenicznego". Żadnego z tych warunków Moskwa nie dotrzymała.

O fakcie, że akt włączenia metropolii kijowskiej do Moskwy naruszał kanony kościelne, zaś niedotrzymanie warunków go unieważnia, patriarcha Konstantynopola zdecydował, podpisując 13 listopada 1924 roku tomos nadający autokefalię dla Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego. W dokumencie stwierdza między innymi: „Pierwsze oderwanie się od naszej Stolicy [Konstantynopola – przyp. M.S.] Metropolii kijowskiej i Metropolii prawosławnych Litwy i Polski, zależnych od nich, jako też przyłączenia jej do Świętego Kościoła w Moskwie, nie miało miejsca według przepisów kanonicznych, jak również nie stosowano się do niczego, co było umówione w sprawie całkowitej autonomii kościelnej Metropolity kijowskiego, noszącego nazwę Egzarchy Stolicy Ekumenicznej", zaś w orędziu do innych kościołów prawosławnych z dnia 13 listopada 1924 roku informującym inne kościoły prawosławne o nadaniu autokefalii dla Kościoła w Polsce patriarcha stwierdza, że metropolia kijowska jest „Od zarania Córą rodzoną, która odłączyła się od Tronu tego [Konstantynopola – przyp. M.S.] w sposób niewłaściwy, bez zachowania obowiązujących form kanonicznych"[1]. Konstatacje owe były uzasadnieniem dla uznania, że metropolia kijowska zgodnie z kanonami jest „córką" Wielkiego Kościoła Konstantynopola, a ten z kolei nadaje jej autokefalię, czyli uznaje ją za niezależną i równoprawną wobec innych kościołów prawosławnych, dla których staje się „Kościołem siostrzanym". W ten sposób tomos dla Kościoła w Polsce *de jure* unieważniał uzależnienie prawosławia w II Rzeczpospolitej od dziedzictwa zaborów i powiązał je bezpośrednio z dziedzictwem i tradycją Kijowa przed rozbiorami. W 1948 roku część hierarchów Kościoła Prawosławnego w Polsce zwróciła się do Patriarchatu Moskiewskiego o nadanie autokefalii i odrzuciła autokefalię nadaną przez Konstantynopol, uznając się za „córkę" Kościoła Moskwy, czyli *de facto* za kontynuatorkę prawosławia będącego rezultatem zaborów. W 1948 roku przeważyły racje polityczne, co Patriarchat Ekumeniczny przyjął milcząco. Wówczas Warszawie było znacznie bliżej do Moskwy niż do Konstantynopola. Znamienne jest to, że pomimo dosyć częstych kontaktów z Konstantynopolem po 1989 roku, w 2018 roku związki i kościelne „odległości" dla hierarchów PAKP pozostały niezmienne.

Od chwili okupacji Krymu i początku rosyjskiej agresji widoczna była tendencja do odchodzenia wiernych z patriarchatu podległego Moskwie.

[1] Jerzy Stefan Langrod, *O Autokefalii Prawosławnej w Polsce. Studium z zakresu polskiej polityki i administracji wyznaniowej*, Warszawa 1931, s. 91–95.

eprasa.pl 4e2336049b

Tomos dla Ukrainy

Wydarzenia 2018 roku na Ukrainie bazowały na kanonicznym uzasadnieniu tomosu wydanego dla Polski w 1924 roku. W poprzedzającej sobór zjednoczeniowy w Kijowie korespondencji z hierarchią UKP PM patriarcha Bartłomiej I przypominał o niekanoniczności aktu z 1686 roku i podkreślał, że dotychczasowy metropolita UKP PM Onufry po soborze zjednoczeniowym nie będzie mógł używać oficjalnie tytułu metropolity kijowskiego, zaś hierarchia, która nie włączy się w proces zjednoczenia, będzie niekanoniczna. Wzywał wszystkich hierarchów do udziału w soborze zjednoczeniowym i tworzenia jednego Kościoła Prawosławnego. Patriarcha zwracał uwagę na niedotrzymanie zobowiązań Moskwy wobec Kijowa, nazywając ją „Macochą", mówił o „przymykaniu oczu" na naruszenia kanonów przez obecną hierarchię oraz konieczności zachowania i wzmacniania jedności prawosławia, która jest jednym z naczelnych zadań Patriarchatu Ekumenicznego.

W wydanym tomosie patriarcha Bartłomiej I oraz Synod Metropolitów w żaden sposób nie uzasadnia swego prawa do nadania autokefalii, gdyż jest to jego odwieczna kanoniczna kompetencja wynikająca z tradycji i kanonów Kościoła. Tomos stwierdza: „Jednomyślnie uznajemy i ogłaszamy, że cały Kościół Prawosławny, który znajduje się w granicach politycznie uformowanego i całkowicie niezależnego państwa Ukrainy, razem ze świętymi Metropoliami, Arcybiskupstwami, Biskupstwami, klasztorami, parafiami oraz wszystkimi kościelnymi instytucjami (…) istnieje od dzisiaj jako kanoniczna autokefalia, niezależna i samorządna, mając swego Pierwszego (…) Zwierzchnika, który nosi tytuł Metropolity Kijowskiego i Całej Ukrainy". W przemówieniu po podpisaniu tomosu patriarcha Bartłomiej I mówił także o siedemsetletnim oczekiwaniu Ukrainy na autokefalię, uznając tym samym, że już akt powołania metropolii kijowskiej oddzielnie od Moskwy w XIV wieku był wystarczającą kanoniczną podstawą do uznania jej za autokefalię. Wówczas Konstantynopol tego nie uczynił. Z całą stanowczością podkreślał, że Kościołem matką dla Kijowa jest Konstantynopol, a nie Moskwa.

Od połowy grudnia 2018 roku obserwuje się na Ukrainie proces przechodzenia parafii prawosławnych z Patriarchatu Moskiewskiego do Prawosławnego Kościoła Ukrainy. Ukraiński parlament przyjął nowe prawo regulujące, a *de facto* zdecydowanie upraszczające ten proces. Nie zauważa się jednak lawinowego przechodzenia parafii. Władze Ukrainy deklarują poszanowanie praw wiernych i wspólnot, które nie podjęły decyzji o przejściu, Unikają otwartych form nacisku na ten proces. Nadanie autokefalii zostało pozytywnie przyjęte przez zwierzchnika ukraińskich grekokatolików, arcybiskupa Swiatosława Szewczuka, a także naczelnego muftiego Ukrainy. W różnych źródłach pojawiały się informacje o znaczącym wsparciu tego

eprasa.pl 4e2336049b

procesu przez środowiska Tatarów krymskich, którzy stanowią w Turcji znaczną i szanowaną mniejszość narodową.

Zarówno władze kościelne, państwowe, jak i środowiska opiniotwórcze Ukrainy doceniają znaczenie autokefalii. Jedni widzą w niej zwycięstwo nad Moskwą, inni realizację ich naturalnego prawa wynikającego z historii, jeszcze inni ważny element scalający duchowo Ukrainę. Dla wszystkich ważne jest to, że Ukraina została uznana za samodzielny i równoprawny podmiot prawa kościelnego zgodnie z kanonami Kościoła Prawosławnego. Proces ten nie jest rezultatem ukraińskiego nacjonalizmu, co często przywołuje Moskwa we wszystkich możliwych kontekstach, ale naturalnym religijnym prawem wspólnoty narodowej. To delegitymizuje również prawo Moskwy do roszczeń wobec Ukrainy jako części „przestrzeni kanonicznej".

Tomos dla Kijowa ma także znaczenie dla Polski, ponieważ przypomina wielokulturowe i wieloreligijne dziedzictwo Rzeczpospolitej. Z pewnością byłoby znacznie trudniej o tomos dzisiaj, gdyby w 1924 roku grupa polskich i ukraińskich historyków, kanonistów i polityków nie wypracowała wspólnie zasad polskiej autokefalii i nie przekonała do niej Patriarchy Ekumenicznego.

Mirosław Skórka jest członkiem Ukraińskiego Towarzystwa Historycznego w Polsce.

eprasa.pl 4e2336049b

Dla arcybiskupa Szeptyckiego wierność Rzymowi zawsze stała na pierwszym miejscu

Z profesorem Grzegorzem Motyką, historykiem i politologiem, dyrektorem Instytutu Studiów Politycznych PAN, rozmawia Wojciech Wojtasiewicz

WOJCIECH WOJTASIEWICZ: Dlaczego książka *Dwa królestwa* (wydana w Polsce w 2017 roku), będąca zapiskami biskupa Kościoła greckokatolickiego, błogosławionego Grzegorza Chomyszyna, stała się głównym orężem środowisk prawicowo-kresowych przeciwko beatyfikacji arcybiskupa metropolity lwowskiego Andrzeja Szeptyckiego? Niedawno orędownik środowisk kresowych ksiądz Tadeusz Isakowicz-Zaleski po raz kolejny zakwestionował ideę jego beatyfikacji. Jakie są przyczyny kontrowersji wokół postaci arcybiskupa Szeptyckiego?

GRZEGORZ MOTYKA: Wspomniana książka, wydana najpierw na Ukrainie, a potem w Polsce, wywołała duże zainteresowanie społeczne. Środowiska kresowo-narodowe zbudowały wokół niej narrację, która mówi o metropolicie Szeptyckim jak najgorzej. W tym duchu utrzymany jest również film dokumentalny *Prorok Ukrainy*, który powstał w telewizji Trwam. Tymczasem z tych zapisków, co dla mnie samego było zaskoczeniem, wyłania się całkiem inny obraz Szeptyckiego i Chomyszyna. Jeśli ktoś uwierzył w kresową narrację, to doszedł do wniosku, że podstawowy spór między nimi dotyczył stosunku do nacjonalizmu ukraińskiego, podczas gdy w rzeczywistości koncentrował się on wokół spraw wewnątrzkościelnych. Metropolita Szeptycki był bardziej otwarty na Wschód. Jego celem było zjednoczenie z Cerkwią greckokatolicką prawosławia na Ukrainie oraz w Rosji, natomiast biskup Chomyszyn uważał to za nieosiągalne. Przewidywał nadejście prześladowań Kościoła i w związku z tym opowiadał się za przygotowaniem wiernych greckokatolickich na nadchodzące cierpienia, poprzez jak największe zbliżenie z obrządkiem rzymskokatolickim. Oczywiście, biskup Chomyszyn wypowiadał się również o nacjonalizmie, czytamy na przykład: „Główne nasze sprzeniewierzenie to herezja nacjonalizmu (…) to najcięższa i najniebezpieczniejsza herezja

eprasa.pl 4e2336049b

naszych czasów. (…) Stawia nacjonalizm ponad wszystko, nawet ponad Boga, ponad Cerkiew i Boże Prawa".

Z tych słów widać wyraźnie, że Chomyszyn mówił o grzechu nacjonalizmu dotykającym całą ukraińską wspólnotę. Metropolicie zarzucał, że pomimo „rozumienia gorączki nacjonalizmu" reagował na niego z opóźnieniem i zbyt zachowawczo, nie chcąc stracić poparcia wśród wiernych. Co ciekawe, w narracji kresowo-narodowej pomija się milczeniem, że biskup Chomyszyn równie mocno potępiał rozpowszechniony tym razem wśród Polaków „grzech ukraiński". Pisał wprost, że „Polacy chcą, ażeby nie było Ukrainy i narodu ukraińskiego, i dlatego trzymają się z rusofilami i Rosjanami, a Ukraińcy są dla nich znienawidzeni".

Potępiał szykany, jakie dotykały jego wiernych w II RP: „Posady urzędowe dla Ukraińców ograniczono do minimum, a nasz prosty najemnik nie mógł być nawet zamiataczem ulic, jak nie przeszedł na obrządek łaciński i nie został Polakiem". Podobnych pretensji pod adresem Polski znajdziemy więcej. Krytykował zwłaszcza „skrajną prasę szowinistyczną, nawet katolicką", w tym „prasę redagowaną przez zakon oo. Franciszkanów w Niepokalanowie".

Czy spór pomiędzy Szeptyckim a Chomyszynem był za ich życia publiczny, czy ujawniony został dopiero po publikacji *Dwóch królestw*?

Sam spór pomiędzy obu hierarchami był znany, choć dopiero z zapisków możemy się dowiedzieć, jak bardzo był on głęboki. Biskup Chomyszyn opowiadał się za wprowadzeniem celibatu wśród księży greckokatolickich, tymczasem metropolita Szeptycki był temu przeciwny, widząc w tym zagrożenie dla planów przyciągnięcia prawosławnych. Gdy Szeptycki chce nawracać i powiększać szeregi Cerkwi, to Chomyszyn boi się utraty wiary przez jego wiernych i dąży do jej umocnienia. Z dzisiejszego punktu widzenia może wydawać się szokujące, ale Chomyszyn zarzucał Szeptyckiemu nawet to, że ten odprawił nabożeństwo żałobne za Symona Petlurę, bo to przecież wyznawca prawosławia, czyli schizmatyk i w dodatku mason. Spór Szeptycki – Chomyszyn przypomina mi do pewnego stopnia znany z *Listu do Galatów* konflikt pomiędzy świętym Piotrem i świętym Pawłem. Nie widzę po lekturze biskupa Chomyszyna niczego, co by dodawało wagi argumentom przeciwników beatyfikacji Szeptyckiego.

Oznacza to, że środowiska kresowo-prawicowe odczytują tę książkę zgodnie z założoną z góry tezą.

Żeby zdyskredytować arcybiskupa Szeptyckiego, wskazują tylko na wygodne dla siebie fragmenty, wyrywając je z kontekstu. Wręcz groteskowo brzmi pochwała zapisków biskupa w telewizji Trwam w sytuacji, kiedy tak ostro krytykował on franciszkanów z Niepokalanowa.

Jaka jest przyczyna chęci wyniesienia na ołtarze metropolity Szeptyckiego?

eprasa.pl 4e2336049b

archiwum Grzegorza Motyki

Grzegorz Motyka: Żeby zdyskredytować arcybiskupa Szeptyckiego, środowiska polskiej prawicy wskazują tylko na wygodne dla siebie fragmenty książki biskupa Chomyszyna, wyrywając je z kontekstu. Wręcz groteskowo brzmi pochwała zapisków biskupa w telewizji Trwam w sytuacji, kiedy tak ostro krytykował on franciszkanów z Niepokalanowa.

eprasa.pl/4e2336049b

Arcybiskup Szeptycki był niewątpliwie wielkim mężem Kościoła katolickiego. Stał na czele Cerkwi greckokatolickiej w latach 1900–1944, a więc w bardzo trudnych czasach I i II wojny światowej. Wywarł też na nią ogromny wpływ, zbudował podwaliny jej siły ekonomicznej, duchowej i intelektualnej. Na mnie szczególnie wielkie wrażenie robią jego działania w czasie II wojny światowej, podczas której występuje z serią listów w obronie życia. W ten sposób protestował przeciwko prześladowaniom Żydów, starając się powstrzymać społeczność zachodnioukraińską przed współudziałem w Holocauście. Te wszystkie listy, z najsłynniejszym „Nie zabijaj", miały służyć właśnie temu.

Jednak profesor Andrzej Zięba twierdzi, że udokumentowano zaledwie dwadzieścia przypadków Żydów ukrywanych i uratowanych przez Szeptyckiego. Przeciwnicy beatyfikacji metropolity podnoszą, że środowiska żydowskie nie nadały mu tytułu Sprawiedliwego wśród Narodów Świata.

Dwadzieścia osób, choć inni badacze podają też nieco większe liczby, to wcale nie jest tak mało. Arcybiskup zbudował całą siatkę greckokatolicką, która pomagała ratować Żydów. Tytułu Sprawiedliwego nie uzyskał tylko dlatego, że był arcybiskupem i metropolitą i Yad Vashem nie chce stworzyć wrażenia, że w ten sposób honoruje całą katolicką wspólnotę – co zresztą jest dość kontrowersyjnym podejściem.

Wśród nich znaleźli się rabini oraz późniejszy minister spraw zagranicznych III RP Adam Daniel Rotfeld. Jednak przeciwnicy procesu beatyfikacyjnego zarzucają Szeptyckiemu, że wchodzące na ziemie ukraińskie wojska hitlerowskie witał z entuzjazmem oraz pogratulował Adolfowi Hitlerowi zajęcia Kijowa. Podnoszą, że wysłał duchownych greckokatolickich do oddziałów ukraińskich w SS-Galizien.

W roku 1941 metropolita Andrzej Szeptycki faktycznie przywitał wojska niemieckie z radością, bo tak witali je wtedy wszyscy w Galicji, zarówno Ukraińcy, jak i Polacy. Po dwóch latach prześladowań komunistycznych widziano w oddziałach niemieckich autentycznych wyzwolicieli. To było powszechne odczucie. Sądzono błędnie, że wracają ci sami Niemcy, którzy panowali nad terenami Galicji przed I wojną światową.

Jednak czy takie spojrzenie na rzeczywistość 1941 roku nie było naiwne? Czy do arcybiskupa Szeptyckiego nie docierały informacje, jak wyglądała okupacja hitlerowska w Polsce, jak wyglądała eksterminacja Żydów?

W latach 1939–1941 okrucieństwa obu okupantów wydawały się co najmniej porównywalne, wielu uważało wręcz, że sytuacja Polaków jest znacznie gorsza pod okupacją sowiecką. Dlatego w Galicji cała ludność z wyjątkiem Żydów, którzy mieli prawo obawiać się rasistowskich uprzedzeń nazistów, miała złudzenia co do Niemców. Jednak dość szybko zdano

eprasa.pl 4e2336049b

sobie sprawę z ich bezwzględności. Listy metropolity Szeptyckiego do papieża Piusa XII, w których opisuje zbrodnie niemieckie z przełomu 1941 i 1942 roku, pokazują wyraźnie, że jest wstrząśnięty sposobem postępowania nazistów. To, co się kładzie cieniem na Szeptyckim, to jego decyzja z 1943 roku, aby dać pewien mandat zaufania Ukraińskiemu Centralnemu Komitetowi, który zdecydował się wesprzeć inicjatywę utworzenia dywizji SS-Galizien. Metropolita, uznając za ważne istnienie ukraińskich sił zbrojnych, zgodził się wysłać do niej kapelanów. Nawet jeśli założyć, że myślał wyłącznie, a takie jest oficjalne tłumaczenie tej decyzji, o zbawieniu dusz greckokatolickich wiernych, którzy się zgłosili do tej jednostki, było to posunięcie kontrowersyjne.

Jednak należy pamiętać, że równolegle odmówił wysłania kapelanów do Ukraińskiej Powstańczej Armii. Na początku 1944 roku biskupi greckokatoliccy wydali list „Pokój w Panu", który był mocnym głosem krytycznym wobec działań UPA. W czasie kiedy w Galicji zaczynały się masowe antypolskie czystki, biskupi zdecydowanie potępili zabijanie kapłanów, tak rzymskokatolickich, jak i greckokatolickich oraz prawosławnych. Za grzech i zbrodnię uznali mordowanie wszelkich osób niewinnych. To był bardzo wyraźny głos przeciw UPA i tak został przez kierownictwo tej organizacji odebrany.

Jednak będę się upierał przy tym, że istnieje wiele kontrowersji wokół osoby arcybiskupa Andrzeja Szeptyckiego. Po ponownym wkroczeniu Sowietów metropolita wystosował kolejny list powitalny, tym razem do Józefa Stalina. Jedni twierdzą, że był do tego zmuszony okolicznościami. Chciał chronić Kościół greckokatolicki i jego wiernych. Inni zaś oskarżają go o uległość wobec ówczesnych dyktatorów oraz wypominają mu, że na jego pogrzeb Stalin przysłał kompanię honorową Armii Czerwonej.

A kilka miesięcy później Stalin kazał wszystkich biskupów greckokatolickich aresztować. Duża część z nich została następnie zamordowana i po upadku komunizmu ogłoszona błogosławionymi męczennikami za wiarę. List do Stalina w sposób oczywisty miał taktyczny charakter. Był próbą ratowania wspólnoty greckokatolickiej przed prześladowaniami. Szeptycki był gotowy na dialog z każdym, nawet z diabłem, byleby tylko ochronić Cerkiew greckokatolicką. Działanie arcybiskupa było więc podyktowane troską o Kościół. Dzisiaj widzimy, że na niewiele to się zdało. W 1946 roku komuniści wręcz zlikwidowali Cerkiew greckokatolicką i jej wierni dopiero od upadku ZSRS mogą na nowo cieszyć się wolnością religijną.

Z pewnością posługa kapłańska Andrzeja Szeptyckiego przypadła na bardzo trudne czasy. Stawał przed ogromnymi dylematami. Jednak czy mimo wszystko, patrząc również na przyszłość stosunków polsko-ukraińskich i wieczne spory historyczne,

eprasa.pl 4e2336049b

nie byłoby lepiej, gdyby proces beatyfikacji metropolity został zatrzymany? Sprawa ta wzbudza mnóstwo kontrowersji. Ksiądz Isakowicz-Zaleski apeluje do wiernych, żeby pisali listy protestacyjne do Watykanu, do papieża Franciszka.

Osobiście ucieszyłbym się z tej beatyfikacji. Nie sądzę, aby utrudniła ona dialog polsko-ukraiński, wręcz odwrotnie. Wspomniany przeze mnie list „Pokój w Panu", w którym *de facto* potępiano antypolskie czystki prowadzone przez UPA, nie jest na Ukrainie szczególnie nagłośniony, bo przypomina niewygodne fakty. Rzeczowe, otwarte mówienie o arcybiskupie Szeptyckim i jego krytycznym stosunku do UPA mogłoby być pomocne w zrozumieniu przez Ukraińców, jak ważne jest dla współczesnych relacji polsko-ukraińskich potępienie zbrodni wołyńsko-galicyjskiej.

Proces beatyfikacyjny Szeptyckiego został praktycznie zakończony – został potwierdzony cud i heroiczność jego cnót. Teraz wszystko zależy od papieża Franciszka. Biorąc pod uwagę zmiany zachodzące na Ukrainie, przede wszystkim zaś fakt powołania autokefalicznej Cerkwi Prawosławnej Ukrainy, beatyfikacja Szeptyckiego, który marzył o otwarciu Cerkwi greckokatolickiej na prawosławie, zyskuje tylko na znaczeniu. Powstanie nowej wspólnoty prawosławnej może doprowadzić w dłuższej perspektywie do odpływu grekokatolików do Cerkwi prawosławnej. Jeżeli więc Watykan nie dokona teraz beatyfikacji arcybiskupa, dla którego wierność Rzymowi zawsze stała na pierwszym miejscu, to będzie to historyczny błąd.

Wspomniał Pan o kwestii zjednoczenia Cerkwi prawosławnej na Ukrainie. Proces zjednoczeniowy nie będzie krótki oraz pozbawiony turbulencji. Jak ta sprawa może wpłynąć na zbliżające się wybory prezydenckie na Ukrainie i na szanse obecnego prezydenta Petra Poroszenki na reelekcję? Jak przełoży się ona na kształt stosunków pomiędzy Kijowem a Moskwą? Czy patriarchat moskiewski i Kreml nie będą wykorzystywać tej kwestii do destabilizowania sytuacji na wschodzie Ukrainy?

Państwowotwórcza część tego projektu wzmacnia niewątpliwie szanse prezydenta Poroszenki na reelekcję. Ogłoszenie autokefalii podporządkowanej Konstantynopolowi jest kolejnym krokiem do uniezależnienia się państwa ukraińskiego od Moskwy. Jednak droga do stworzenia jednej ukraińskiej wspólnoty prawosławnej będzie na pewno długa i choćby dlatego nie może to być jedyny powód, dla którego Ukraińcy ponownie wybiorą na najwyższy urząd w państwie Poroszenkę. Na prezydencie zresztą spoczywa ogromna odpowiedzialność, aby wierni, którzy zdecydują się pozostać pod zwierzchnictwem Patriarchatu Moskiewskiego, nie odczuli ze strony państwa żadnego ucisku. Taką obietnicę złożył. Jeśli jej nie spełni, to jego szanse wyborcze gwałtownie się skurczą.

Decyzja o zjednoczeniu ukraińskiego prawosławia stawia też nowe wyzwa-

eprasa.pl 4e2336049b

nia przed Cerkwią greckokatolicką. Duża część społeczeństwa, którą można określić mianem patriotycznej, zaangażuje się w tworzenie wspólnoty prawosławnej. Cerkiew greckokatolicka, która stworzyła sieć administracyjną nie tylko na zachodzie Ukrainy, może się znaleźć na marginesie tych wydarzeń, a z całą pewnością by tego nie chciała. Nie przypadkiem papieżowi Janowi Pawłowi II tak bardzo zależało na pielgrzymce na Ukrainę i na beatyfikacji biskupów greckokatolickich; wyraził wtedy też nadzieję, że nadejdzie taki moment, kiedy metropolita zostanie wyniesiony na ołtarze. Karol Wojtyła rozumiał doskonale wagę tego typu gestów.

Jak sprawa arcybiskupa Szeptyckiego wpisuje się w zagadnienie stosunków polsko-ukraińskich? Jak Pan ocenia stan obecnych relacji pomiędzy Warszawą a Kijowem? Wielu analityków twierdzi, że po 2015 roku stały się one najgorsze od momentu odzyskania przez Ukrainę niepodległości, a Polska przestała być adwokatem Kijowa w jego integracji z Unią Europejską i Sojuszem Północnoatlantyckim. Czy jest szansa na przełom na linii Warszawa–Kijów?

Nawet w tych najtrudniejszych momentach wzajemnych relacji w ostatnich latach nie zerwano bieżącej współpracy politycznej, gospodarczej czy wojskowej. Wydaje się, że w ostatnich miesiącach nastąpiło pewne ocieplenie we wzajemnych kontaktach. Minister Czaputowicz parokrotnie był na Ukrainie. Polska zdecydowanie potępiła incydent w Cieśninie Kerczeńskiej i wsparła ukraińskie aspiracje dotyczące wolnej żeglugi na Morzu Azowskim i Morzu Czarnym. Wydaje się również, że po stronie ukraińskiej dojrzewa świadomość tego, że dobre relacje z Polską przynoszą pewien zysk, który szkoda byłoby utracić z powodu sporów historycznych. Jednak w obu naszych państwach w tym roku będą odbywały się wybory i dlatego poza lekkim ociepleniem raczej nie należy spodziewać się jakichś gwałtownych zmian. Przełomem byłaby ewentualna zgoda strony ukraińskiej na ekshumacje ofiar rzezi wołyńskiej. Teoretycznie to nawet nie jest takie trudne – sprawa ta leży przecież w gestii polskiego i ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej i wystarczyłaby decyzja ich szefów. Jednak, żeby dojść do porozumienia, trzeba najpierw spotkać się i porozmawiać, a z tego co wiem, instytucje te nie kwapią się do podjęcia dialogu.

Profesor Grzegorz Motyka jest historykiem i politologiem. Dyrektor Instytutu Studiów Politycznych PAN. W latach 2011–2016 członek Rady Instytutu Pamięci Narodowej. Autor książek dotyczących historii relacji polsko-ukraińskich, między innymi *Od rzezi wołyńskiej do akcji „Wisła". Konflikt polsko-ukraiński 1943–1947* (Kraków 2011) oraz *Wołyń '43* (Kraków 2016).

eprasa.pl 4e2336049b

Zmarnowana pięciolatka

Ołena Betlij

Relacje ukraińsko-polskie tkwią w kryzysie. I nie jest to po prostu kryzys stosunków między państwami. W dużym stopniu to kryzys wewnętrzny wszystkich tych, którzy mieli wpływ na kształtowanie tych relacji na różnych szczeblach, a następnie go utracili wskutek nadejścia nowych aktorów i nowych treści.

Wybory prezydenckie i parlamentarne, które mają odbyć się w tym roku na Ukrainie, skłaniają do dokonania bilansu współpracy między Ukrainą i Polską podczas kadencji Petra Poroszenki w latach 2014–2015. Postaram się zaproponować własne spojrzenie na temat stanu współpracy dwustronnej, a także przyczyn kryzysu, w którym się znaleźliśmy, i możliwych sposobów jego przezwyciężenia.

Jaka jest pamięć o rozwoju stosunków ukraińsko-polskich od roku 1991? Co pamiętamy my sami i czy dysponujemy na ich temat pamięcią instytucjonalną? Łatwiej jest mi odpowiedzieć na pierwsze pytanie związane z moją własną, indywidualną pamięcią. Zbudowana jest ona na dwóch filarach: Instytucie Europy Środkowo-Wschodniej profesora Jerzego Kłoczowskiego w Lublinie oraz wizji wschodniego wymiaru Unii Europejskiej profesora Bronisława Geremka, która ostatecznie zmaterializowała się w projekcie Partnerstwa Wschodniego. Obaj polscy intelektualiści potrafili wychować młodsze pokolenie, które rozumie wagę stosunków ukraińsko-polskich. Jednocześnie musimy też pamiętać, że liczba polskich inicjatyw, w które zaangażowani byli Ukraińcy bądź Polacy i Ukraińcy razem, jest znacznie większa niż liczba analogicznych inicjatyw ukraińskich.

Kłopotliwa pamięć

W związku z tym pamięć Ukraińców na temat Polski w tym okresie jest skrajnie fragmentaryczna, a wskutek tego niepełny jest także obraz współczesnej Polski, ponieważ jest on kształtowany na podstawie własnego doświadczenia, które często prowadzi do emocjonalnego wybuchu zamiast do chłodnej analizy w rozumieniu giedroyciowskim.

Trudniej jest natomiast z odpowiedzią na pytanie o wspólną pamięć instytucjonalną, bo na Ukrainie nie ma żadnej instytucji, która by w sposób nieprzerwany zajmo-

eprasa.pl 4e2336049b

wała się analizą i rozwojem wyłącznie współpracy ukraińsko-polskiej czy Polską jako taką, jak to robią na przykład Polski Instytut Spraw Międzynarodowych czy Ośrodek Studiów Wschodnich. Tak więc to, co miałoby być pamięcią instytucjonalną, na razie zostało odtworzone przez ukraińskiego historyka Heorhija Kasjanowa w książce *Past Continuous. Istoryczna polityka 1980-ych – 2000-ych. Ukrajina ta susidy*.

W praktyce oznacza to, że Ukraina nie ma polityki polskiej. Natomiast Polska ma politykę ukraińską od 1918 roku.

Taki stan rzeczy doprowadził do sytuacji, w której Ukraina okazała się niegotowa do wyzwań związanych z tematem Wołynia. Z tych samych przyczyn Kijów nie był przygotowany do zmiany władzy w Polsce. Jeszcze 7 lipca 2015 roku prezydent Petro Poroszenko uroczyście gratulował Bronisławowi Komorowskiemu tytułu doktora *honoris causa*, który nadał mu Lwowski Narodowy Uniwersytet im. Iwana Franki. Poroszenko mówił wtedy: „Pragnąłbym jako pierwszy pogratulować wielkiemu przyjacielowi Ukrainy i mojemu osobistemu przyjacielowi, osobie, która była i pozostaje wpływowym adwokatem ukraińskich interesów w Unii Europejskiej”[1]. A już 24 sierpnia 2015 roku nowo wybrany prezydent Andrzej Duda składał życzenia Ukraińcom z okazji Dnia Niepodległości, mówiąc: „Wierzę w możliwość rozwiązania problemu na drodze współpracy dwustronnej oraz w prowadzenie realnego dialogu historycznego, opartego na prawdzie i wzajemnym szacunku”[2].

Raczej trudno było oczekiwać od prezydenta Ukrainy oraz innych aktorów ukraińsko-polskiego dialogu, że w momencie trwającej agresji Rosji słowa o „realnym dialogu historycznym” będą należycie usłyszane. Jednak można też przypuszczać, że gdyby na Ukrainie istniały instytucje badające sytuację w Polsce, to ukraińscy politycy zostaliby w porę poinformowani, że polskie stanowisko w sprawie dialogu historycznego i Wołynia nie jest wymysłem nowo wybranych władz nad Wisłą, a logiczną kontynuacją dynamiki stosunków polsko-ukraińskich widzianych z perspektywy Warszawy[3].

---

[1] *Президент у Львові привітав Президента Польщі з присвоєнням звання почесного доктора Львівського університету*, https://www.president.gov.ua/news/prezident-u-lvovi-privitav-prezidenta-polshi-z-pris-voyennyam-35584.

[2] *Президент Польщі привітав Україну із Днем незалежності*, https://www.president.gov.ua/news/prezident-polshi-privitav-ukrayinu-iz-dnem-nezalezhnosti-35837.

[3] O stanowisku polskich środowisk politycznych w sprawie Wołynia w latach 1943–1944 świadczyły obchody rocznicy rzezi w lipcu 2013 roku. One pokazały także i to, jak ta tragiczna karta będzie wykorzystywana przez Rosji dla podsycania wrogości między Polską i Ukrainą (przykładem niech będzie chociażby udział odrażających przedstawicieli Partii Regionów w posiedzeniu Sejmu). Zarazem jednak owocem tych właśnie obchodów był wyśmienity dialog współczesnych intelektualistów Andrija Portnowa i Sławomira Dębskiego: *Mój drogi Przyjacielu! Sławomir Dębski do Andrija Portnowa*, http://wyborcza.pl/magazyn/1,124059,14411291,Wolyn__Jeszcze_rzez_czy_juz_ludobojstwo.html; Андрій Портнов, *Відповідь польському другові*, http://www.historians.in.ua/index.php/en/zabuti-zertvy-viyny/838-slavomir-dembskyi-andrii-portnovpro-henotsyd-i-volyn-andrii-portnovvidpovid-polskomu-druhovi.

eprasa.pl 4e2336049b

Tej dynamiki nie można było ignorować i trzeba było szykować się do lipca 2016 roku, czemu jednak później przeszkodziła już nie tyle wojna, ile kryzys rządu Arsenija Jaceniuka. Co więcej, trzeba było pamiętać, że stosunki dwustronne nie znają pojęcia „przyjaźń", lecz znają pojęcie „interesy". Tak więc naiwnością było oczekiwanie, szczególnie w świetle nowej polityki pamięci na Ukrainie, że Polska znów wykaże pobłażliwość. Ale też Warszawa powinna być świadoma, że Ukraińcy nie zapomną jej chęci ostatecznego załatwienia problemu rzezi wołyńskiej w okresie konfliktu między Ukrainą i Rosją.

Coraz większe uwikłanie historii w nowy kontekst relacji ukraińsko-polskich ukazały smutne wydarzenia z wiosny 2017 roku. 27 kwietnia, następnego dnia po tym, jak zgodnie z decyzją wójta gminy Stubno Janusza Słabickiego rozebrano pomnik bohaterów Ukraińskiej Powstańczej Armii w Hruszowicach, Ukraiński Instytut Pamięci Narodowej (UIPN) „wystąpił, na forum ukraińskiej Międzyresortowej Komisji ds. Wojen i Represji Politycznych, z inicjatywą wstrzymania wydawania zgód na prace ekshumacyjne i porządkowe w polskich miejscach pamięci na Ukrainie"[4].

Taka była odpowiedź na niszczenie miejsc pamięci bojowników UPA w Polsce. Przypomnę tylko, że w tym okresie prezydent Poroszenko robił, co mógł, by historia nie zdominowała stosunków dwustronnych. A to złożył kwiaty pod pomnikiem Rzezi Wołyńskiej w Warszawie podczas szczytu NATO w lipcu 2016 roku, a to ważył słowa w czasie wystąpień publicznych. Wstrzemięźliwe były też głosy ukraińskiego parlamentu w odpowiedzi na uchwałę sejmu.

Decyzja UIPN zboczyła z torów, na których stosunki dwustronne budował prezydent Poroszenko i ukraińskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Jednak dobrze wpisała się w działania dekomunizacyjne w przestrzeni publicznej, przede wszystkim zmiany nazw ulic, które przeprowadzały rady miejskie, w tym kijowska[5]. O próbie wyjścia poza narzucone przez UIPN ramy świadczyła rozmowa telefoniczna prezydentów 3 maja 2017 roku, w której „Andrzej Duda obiecał osobiście przyjrzeć się temu incydentowi i dokonać jego rzetelnej oceny, aby podobne incydenty nie powtórzyły się w przyszłości. Uzgodniono także koordynację działań z zakresu legalizacji wszystkich miejsc pochówków zarówno na terytorium Polski, jak i polskich na Ukrainie, w celu nadania im należytej opieki państwa zgodnie z dwustronnym porozumieniem o ochronie miejsc pamięci"[6].

---

[4] *Заява щодо нищення братської могили вояків УПА в Польщі*, http://www.memory.gov.ua/news/zayava-shchodo-nishchennya-bratskoi-mogili-voyakiv-upa-v-polshchi.

[5] Dobrym przykładem krytycznej reakcji na taką politykę jest tekst wybitnego historyka ukraińskiego Jarosława Hrycaka o pojawieniu się ulicy Bandery w Kijowie: Ярослав Грицак, *Про перейменування вулиць у Києві*, http://uamoderna.com/blogy/yaroslav-griczak/kyiv-streets-renaming.

[6] *Президент України провів телефонну розмову з Президентом Республіки Польща*, https://www.president.gov.ua/news/prezident-ukrayini-proviv-telefonnu-rozmovu-z-prezidentom-re-41222.

eprasa.pl 4e2336049b

A więc otwarte pozostaje pytanie o przyczyny, dlaczego UIPN w tak błyskawicznym tempie upublicznił swoją decyzję w sprawie ekshumacji, która w praktyce zablokowała rozwój ukraińsko-polskiego dialogu aż do dziś.

W rezultacie w 2019 rok weszliśmy z wielkim bagażem konfliktu pamięci oraz różnymi aktorami, którzy często mają własne, odmienne interesy i również wykorzystują kwestię polską do ich realizacji. Jak nierzadko bywa w wielu konfliktach, strony już zapomniały, od czego wszystko się zaczęło, znalazły się w klinczu i nie widzą z niego wyjścia. Jednak pozytywna decyzja polskiego Trybunału Konstytucyjnego w sprawie zmian w ustawie o IPN wzbudza nadzieje na odblokowanie dialogu politycznego. Polska zrobiła co najmniej to, o co prosił prezydent Poroszenko w lutym 2018 roku. Teraz decyzja w sprawie zgody na ekshumacje leży w gestii wicepremiera Pawła Rozenki. Chciałoby się mieć nadzieję, że strona ukraińska rozumie, iż traktowanie umarłych jak zakładników to nie argument, a dowód słabości niepodległego państwa, ponieważ to w jego interesie leży godne pochowanie wszystkich, którzy stracili życie na jego terytorium.

Niezrozumiana perspektywa

Bezkrytyczne wsparcie Ukrainy ze strony Polski zimą i wiosną 2014 roku, a następnie zaostrzenie ukraińsko-polskiego dialogu historycznego powiększyły nad Dnieprem grono osób komentujących i analizujących relacje dwustronne. Bez przesady można powiedzieć, że Polska stała się tematem modnym, a sam kraj zdobył popularność jako miejsce docelowe dla Ukraińców szukających pracy i wykształcenia. Jednak jedyny z tego zysk to stosy wirtualnej makulatury – tyle kilobajtów pseudoanalityki wysmażyli zawołani fejsbukowi eksperci od stosunków ukraińsko-polskich. Nie doprowadziło to jednak do pojawienia się ani w kołach rządowych, ani eksperckich jasnej polityki wobec Polski.

Częściowo można to wytłumaczyć brakiem należnej wiedzy o przeszłości i ówczesnym stanie stosunków dwustronnych i ich dynamiki. Częściowo zaś – zmianą ogólnego kontekstu, w jakim te relacje rozwijają się po 2014 roku.

Komunikaty na stronie prezydenta Ukrainy mówią nam o treściach, którymi strona ukraińska wypełniała relacje z Polską. Polska ustawiała się i siłą inercji wciąż jest ustawiana w roli „naszego adwokata w kwestiach integracji europejskiej”[7]. I rzeczywiście, polska dyplomacja i polscy politycy wiele zrobili na rzecz podpisania umowy stowarzyszeniowej, umowy o pogłębionej strefie wolnego handlu oraz liberalizacji unijnego reżimu wizowego dla Ukraińców. Inna sprawa, że ten etap integracji ma-

[7] *Президент в інтерв'ю польському TVN24: Ніхто не знає, кого Росія атакує завтра*, https://www.president.gov.ua/news/prezident-v-intervyu-polskomu-tvn24-nihto-ne-znaye-kogo-rosi-51826.

eprasa.pl 4e2336049b

my już za sobą, a na pytanie o to, jaki będzie kolejny – nawet Kijów nie ma na razie odpowiedzi. Tak więc trudno jednoznacznie orzec, że Polska wyczerpała już swój adwokacki potencjał[8]. Można założyć, że jak tylko pojawi się wizja dalszej eurointegracji Ukrainy, Warszawa znów wejdzie w tę rolę.

Jednocześnie w okresie, gdy Unia przeżywa największy kryzys od początku swojego istnienia, polscy eksperci słusznie zwracają nam uwagę, byśmy skoncentrowali się nie tyle na eurointegracji, ile na członkostwie w NATO[9]. Zresztą wymiar bezpieczeństwa w relacjach dwustronnych, wskutek rosyjskiej agresji, zaczął naturalnie dominować nad innymi. W tym wymiarze, jak wielokrotnie przypominał prezydent Poroszenko, Polska jest sojusznikiem, który zawsze solidaryzuje się z Ukrainą i wspiera jej suwerenność oraz integralność terytorialną na arenie międzynarodowej. W praktyce to wsparcie można mierzyć poparciem dla sankcji i kuluarowymi rozmowami z administracją Donalda Trumpa. Widoczne ono jest w Radzie Bezpieczeństwa ONZ i gdy trzeba szybko zareagować na rosyjskie próby eskalacji konfliktu, jak po ostrzelaniu ukraińskich okrętów w Cieśninie Kerczeńskiej pod koniec listopada ubiegłego roku, a także w nowych propozycjach powołania specjalnego wysłannika sekretarza ONZ do spraw Ukrainy.

Na agendę wraca nie tyle polityka historyczna, ile polityka tożsamości, opierająca się na jasnej opozycji swój–obcy i budująca kontekst ukraińsko-polskich relacji.

Takie komunikaty w dalszym ciągu kształtują obraz Polski w oczach ukraińskiego społeczeństwa. Bo przecież to Polska zajmuje pierwsze miejsce wśród krajów, do których Ukraińcy odnoszą się najbardziej przyjaźnie[10]. I dobrze by było, gdyby o tym dowodzie wdzięczności[11] ze strony społeczeństwa ukraińskiego społeczeństwo polskie wiedziało tak samo dobrze, jak o każdym nowym prztyczku ze strony szefa UIPN. To ważne, ponieważ percepcja Ukrainy w Polsce kształtuje się w warunkach niebywałej polaryzacji społeczeństwa. W swej najtragiczniejszej skali unaoczniła się ona wraz z zabójstwem prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza. Tak więc na agendę wraca nie tyle polityka historyczna, ile polityka tożsamości, opierająca się

[8] Patrz: Надія Коваль, *Окрім історичних суперечок: яке майбутнє для польсько-українських відносин? Польський погляд*, http://library.fes.de/pdf-files/bueros/ukraine/14974.pdf.

[9] Przemysław Żurawski vel Grajewski, *Nie chowajmy Giedroycia do szafy* [wywiad Piotra Kaszczyszyna], https://klubjagiellonski.pl/2017/03/30/zurawski-vel-grajewski-nie-chowajmy-giedroycia-do-szafy/.

[10] Badanie ukraińskiej opinii publicznej, 29.09–14.10.2018, https://www.iri.org/sites/default/files/2018.11.30_ukraine_poll.pdf.

[11] Brak takiej wdzięczności prowadzi do kształtowania obrazu Ukraińców, którzy nie doceniają polskiej pomocy, co z kolei rodzi obojętność polskiego elektoratu wobec sytuacji bezpieczeństwa na Ukrainie: *W cieniu „Fortów Putin" – rozmowa z Adamem Eberhardtem* [wywiad Sławomira Dębskiego], http://www.pism.pl/files/?id_plik=25294.

eprasa.pl 4e2336049b

na jasnej opozycji swój–obcy i budująca – przede wszystkim w Polsce – kontekst obecnych ukraińsko-polskich relacji.

Wszystko to prowadzi do sytuacji, w której polscy i ukraińscy eksperci okopują się na własnych pozycjach i nie są w stanie zaproponować wizji dalszej współpracy pomiędzy oboma państwami. Świadczą o tym zarówno materiały publikowane w „Nowej Europie Wschodniej", jak i przez różne centra analityczne[12]. Niemniej nie zgadzam się z tezą, że jesteśmy świadkami sytuacji paradoksalnej: łączą nas najlepsze stosunki w sferze gospodarczej i wojskowej, a najgorsze – w politycznej.

Według mnie, nie ma w tym nic sprzecznego, ponieważ stworzono wszelkie warunki do efektywnej i odpornej na polityczne wstrząsy współpracy sektorowej w ramach: umowy stowarzyszeniowej, pogłębionej strefy wolnego handlu, LITPOLUKRBRYG' i tak dalej. Inna rzecz, jak szybko rdza, którą wraz z upływem czasu pozostawi po sobie (nie)dialog historyczny, zacznie atakować współpracę na poziomie międzyludzkim; jak szybko współpraca stanie się dla obu stron toksyczna i jak szybko zniknie zaufanie między ekspertami?

Pierwsze oznaki takiej niechęci widzę już teraz, rozmawiając ze studentami Mohylanki [Akademii Kijowsko-Mohylańskiej – przyp. red.], którzy jeżdżą na studia do Polski, mają w Polsce krewnych bądź też odwiedzają ją w celach turystycznych. O ile dziesięć lat temu Polska wzbudzała żywe zainteresowanie i wiele sympatii, o tyle teraz mocno traci na atrakcyjności. Nie można też zamykać oczu na topniejące zaufanie w środowisku eksperckim oraz wśród tych, którzy biorą udział w różnego rodzaju dwustronnych forach. Przeglądając zdjęcia choćby z ostatniego posiedzenia Ukraińsko-Polskiego Forum Partnerstwa i widząc zdominowany przez mężczyzn skład tego gremium, chciało się tylko wzruszyć ramionami. Bo wielu z jego uczestników nie podałoby sobie ręki poza forum, o czym świadczyły jednoznaczne wpisy w sieciach społecznościowych podczas jego trwania.

Powstaje więc pytanie: czy środowisko eksperckie oraz media są w stanie uzdrowić klimat relacji dwustronnych, czy też są one skazane na obsługę narracji polityk historycznych swoich państw? Na razie nie mam na to pytanie pozytywnej odpowiedzi. Wyjaśnię, dlaczego: ukraińskie elity polityczne popełniły dwa błędy, które wpłynęły na relacje z Polską (między innymi).

Pierwszym błędem była decyzja, by oprzeć politykę historyczną na pamięci o bohaterach UPA. Żadne dotąd państwo nie budowało wspólnej pamięci jednocześnie i w warunkach wojny oraz opierając się na wojnie, która dawno już się zakończyła (niezależnie od tego, jak była ważna). Natomiast uważam, że rdzeniem współczesnej

[12] Porównaj: Andrzej Szeptycki, *Polska – Ukraina: pięć lat po Euromajdanie*, „Nowa Europa Wschodnia" nr 6, 2018; Надія Коваль, *Окрім історичних суперечок…*, *op. cit.*; Wojciech Konończuk, *Polityka Ukrainy wobec Polski: spojrzenie z Warszawy*, http://library.fes.de/pdf-files/bueros/ukraine/14988.pdf .

eprasa.pl 4e2336049b

ukraińskiej tożsamości narodowej oraz pamięci historycznej są wydarzenia rozpoczynające się w 2014 roku i pamięć o poległych na Majdanie oraz zabitych i rannych wskutek agresji rosyjskiej. Na razie nie widzę oznak przesunięcia akcentów z dalekiej przeszłości na współczesność i większej koncentracji uwagi na poległych w wojnie współczesnej i ich rodzinach, więźniach politycznych i innych ofiarach agresji rosyjskiej w ramach polityki pamięci prowadzonej przez UIPN. Tak więc należy wątpić, by element historyczny zniknął z agendy stosunków ukraińsko-polskich.

Drugi błąd – brak inicjatyw na rzecz aktywnej polityki zagranicznej wobec regionu, która dałaby odpowiedź na pytanie o miejsce Ukrainy w Europie Środkowo-Wschodniej. I to w sytuacji, gdy były plany wzmocnienia współpracy regionalnej opartej na partnerstwie ukraińsko-polskim: „Prezydenci Ukrainy i Polski wymienili się opiniami na temat aktualnych kwestii dwustronnego porządku dziennego oraz rozwoju współpracy w regionie Europy Środkowej, szczególnie w formacie Grupa Wyszehradzka + Ukraina, i porozumieli się w sprawie kolejnego spotkania w tym gronie”[13]. Wszystko jednak skończyło się na tym, że Polska wzięła aktywny udział w rozbudowie osi północ–południe w ramach projektu ABC[14]. Ukraina zaś, mimo że do takiej współpracy aktywnie zapraszał ją prezydent Duda, znalazła się poza tym formatem. I choć stało się tak nie bez niechęci wobec udziału Ukrainy ze strony innych uczestników tego projektu, nie trzeba przypominać, że wzmocniona współpraca regionalna powinna stać się zadaniem priorytetowym i ważnym strategicznie przede wszystkim dla Kijowa, gdyż stanowiłaby gwarancję stopniowego wychodzenia Ukrainy ze strefy dominacji Rosji[15]. I w związku z tym trzeba było zadbać o to, by stosunki dwustronne z sąsiadami rozwijały się w inny sposób niż ten, którego jesteśmy dziś świadkami.

Jednym ze skutków braku bliskiej współpracy w wymiarze regionalnym może być fiasko batalii o zablokowanie Nord Stream 2. Zostawię ekspertom odpowiedź na pytanie, do jakiego stopnia Kijów i Warszawa uzgodniły i wykorzystały wspólne stanowisko jako argument w negocjacjach. Jednak nie można zanegować, że pomimo wspólnych oświadczeń prezydentów wciąż raczej słyszymy odrębne głosy, niż widzimy wspólne działania, które świadczyłyby o realnej koordynacji polityki obu państw.

Pozostaje mieć nadzieję, że pomimo zmarnowanych pięciu lat Kijów będzie jeszcze w stanie sformułować zasady polityki zagranicznej wobec państw regionu i zrozu-

---

[13] *Відбулася зустріч президентів України та Польщі*, https://www.president.gov.ua/news/vidbulasya-zustrich-prezidentiv-ukrayini-ta-polshi-36046

[14] O jej znaczeniu patrz: *Dębski: Polska polityka musi postawić na oś północ–południe* [wywiad], https://www.energetyka24.com/debski-polska-polityka-musi-postawic-na-os-polnoc-poludnie-wywiad.

[15] Szerzej: Олена Бетлій, *Регіональна модель безпеки*, w: *Безпека перехідного періоду. Як протидіяти агресії з обмеженими ресурсами*, Київ: ІСП, 2016, s. 74–93, http://neweurope.org.ua/wp-content/uploads/2017/12/Bezpeka-perehidnogo-periodu_ukr_inet.pdf.

eprasa.pl 4e2336049b

mie, że klucz do skutecznej realizacji jej celów znajduje się w Warszawie. I to właśnie może być odpowiedzią na pytanie, czego Ukraina chce od Polski w przyszłości.

Nihilizm stosunków

Obecnie relacje ukraińsko-polskie znalazły się w kryzysie. I nie jest to po prostu kryzys stosunków między państwami. W dużym stopniu to kryzys wewnętrzny wszystkich tych, którzy mieli wpływ na kształtowanie owych relacji na różnych szczeblach, a następnie go utracili wskutek nadejścia nowych aktorów i nowych treści.

Od tego momentu większość z nas znalazła się w sytuacji, gdy zasady i wartości, na których opierały się stosunki dwustronne i których echo można usłyszeć w apelach o pamięć o Jerzym Giedroyciu i o formule „przebaczamy i prosimy o przebaczenie", już nie działają, gdyż straciły swoje zastosowanie.

W jednym ze swoich tekstów Krzysztof Michalski zaznaczył: „Kryzys, o którym mowa, ma przecież także pozytywne, twórcze znaczenie (podobnie jak kryzys w chorobie…). Jest warunkiem możliwości swego własnego przezwyciężenia; przewartościowania wszystkich wartości. Nihilizm jako proces dziejowy to nie tylko historia zmierzchu bogów (tradycyjnych wartości) – to także droga do wyzwolenia od nich, wyzwolenia, które inaczej nie jest możliwe"[16]. Oznacza to, że aby przezwyciężyć kryzys, musimy przewartościować całe nasze dotychczasowe doświadczenie.

Pierwszym krokiem na tej drodze musi być chęć zrozumienia współczesności, w której się znaleźliśmy, i potraktowanie jej jako pierwiosnka przyszłości, którą tworzymy. Drugim – uświadomienie sobie, że „my, przez to, co robimy, przez akty składające się na nasze życie, nadajemy sens historii, czynimy ją zrozumiałą, »wkładamy w nią wartość«"[17].

A więc tylko od nas zależy, jak szybko i na jakich zasadach wyjdziemy z obecnego kryzysu w relacjach dwustronnych i jaki założymy fundament pod te relacje w przyszłości.

Przełożył Tadeusz Iwański

Ołena Betlij jest docentką na Wydziale Historii oraz zastępczynią dyrektora Centrum Studiów Polskich i Europejskich na Uniwersytecie Narodowym Akademii Kijowsko-Mohylańskiej. Badaczka w Centrum Historii Miejskiej we Lwowie.

[16] Krzysztof Michalski, *O nihilizmie historii*, http://publica.pl/teksty/michalski-o-nihilizmie-historii-63618.html.
[17] *Ibidem*.

eprasa.pl 4e2336049b

Aneksja w świetle prawa

Kamil Kłysiński

Aleksander Łukaszenka podarował Władimirowi Putinowi cztery worki ziemniaków. Była to odpowiedź na rzekomo wypowiedziane przez Putina słowa: „A czegóż ja mogę chcieć od Białorusi? Pewnie ziemniaki i słoninę". Ostatnie wydarzenia pokazują jednak, że czasy się zmieniły: Moskwa nie chce już ziemniaków, ale realnej integracji.

Pod koniec ubiegłego roku władze Rosji zdecydowały się na przywrócenie do agendy stosunków z Białorusią koncepcji integracji obu państw w ramach Państwa Związkowego. Ta utworzona jeszcze pod koniec ubiegłego wieku struktura zarówno dla Mińska, jak i Moskwy była dotąd w większym stopniu imitacją niż realnym przykładem projektu reintegracyjnego na obszarze poradzieckim. Podjęta przez Kreml próba reaktywacji zamrożonego od lat Państwa Związkowego może wskazywać na dążenie do ostatecznego podporządkowania Białorusi przy użyciu legalnych środków. Prezydent Aleksander Łukaszenka, choć niemal dwadzieścia lat temu złożył podpis pod umową o integracji Rosji i Białorusi, poczuł się osobiście zagrożony i sceptycznie odniósł się do prointegracyjnej inicjatywy Moskwy, co zwiastuje trudny rok w stosunkach rosyjsko-białoruskich.

Braterska współpraca

W chwili rozpadu ZSRR (1991 rok) Białoruś odzyskała niepodległość, ale była obarczona zależnością od wsparcia ze strony dawnego centrum związkowego, czyli Rosji. Rozbudowany w czasach radzieckich białoruski energochłonny i powiązany kooperacyjnie z rosyjską gospodarką przemysł ciężki oraz brak znaczących własnych złóż surowców energetycznych w naturalny sposób skłaniał Mińsk do nawiązania jak najbliższych relacji z Moskwą. Władze białoruskie znakomicie zdawały sobie sprawę, że bez dostaw taniego gazu i ropy z Rosji oraz ułatwionego dostępu do rosyjskiego rynku zbytu niewydolny system gospodarczy Białorusi nie przetrwa nawet roku. Wektor wschodni w polityce zagranicznej Mińska utrwalał dodatkowo strach białoruskich elit przed dotkliwymi społecznie (przez to ryzykownymi) reformami rynkowymi, które w rezultacie mogłyby zniwelować lub przynajmniej zmniejszyć uzależnienie Białorusi od rosyjskich subsydiów. Prorosyjski dryf Białorusi wzmoc-

eprasa.pl 4e2336049b

niło dojście do władzy w 1994 roku Aleksandra Łukaszenki, który inercyjnym procesom nadał ideologiczny impuls, opierający się na mieszance popularnych wśród Białorusinów resentymentów po ZSRR, idei słowiańskiej jedności oraz nieufności wobec Zachodu. W rezultacie Białoruś przyłączała się do wszystkich sygnowanych przez Rosję struktur integracyjnych, mających na celu głównie rekonstrukcję rosyjskich wpływów na obszarze poradzieckim.

W politycznym i obronnym wymiarze wielostronnym Białoruś jest członkiem Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym oraz Wspólnoty Niepodległych Państw. Władze białoruskie zgłaszały również akces do wszystkich wariantów rosyjskiego ekonomicznego projektu integracyjnego ewoluującego od Unii Celnej i Wspólnej Przestrzeni Gospodarczej Kazachstanu, Rosji, Białorusi, Kirgistanu oraz Tadżykistanu (obie struktury zainicjowano w 1999 roku), poprzez Euroazjatycką Wspólnotę Gospodarczą (utworzoną w 2000 roku), aż po działającą od 1 stycznia 2015 roku Euroazjatycką Unię Gospodarczą, w skład której wchodzą: Rosja, Białoruś, Kazachstan, Armenia i Kirgistan. W wymiarze dwustronnym natomiast w latach 1996–1999 prezydenci Rosji i Białorusi zawierali porozumienia zmierzające do ścisłej integracji obu państw. Finałem tego procesu było podpisanie w Moskwie 8 grudnia 1999 roku umowy o utworzeniu Państwa Związkowego Białorusi i Rosji. Ówczesny prezydent Rosji Borys Jelcyn zaspokajał w ten sposób potrzebę zademonstrowania światu powrotu Rosji do dawnej potęgi, a Aleksander Łukaszenka realnie liczył, że już niedługo zastąpi na Kremlu schorowanego rosyjskiego kolegę. Objęcie urzędu prezydenta Rosji przez Władimira Putina w 2000 roku nie tylko bezpowrotnie pogrzebało wielkomocarstwowe ambicje białoruskiego lidera, ale wręcz zmusiło go do obrony własnych pozycji w Mińsku. Młody, pełen sił witalnych i ambicji politycznych Putin był oczywistym pretendentem do stanowiska prezydenta Państwa Związkowego, stąd też Aleksander Łukaszenka z entuzjasty integracji przeistoczył się w sceptyka i białoruskiego patriotę. W rezultacie, na skutek konsekwentnej obstrukcji Mińska, w ciągu minionych osiemnastu lat Państwo Związkowe stało się dekoracyjną strukturą bez treści, wykorzystywaną przede wszystkim do organizacji spotkań władz obu państw oraz demonstrowania „braterskiej" współpracy rosyjsko-białoruskiej. Wbrew początkowym intencjom Moskwy, Białoruś mogła służyć jedynie jako propagandowy, a nie realny wzorzec przyszłej reintegracji państw poradzieckich pod egidą Kremla.

Państwo Związkowe jest dekoracyjną strukturą bez treści, wykorzystywaną przede wszystkim do organizacji spotkań władz obu państw oraz demonstrowania „braterskiej" współpracy rosyjsko-białoruskiej.

eprasa.pl 4e2336049b

Nie tylko bankiety i wystawy

Narastająca nieufność pomiędzy Łukaszenką i Putinem prowadziła do częstych kryzysów na linii Mińsk–Moskwa. Kolizje były nieuchronne, ponieważ z jednej strony władze Białorusi dążyły do zachowania jak najwyższego poziomu rosyjskich subsydiów, mając przy tym maksymalną niezależność. Z drugiej strony Rosja niechętnie godziła się na utrzymywanie mniejszego sąsiada w zamian za nic nie znaczące deklaracje lojalności, roztaczany przez białoruską dyplomację nimb geostrategicznego znaczenia Białorusi a także – w czym szczególnie lubował się Łukaszenka – wspomnienia o braterstwie broni w II wojnie światowej i słowiańskiej jedności. Kreml oczekiwał konkretnych ustępstw, choćby w postaci sprzedaży strategicznych białoruskich przedsiębiorstw, podczas gdy białoruski lider lawirował pomiędzy Rosją, Zachodem i krajami pozaeuropejskimi, w tym przede wszystkim Chinami. Warto podkreślić, że Rosja miała prawo oczekiwać zapłaty za okazywaną pomoc – według wyliczeń Międzynarodowego Funduszu Walutowego łączna wartość rosyjskich subsydiów dla Białorusi w latach 2005–2015 wyniosła około 100 miliardów dolarów. Jednak z braku realnej alternatywy dla twardo okopanego na pozycjach białoruskich Łukaszenki oraz ze względu na potrzebę utrzymania ważnych wizerunkowo sojuszniczych relacji, Rosja przez wiele lat akceptowała ten stan rzeczy. Sytuacja uległa zmianie po wydarzeniach na Ukrainie w 2014 roku. Wówczas Moskwa została negatywnie zaskoczona postawą Łukaszenki, który nie uznał aneksji Krymu, zdystansował się od obu samozwańczych republik donbaskich oraz podtrzymywał neutralnie przyjazne stosunki z Kijowem. Solidarność białoruskiej delegacji w ONZ z rosyjskimi kolegami podczas głosowań w sprawie Ukrainy była daleko niewystarczającym pocieszeniem dla Kremla, wyraźnie rozczarowanego nielojalnością „najlepszego" sojusznika. Reakcją Rosji była szeroko zakrojona kampania medialna, skierowana przeciwko Białorusi, a przede wszystkim jej władzom, oskarżanym o knucie z Zachodem, niewdzięczność wobec bratniej Rosji i sprzyjanie odrodzeniu nacjonalizmu wzorowanego na działalności ukraińskich banderowców. Do tych głosów sporadycznie przyłączały się państwowe kanały telewizyjne, a także czołowe rosyjskie rządowe lub zbliżone do władz ośrodki analityczne. Jednocześnie wyraźnie ożywiły się uśpione dotąd białoruskie struktury „rosyjskiego świata", oparte przede wszystkim na organizacjach kozackich, Białoruskiej Cerkwi Prawosławnej (ściśle podporządkowanej patriarsze w Moskwie) oraz środowiskach wete-

Według wyliczeń Międzynarodowego Funduszu Walutowego wartość rosyjskich subsydiów dla Białorusi w latach 2005–2015 wyniosła około 100 miliardów dolarów.

eprasa.pl 4e2336049b

ranów wojny w Afganistanie. Choć oficjalnie Kreml nie przyłączał się do radykalnej krytyki Białorusi i samego Łukaszenki, to coraz częściej w medialnym obiegu krążyły mniej lub bardziej racjonalne teorie o powtórce na Białorusi zastosowanej wobec Ukrainy inwazji „zielonych ludzików" lub też otwartej interwencji wojskowej Rosji. Apogeum wojennej histerii zdarzyło się w przededniu rosyjsko-białoruskich ćwiczeń wojskowych „Zachód 2017", które rzekomo, według części komentatorów i polityków (również z państw Unii Europejskiej), miały być początkiem wojskowej okupacji Białorusi. Jednak rosyjskie jednostki po zakończeniu ćwiczeń opuściły Białoruś, a następujące po tym wydarzenia pokazały, że Rosja wybrała znacznie mniej spektakularny scenariusz podporządkowania Białorusi. W sierpniu 2018 roku Moskwa dokonała wymiany ambasadora Rosji na Białorusi: pełniącego tę funkcję od 2006 roku blisko osiemdziesięcioletniego Aleksandra Surikowa zastąpił czterdziestodziewięcioletni Michaił Babicz, zaufany współpracownik Putina. Podczas wręczania nominacji (24 sierpnia ubiegłego roku) rosyjski prezydent w świetle kamer odebrał od Babicza zobowiązanie do doprowadzenia podpisanych wcześniej umów o Państwie Związkowym do pełnej realizacji. Tym samym nowy ambasador otrzymał zadanie przygotowania gruntu pod ofensywę dyplomatyczną Kremla, opartą na podstawach prawnych wynikających z umów zawartych pomiędzy oboma państwami. Warto przy tym zwrócić uwagę na to, że Babicz poza standardową ambasadorską nominacją otrzymał również rzadko stosowaną w rosyjskiej dyplomacji funkcję specjalnego przedstawiciela Federacji Rosyjskiej ds. rozwoju stosunków ekonomiczno-handlowych. Taki status pozwala między innymi na bezpośrednie kontakty szefa placówki z prezydentem Rosji, z pominięciem bezpośredniego przełożonego, jakim jest minister spraw zagranicznych. Dla wszystkich było jasne, że Babicz nie ograniczy się tylko do udziału w bankietach oraz otwierania okolicznościowych wystaw.

Kiełbasa czy niepodległość

Początek rosyjskiej ofensywy dyplomatycznej nastąpił jeszcze w tym samym roku, zaledwie kilka miesięcy po przybyciu nowego ambasadora. 13 grudnia 2018 roku podczas posiedzenia połączonej Rady Ministrów Państwa Związkowego Białorusi i Rosji premier Rosji Dmitrij Miedwiediew w obecności mediów przedstawił dwa warianty dalszej integracji obu państw. Pierwszy, zdefiniowany jako konserwatywny, przewiduje utrzymanie *status quo*, czyli fasadowej struktury integracyjnej, ograniczonej w zasadzie do formalnych spotkań zakończonych ogólnie brzmiącymi deklaracjami pogłębienia współpracy. Drugi, znacznie bardziej zaawansowany, zakłada pełną realizację postanowień umowy o Państwie Związkowym, czyli między innymi

eprasa.pl 4e2336049b

przyjęcie jednolitego aktu konstytucyjnego, wspólnej waluty, kontroli granicznej oraz organów władzy wykonawczej, ustawodawczej i sądowniczej. W opinii szefa rosyjskiego rządu jedynie wybór drugiego wariantu pozwoliłby Rosji na dalsze subsydiowanie (z możliwością zwiększenia wsparcia) Białorusi dostawami ropy i gazu po niższych cenach, preferencjami dla białoruskich eksporterów oraz udzielaniem nisko oprocentowanych kredytów stabilizacyjnych. Oświadczenie premiera Miedwiediewa miało przełomowy charakter, bowiem po raz pierwszy od kilkunastu lat przedstawiciel najwyższych władz Rosji publicznie zażądał od Białorusi pełnej integracji.

Przekształcenie wirtualnej obecnie struktury Państwa Związkowego w realny wspólny organizm państwowy doprowadziłoby do likwidacji białoruskiej suwerenności na rzecz Rosji dysponującej znacznie większym potencjałem terytorialnym, demograficznym, surowcowym i gospodarczym. Oznaczałoby to nie tylko koniec Białorusi jako państwa, ale również bezpośrednie zagrożenie dla Łukaszenki, jego rodziny oraz najbliższego otoczenia. Stąd też już 14 grudnia 2018 roku prezydent Białorusi w typowym dla siebie patetycznym stylu dumnie obwieścił, że Białoruś „przetrwa, tak jak przetrwał oblężony podczas II wojny światowej Leningrad", i zapewnił, że niepodległości „za beczkę ropy" nie sprzeda. Godnościowa postawa białoruskiego lidera jest jak najbardziej zrozumiała, jednak musi on zdawać sobie sprawę z powagi sytuacji. W okresie od stycznia do listopada 2018 roku ujemne saldo w handlu Białorusi z Rosją wyniosło 8,8 miliarda dolarów, czyli o ponad 3 miliardy więcej niż w analogicznym okresie roku ubiegłego. Ta niebezpieczna tendencja jest w dużej mierze uwarunkowana ceną rosyjskiego gazu, która obecnie jest niemal o połowę wyższa od taryfy dla odbiorców w położonym przy granicy białorusko-rosyjskiej obwodzie smoleńskim. Władze białoruskie słusznie argumentują, że przy tak znaczącej różnicy towary z Białorusi nie są konkurencyjne na rosyjskim rynku, a sam koszt dostaw gazu jest jedną z głównych części składowych importu z Rosji. Równie skomplikowana jest sytuacja w sektorze petrochemicznym, który w 2017 roku przyniósł piątą część dochodów białoruskiego eksportu. Wprowadzana w latach 2019–2024 reforma rosyjskiego sektora paliwowego („manewr podatkowy") docelowo całkowicie pozbawi Białoruś dotychczasowych ulg cenowych przy zakupie rosyjskiej ropy, co postawi dwie białoruskie rafinerie na skraju bankructwa i zagrozi finansom państwa. Według wstępnych wyliczeń straty z tego tytułu wyniosą w tym roku niemal 400 milionów dolarów, a w ostatnim roku reformy nawet 2 miliony dolarów. Łącznie w ciągu najbliższych pięciu lat Białoruś może stracić do 10–11 milionów dolarów. Ewentualne rekompensaty z tego tytułu lub dodatkowe preferencje Moskwa bezpośrednio wiąże ze stanowiskiem Mińska wobec integracji, co stawia Łukaszenkę przed poważnym dylematem, który można ująć w formie popularnego na Białorusi pytania: kiełbasa czy niepodległość?

eprasa.pl 4e2336049b

Cztery worki ziemniaków i jedna grupa robocza

Mimo bojowych oświadczeń z 14 grudnia Aleksander Łukaszenka nie zamierza palić mostów i deklaruje chęć rozmów. Ze zrozumiałych powodów zainteresowanie spotkaniami podtrzymuje również strona rosyjska. W rezultacie jeszcze do hucznie świętowanego w krajach poradzieckich Nowego Roku prezydenci spotkali się dwa razy: 25 i 29 grudnia ubiegłego roku. Z dostępnych informacji nie wynika, aby osiągnięto jakiekolwiek porozumienie. Liderzy ustalili jedynie, że należy powołać rosyjsko-białoruską grupę roboczą, która zajmie się nawarstwionymi w ostatnich latach rozbieżnościami i wypracuje wspólny plan dalszej integracji w ramach Państwa Związkowego. Jak głosi stara, ale prawdziwa zasada: gdy nie można czegoś rozwiązać, powołuje się grupę roboczą. Mińsk nie ma obecnie wielu atutów negocjacyjnych. Nieefektywna, reformowana w ograniczony sposób białoruska gospodarka nie przetrwa bez rosyjskich subsydiów. Znalezienie alternatywy dla strategicznych stosunków z Moskwą również wydaje się trudne, z jednej strony bowiem autorytarny reżim Aleksandra Łukaszenki ideologicznie nie jest zdolny do trwałego zbliżenia z demokratycznym i rynkowym Zachodem, a z drugiej strony główny pozaeuropejski partner Białorusi, czyli Chiny, nie jest zainteresowany konfrontacją z Rosją. Dlatego też jedyną szansą białoruskiego prezydenta jest gra na czas, w czym ma zresztą duże doświadczenie, wyniesione jeszcze ze starej radzieckiej szkoły kultury politycznej i urzędniczej. Jak pokazują doświadczenia poprzednich lat, Kreml nie ma podzielnej uwagi i w przypadku większych wyzwań, zadań lub zagrożeń koncentruje wysiłki na priorytetowym odcinku, wygaszając aktywność w innych sektorach. Tak może się również stać z Państwem Związkowym. Ponadto nie można wykluczyć, że jeszcze w tym roku Białoruś będzie bardziej potrzebna jako „wzorcowy" sojusznik, model współpracy do zademonstrowania niż obiekt szantażu politycznego. Wówczas, tak jak wiele razy przedtem, Łukaszenka zdoła kupić sobie rok lub dwa lata względnego spokoju, a to w jego sytuacji jest poważnym kapitałem. Pozostaje otwartym pytaniem, czy zdąży i czy wystarczy mu talentu politycznego, szczególnie że w ostatnim czasie można zaobserwować spadek czujności tego znanego z genialnego instynktu polityka. Podczas ostatniego spotkania z Władimirem Putinem (29 stycznia w 2018 roku) białoruski prezydent podarował rosyjskiemu koledze cztery worki ziemniaków ze swojej hodowli. Rzekomo taki prezent zażyczył sobie niegdyś Putin, mówiąc: „a czegóż jak mogę chcieć do Białorusi? Pewnie ziem-

Prezydent Białorusi dumnie obwieścił, że Białoruś „przetrwa, tak jak przetrwał oblężony podczas II wojny światowej Leningrad" .

eprasa.pl 4e2336049b

niaki i słoninę". Gospodarz Kremla dostał rzecz jasna na dokładkę porcję wybornej słoniny, ale można odnieść wrażenie, że zakpił sobie z sąsiada, wzmacniając obecny wśród rosyjskich elit stereotyp Białorusi jako kraju prymitywnego, opartego na monokulturze ziemniaka i niezdolnego do wytworzenia bardziej zaawansowanych produktów. Łukaszenka chyba nie wyczuł lub nie chciał wyczuć tej drwiny i beztrosko dostarczył do eleganckich wnętrz Kremla cztery szare worki. Czy będzie w stanie wyczuć szanse i zagrożenia w trudnych rozmowach z Moskwą? Czas pokaże.

Kamil Kłysiński jest specjalistą zajmującym się tematyką białoruską, analitykiem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia w Warszawie. W latach 2013–2016 pracownik Ambasady RP w Wilnie. Stały współpracownik „Nowej Europy Wschodniej". Tłumacz biografii Aleksandra Łukaszenki autorstwa Walerija Karbalewicza *Aleksandr Łukaszenko. Portret polityczny* (Warszawa 2013).

eprasa.pl 4e2336049b

Powtórka z rozrywki

Z Andrejem Lachowyczem, białoruskim analitykiem zajmującym się polityką wewnętrzną Białorusi, rozmawia Krzysztof Mrozek

KRZYSZTOF MROZEK: Jeżeli umówimy się w tej mińskiej kawiarni za rok, to spotkamy się jeszcze w Republice Białoruś, czy już w zupełnie innym miejscu?

ANDREJ LACHOWYCZ: Spotkamy się w Republice Białoruś. Rosja mogłaby zająć Białoruś z pomocą wojska, ale jest zbyt słaba ekonomicznie, by tego dokonać. Spadłyby na nią wówczas jeszcze większe sankcje ze strony Zachodu, a te już dziś dławią rosyjską gospodarkę na wielu poziomach. Dlatego Rosja nie może się zdecydować na scenariusz wojskowego zajęcia Białorusi. Jedyne, na co mogłaby pójść, to przywiązanie do siebie naszego kraju. Białoruś pozostałaby wówczas podmiotem prawa międzynarodowego, formalnie niepodległym państwem, ale szereg kroków ku – jak nazywają to w Moskwie – „prawdziwej integracji" uczyniłby ją ściśle związaną z Rosją. Moskwa chce ten scenariusz zrealizować już od 2001 roku.

Jakie to kroki?

Po pierwsze, wspólna waluta – rosyjski rubel jako jedyna waluta na terytorium Białorusi. Po drugie, podpisanie aktu konstytucyjnego Państwa Związkowego stworzonego pod dyktando Moskwy, zakładającego powołanie struktur ponadnarodowych, których decyzje byłyby wiążące dla obu stron. Oczywiście, dominowaliby w nich przedstawiciele Rosji. Po trzecie, rozszerzenie rosyjskiej obecności wojskowej na Białorusi, utworzenie na jej terytorium baz wojskowych Rosji. I wreszcie, po czwarte, zakup przez rosyjskie firmy najważniejszych przedsiębiorstw białoruskich. Ten scenariusz jest mało prawdopodobny, strona białoruska bowiem się na to nie zgodzi.

Najbardziej prawdopodobnym scenariuszem jest zachowanie *status quo*. To oznacza, że Białoruś będzie formalnie częścią Państwa Związkowego, przy czym stanie się ono polem nieustającej bitwy z uwagi na mnogość konfliktowych sytuacji. Białoruś pozostanie z składzie Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym (ciało zrzeszające kraje poradzieckie), Euroazjatyckiej Unii Gospodarczej… Niewiele zatem się zmieni. Wyjątkiem będzie obniżenie dotacji „naftowej" ze strony Rosji, czyli możliwości zakupu surowców energetycznych po preferencyjnych cenach. To na pewno.

Czy Białoruś przetrwa bez wsparcia gospodarczego ze strony Rosji?

Najpierw należy wyjaśnić, co rozumiemy przez pojęcie „wsparcie gospo-

eprasa.pl 4e2336049b

darcze". Mówimy tu o różnych liczbach. Strona rosyjska twierdzi, że od 2005 roku zainwestowała w białoruską gospodarkę ponad sto miliardów dolarów w wyniku udzielenia zniżek na surowce energetyczne (dostawy taniego gazu i ropy), od których białoruska gospodarka w dużym stopniu zależy. Był czas, kiedy rosyjskie dotacje naftowo-gazowe dochodziły do 7 miliardów dolarów, ale w ostatnich latach ich koszty spadają. Według Siergieja Agibałowa, starszego eksperta rosyjskiego Instytutu Energetyki i Finansów, po 2014 roku dotacje wynoszą około 4 miliardów dolarów rocznie: 2 miliardy dolarów w preferencyjnych cenach gazu i 2 miliardy dolarów w zniżkach na ropę. Kupowaliśmy w Rosji tanią ropę, przetwarzaliśmy w swoich zakładach petrochemicznych i eksportowaliśmy na Zachód po cenach rynkowych.

W drugim półroczu 2018 roku Aleksander Łukaszenka nie porozumiał się z Moskwą w sprawie dotacji na ropę – spór trwa. Mińsk podnosi w negocjacjach, że jeżeli nie zawrzemy umowy o odnowieniu dostaw taniej ropy i nie zostanie nam zrekompensowany rosyjski „manewr podatkowy", to w 2019 roku Białoruś straci około 400 miliardów dolarów. Choć wskazywane są różne liczby, eksperci rosyjscy mówią o miliardzie dolarów. Wynika to z rozbieżności metodologicznych. Trwają negocjacje, Rosja jak dotąd nie godzi się wypłacać rekompensat, wiąże je z ustępstwami: wprowadzeniem wspólnej waluty i ceł. Białoruska strona się na to nie zgadza.

W sprawie gazu zmniejszenie dotacji jest mało prawdopodobne. Po pierwsze, Białoruś formalnie kupuje gaz po cenie 129 dolarów za tysiąc metrów sześciennych, ale społeczeństwo płaci za niego około 300 dolarów za tysiąc metrów sześciennych. Różnicę Łukaszenka wlicza do budżetu Białorusi. *De facto* płacimy więc za gaz cenę zbliżoną do europejskiej. I dlatego Łukaszenka mówi Rosjanom, że „Razem ginęliśmy w okopach II wojny światowej, a wy nam sprzedajecie gaz drożej niż Niemcom", ma po prostu na myśli nie 129 dolarów, a 300 dolarów, za które sam sprzedaje gaz obywatelom. Dlatego podniesienie cen gazu jest mało prawdopodobne – i tak płacimy już średnią cenę europejską. Po drugie, w 2011 roku, podczas sprzedaży Rosji BiełTransGazu, operatora sieci przesyłowej i jedynego dużego przedsiębiorstwa tej branży wykupionego przez Moskwę, wpisano do umowy zniżkę na gaz. Także Rosja nawet, jeżeli zechce, nie może podnieść cen.

Co się tyczy ropy naftowej, widzę dwa możliwe scenariusze: pierwszy i najbardziej prawdopodobny zakłada, że jakaś część dotacji naftowej zostanie w rezultacie negocjacji przywrócona. Oceniam, że może być ona o połowę niższa, niż była dotąd, czyli spadnie z 2 miliardów dolarów do miliarda dolarów. Jeśli strona białoruska mówi o 400 milionach dolarów, to wyniesie, odpowiednio, 200 milionów. Trudno pojąć, które dane są bliższe prawdy, ja skłaniam się ku wyliczeniom Agibałowa.

eprasa.pl 4e2336049b

Drugi scenariusz zakłada, że negocjacje zakończą się niepowodzeniem i żadnej dotacji naftowej, żadnej „strzykawki z dopingiem" nie będzie. Nawet w takiej sytuacji nic tragicznego się nie stanie.

Dlaczego?

Po pierwsze, jeżeli przysłuchać się wypowiedziom ministra finansów Białorusi Maksima Jermołowicza, dotacja naftowa nie wchodziła do budżetu Białorusi, a szła bezpośrednio na spłatę zadłużenia, między innymi wobec Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Rosji. W minionych latach było to około 3 miliardów dolarów rocznie i dotacja naftowa pozwalała tę kwotę pokryć. Jermołowicz twierdzi, że nie stanie się nic złego, jeżeli Rosja nie zgodzi się na dotację naftową. Dlaczego? Ponieważ teraz o te środki będzie się można zwrócić do Zachodu. Po wydarzeniach na Ukrainie Białoruś ma lepsze warunki do refinansowania zadłużenia zagranicznego. 20 września ubiegłego roku Mińsk wznowił negocjacje z Międzynarodowym Funduszem Walutowym w sprawie uzyskania kredytu.

Ale będzie też trzeba podjąć inne działania, by zrekompensować ewentualny brak rosyjskiej dotacji naftowej. Zostaną wydatki socjalne z budżetu państwa – to już się zresztą dzieje. W końcu grudnia 2018 roku anulowano refundację lekarstw dla niektórych grup społecznych, które dotąd bezpłatnie otrzymywały drogie specyfiki. Teraz te osoby, na przykład emerytowani lekarze czy pracownicy branż szkodliwych dla zdrowia, będą wydawali na leki nawet połowę emerytury.

Wzrosły czynsze.

Czynsze, opłaty za prąd. Wreszcie też Łukaszenka może zrobić to, co już długo zapowiadał, ale wcześniej się na to nie zdecydował, czyli obciąć wsparcie dla nierentownych przedsiębiorstw. To są „czarne dziury" białoruskiego budżetu, na które idą duże pieniądze bez jakiegokolwiek zwrotu.

Zwolnić zbędnych urzędników?

Urzędników? Nie, ci są bezpieczni. Państwo może zredukować etaty w przedsiębiorstwach państwowych. Jeżeli nie otrzymamy rosyjskiej dotacji naftowej, Łukaszenka będzie zmuszony robić to, czego długo nie robił: liczyć się z pieniędzmi.

Taka była niepisana umowa ze społeczeństwem: władza daje bezpieczeństwo socjalne w zamian za zrzeczenie się pewnych swobód. A teraz: wzrost cen lekarstw, czynszów, zamknięcie nierentownych przedsiębiorstw. Jak społeczeństwo zareaguje na naruszenie tej umowy? Będzie to wiązać z konfliktem naftowym z Rosją? A jeśli tak, to Białorusini będą obwiniać za ów konflikt Kreml czy odwrotnie – poprą rosyjski scenariusz integracji, by na powrót żyć w „państwie socjalnym"?

Przeformatowanie umowy społecznej nastąpiło już dawno. Jeżeli zapytać zwy-

eprasa.pl 4e2336049b

kłego Białorusina, czy w jego kraju istnieje pakiet socjalny, zapewne nie będzie znał odpowiedzi. Dlatego, że aby otrzymać wysokiej jakości świadczenia w formalnie bezpłatnej służbie zdrowia, lekarzom trzeba dopłacać z własnej kieszeni, choćby niewiele, ale trzeba. System edukacji też wiąże się z różnego rodzaju opłatami, szkolnictwo wyższe od dawna jest *de facto* płatne dla większości studentów.

Kilka lat temu został opublikowany raport Białoruskiego Instytutu Studiów Strategicznych (BISS) poświęcony umowie społecznej. Wniosek: tej dawnej umowy już na Białorusi nie ma. Dlatego Łukaszenka może podejmować działania w wyżej wskazanym kierunku, na przykład wprowadzić płatne usługi w systemie ochrony zdrowia.

Władza może się teraz zdecydować na dalsze kroki: ograniczenie świadczeń socjalnych, redukcja zatrudnienia, ponieważ, jak wynika ze słów Łukaszenki, na Białorusi nie będzie dużych akcji protestu…

Jak długo może zatem działać argument, by „nie było jak na Ukrainie" w obliczu pogarszającej się sytuacji ekonomicznej?

Dosyć długo. Nawet przy pogorszeniu sytuacji społeczno-ekonomicznej. Dlatego że w genach Białorusinów jest zapisany strach przed wojną. Społeczeństwo jest przekonane o tym, że destabilizacja sytuacji politycznej doprowadzi do pojawienia się „zielonych ludzików", czyli żołnierzy rosyjskich. Doświadczenie Ukrainy nas przestraszyło.

Czy hipotetyczne pojawienie się „zielonych ludzików" doprowadziłoby do wojny, czy raczej skutkowałoby adaptacją społeczeństwa do nowej rzeczywistości? Czy Białorusini byliby gotowi bić się o niepodległość?

Zdecydowanie nie. Nie są na to gotowi. Prowadzono wprawdzie badania statystyczne, według których 80–90 procent społeczeństwa deklaruje chęć walki o niepodległość Białorusi, sądzę jednak, że sytuacja wygląda inaczej. Niestety, mamy zrusyfikowane społeczeństwo, co wynika między innymi ze złej edukacji historycznej – wystarczy spojrzeć na szkolne podręczniki. Są w nich dwie główne narracje: po pierwsze, o tym, że w czasach rosyjskiego samodzierżawia Białorusini żyli nie najgorzej, nawet dobrze. Na przykład o powstaniu Kastusia Kalinowskiego (powstanie styczniowe 1863 roku) pisze się jak o polskim powstaniu, a nie białoruskim.

W ubiegłym tygodniu białoruski poseł i historyk, profesor Ihar Marzaliuk właśnie tak publicznie powiedział.

Takie informacje płyną z podręczników, wszystkie powstania przeciwko Rosji i rosyjskiemu samodzierżawiu są przedstawiane jako polskie. W tym czasie Białorusini żyli „normalnie".

„Normalnie" też, według podręczników, żyło się w Związku Radzieckim. Nie

eprasa.pl 4e2336049b

ma mowy o żadnych represjach. Polecam wizytę w Muzeum Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, pierwszy obrazek przedstawia Białoruś w przededniu wojny: sielskie życie w kołchozach, pola, słońce – żadnych represji.

Dlaczego zatem 1 stycznia bieżącego roku nie byliśmy świadkami wielkich obchodów stulecia utworzenia Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej (BSRR)? To duży kontrast z ubiegłorocznymi – społecznymi – obchodami stulecia Białoruskiej Republiki Ludowej (BRL), nieuznawanej przez oficjalną historiografię.

Te obchody odbyły się w ramach systemu edukacji – w szkołach, na uczelniach z pompą obchodzono stulecie Komsomołu. To, że władza zgodziła się na organizację przez grupę aktywistów obywatelskich dużego koncertu z okazji stulecia BRL 25 marca 2018 roku, w którym uczestniczyło około 60 tysięcy osób, nie oznacza, że polityka historyczna państwa uległa jakimkolwiek zmianom. Władza wydała zgodę, bo taka była potrzeba czasu: wobec psujących się stosunków z Rosją, trzeba dogadywać się z Zachodem. Dlatego, jeżeli nie wydano by zgody na koncert, niemała część tych 50–60 tysięcy osób i tak wyszłaby na ulice. To nie byłby oczywiście Majdan, ale na ulicach pojawiłoby się około 10 tysięcy osób, może więcej, które władza musiałaby rozgonić z użyciem siły. Na Zachodzie ukazałyby się nieładne zdjęcia…

… i nie byłoby zachodnich pieniędzy.

Nie byłoby.

Jednak, jeżeli prezydent Aleksander Łukaszenka wystąpi do Zachodu o wsparcie finansowe, pojawią się jakieś żądania dotyczące standardów i wartości. Na przykład zniesienia kary śmierci.

Myślę, że takie żądania ze strony Zachodu są mało prawdopodobne. Łukaszenka nauczył się tego już w 2009 roku, obserwując, czego w zamian za kredyty może zażądać Zachód. Przed rozpoczęciem rozmów z Międzynarodowym Funduszem Walutowym, w połowie 2008 roku poczyniono pewne kroki: wypuszczono więźniów politycznych, włączono w państwowy system dystrybucji prasy niezależne gazety, w tym „Naszą Niwę" i „Narodną Wolę". Była także powołana Rada Społeczno-Konsultacyjna przy Uładzimirze Makieju (ówczesnym szefie Administracji Prezydenta). To był okres, w którym władza nie używała siły. Ale już w lutym 2009 roku wróciło stare: represje, niemal codzienne aresztowania, zatrzymania, pobicia. Stało się tak, ponieważ Łukaszenka otrzymał od Zachodu wiele sygnałów, że kluczowe dlań jest zachowanie Białorusi jako niepodległego państwa. Nikt z zachodnich polityków nie powiedział, że jeżeli pojawią się represje, to nie otrzyma on pieniędzy czy że Białoruś zostanie usunięta z programu Partnerstwa Wschodniego. Natomiast ci sami politycy często powtarzali, że jeżeli Białoruś uzna

eprasa.pl 4e2336049b

niepodległość Abchazji i Osetii Północnej, separatystycznych republik w Gruzji, to doprowadzi to do znacznego pogorszenia relacji z Zachodem.

Przypomnę, że w 2009 roku, kiedy sytuacja gospodarcza Białorusi była bardzo zła, MFW udzielił Mińskowi kredytu na 3,5 miliarda dolarów. Łukaszenka sam przyznał, że uratowało to Białoruś. Kredyt ten *de facto* został przyznany bezwarunkowo, nie było żądań natury ekonomicznej, postulatu reform czy liberalizacji politycznej.

Dziś, po aneksji Krymu, Łukaszenka uważa, że szanse na uzyskanie kredytów są jeszcze większe niż wtedy. Nie wierzy za to w scenariusz siłowej aneksji Białorusi przez Rosję. I ma ku temu słuszne argumenty. To bardzo mało prawdopodobne.

Rosja ma jednak wpływ na armię Białorusi, na aparat bezpieczeństwa.

Bez najmniejszej wątpliwości.

Jak te struktury zareagowałyby na wojskową napaść ze strony Rosji?

Jeśli Rosja wprowadziłaby na Białoruś swoją armię, nie byłoby oporu ze strony struktur siłowych Białorusi. Znów trzeba się odwołać do nauczania historii w szkołach, a także do rosyjskich wpływów w przestrzeni informacyjnej. Niedawno „Nasza Niwa" przeprowadziła badanie przekazu białoruskich mediów, które pokazało, że 80 procent informacji w telewizji publicznej to materiały rosyjskie. Tylko 10 procent to materiały białoruskie, a kolejne 10 procent stanowią „treści zachodnie" (przede wszystkim produkcje fabularne). Oznacza to, że niestety znaczna część białoruskiego społeczeństwa widzi świat przez pryzmat rosyjskiej telewizji.

Jednak obecnie władze starają się temu przeciwdziałać. Prezydent powiedział przecież w grudniu ubiegłego roku, że trzeba zwiększyć ilość białoruskich materiałów w środkach masowego przekazu.

Zdecydowanie nie jest to pierwsze takie wystąpienie Łukaszenki. Podobne były już kilka lat temu. Można to porównać z jego wystąpieniami sprzed około dziesięciu lat poświęconymi potrzebie dywersyfikacji białoruskiego eksportu. Łukaszenka dużo mówi, ale mało w tych sprawach robi.

A Chiny?

Według danych za 2017 roku, stosunki z Chinami to czysta propaganda. Łukaszenka liczył, że Chińczycy będą mu dawać pieniądze, które on będzie mógł przeznaczać na różne cele. Ale oni tak nie robią, prowadzą inwestycje związane ze swoimi technologiami przemysłowymi, wyjątkowo przy tym nieekologiczne. Doprowadziły do katastrof ekologicznych w niektórych regionach Białorusi, gorszych niż Czarnobyl.

Ma Pan na myśli niesławną fabrykę akumulatorów w Brześciu?

Fabryka akumulatorów będzie zagrożeniem w przyszłości, jeszcze dokład-

eprasa.pl 4e2336049b

nie nie wiadomo, jakie przyniesie skutki dla środowiska. Ale katastrofa ekologiczna, gorsza od czarnobylskiej, już trwa w Krzyczewie (obwód mohylewski). Niedawno z pomocą Chin zmodernizowano tam cementownię, w rezultacie czego całe miasto pokrywa dziś biały proszek. Jest on na liściach drzew, na ubraniach ludzi. To koszmar, katastrofa.

Gdzie zatem szukać partnerów? Tyle się przecież mówi o wielowektorowej polityce, dywersyfikacji handlu zagranicznego i polityki zagranicznej.

Jeśli spojrzeć na dane, jedynym znaczącym partnerem jest Rosja, handel z nią odpowiada za niemal połowę obrotu towarowego. Na drugim miejscu znajduje się Ukraina. Wymiana handlowa z nią daje około 7 procent, w przypadku innych państw wartość ta wynosi nie więcej niż 5 procent. Zapewnienia Łukaszenki o dywersyfikacji eksportu czy o dostawach ropy z krajów bałtyckich należy przyjmować tak jak jego zapewnienia o zwiększeniu udziału białoruskich treści w mediach. To grożenie Rosji możliwymi działaniami, które później nie są podejmowane.

Stabilność.

Tak, stabilność i szantaż wobec Rosji. Władza wierzy, że Rosja jednak się zgodzi na przywrócenie dotacji naftowej. Wierzy, bo widzi, jak wcześniej były rozwiązywane poważne konflikty z Moskwą. Na przykład konflikt energetyczny w 2004 roku, kiedy zimą Rosja zakręciła Białorusi kurek z gazem. Były też „wojny mleczne" i konflikt energetyczny trwający od maja 2016 roku do kwietnia 2017 roku. Rosja ograniczała dotacje, ale koniec końców, za każdym razem odpuszczała, przywracając je w wymiarze akceptowalnym dla białoruskich władz. Łukaszenka za każdym razem wygrywał, teraz wierzy, że będzie tak samo. Stosunki białorusko-rosyjskie cechuje cykliczność: ocieplenie następuje po fazie konfliktu, potem znowu jest konflikt i ponowne ocieplenie. Wydaje mi się, że nic nie wskazuje na to, byśmy mieli z tego cyklu wyjść.

Cykliczność wynika z tego, że Moskwa chciałaby znacznie więcej uzyskać od zależnej od niej gospodarczo Białorusi. Będzie zatem naciskać na Łukaszenkę, by w końcu poszedł na ustępstwa. Na „prawdziwą integrację": połączenie systemów walutowych, uchwalenie konstytucji Państwa Związkowego. Albo budowę rosyjskich baz wojskowych, których jak dotąd na Białorusi nie ma.

Ale są rosyjskie instalacje.

Są dwa rosyjskie obiekty wojskowe. Pierwszy to stacja radiolokacyjna „Wołga" pod Gancewiczami w obwodzie brzeskim (niedaleko od Baranowicz), drugi to znajdująca się na północ od Mińska, nieopodal Wilejki, stacja łączności z atomowymi okrętami podwodnymi pływającymi po Atlantyku.

Rosja chciała zbudować na Białorusi bazy wojskowe. Domyślam się, że teraz się o tym nie rozmawia, ale możliwe, że Moskwa będzie od czasu do czasu starała się wymusić na Mińsku zgodę na ich

eprasa.pl 4e2336049b

budowę. W kwietniu 2013 roku minister obrony Rosji Siergiej Szojgu po spotkaniu z Łukaszenką i Putinem obwieścił, że na Białorusi niebawem pojawi się baza rosyjskiego lotnictwa, w sierpniu 2015 roku Moskwa poinformowała nawet o przygotowaniu całego pakietu dokumentów dotyczących tej kwestii. Mówiono o różnych wariantach lokalizacji: Baranowicze, Lida i Bobrujsk. Niektórzy generałowie rosyjscy wspominali wręcz nie o jednej, a od razu o dwóch bazach: zasadniczej i wsparcia. Tymczasem już miesiąc po oficjalnych zapowiedziach rosyjskich i informacjach Kremla, że Białorusini się na wszystko zgodzili, 5 września 2015 roku Łukaszenka stwierdził publicznie, że o żadnych planach związanych z bazą nie ma pojęcia. Powiedział, że w naszym kraju ta baza nie jest potrzebna, i nazwał całą sprawę rosyjską prowokacją.

Co ciekawe, Łukaszenka stwierdził, że ta akcja dezinformacyjna była potrzebna Rosji, by popsuć stosunki Białorusi z Zachodem. I to prawda, gdyż rosyjskie bazy na Białorusi nie miałyby żadnego znaczenia wojskowego. Rosja rozmieściła potężne siły, w tym iskandery, w obwodzie kaliningradzkim, Kreml ich potrzebował do celów politycznych. Jeśli bowiem Mińsk zgodziłby się na rozmieszczenie rosyjskiej bazy wojskowej na swoim terytorium, byłby to taki krok, jak uznanie niepodległości Osetii Południowej i Abchazji. Miałby negatywne konsekwencje dla stosunków Białorusi z Zachodem, do czego Rosja dążyła. W związku z tym uważam, że Białoruś nigdy się na to nie zdecyduje.

Dzisiejszy kryzys zaskoczył prezydenta Łukaszenkę czy też oczekiwał on takich propozycji ze strony Kremla?

Te propozycje zaskoczyły wszystkich. Nie spodziewano się, że Rosja powiąże przywrócenie preferencyjnych cen na ropę naftową z przyspieszeniem integracji. Zwłaszcza, że te kwestie już analizowano w przeszłości. O unii walutowej rozmawiano od 2002 do 2004 roku; o wykupie białoruskich przedsiębiorstw od około 2001 do 2005 czy 2006 roku. Zaś negocjacje dotyczące przyjęcia aktu konstytucyjnego Państwa Związkowego toczyły się od 2002 do 2004 roku.

Czy to, że premier Rosji Dmitrij Miedwiediew zaproponował owe rozwiązania w położonym najdalej na zachodzie białoruskim mieście – Brześciu, właściwie na granicy z Unią Europejską, miało symboliczne znaczenie?

Nie dopatrywałbym się tu znaczenia symbolicznego, a politycznego. Rosja żywi nadzieję na związanie ze sobą Białorusi. Jeśli Mińsk zgodziłby się na propozycje Kremla, choćby na jedną z nich, i wprowadził rosyjski rubel, na białoruskiej niepodległości można by postawić krzyżyk.

Moskwa chce sobie podporządkować Białoruś, zachowując jej formalną niepodległość. To dla niej lepsze niż aneksja Niech Białoruś ma prawo głosu w ONZ, póki wiadomo, jak zagłosuje.

Czyli jak jest teraz, kiedy głosuje tak samo jak Rosja.

eprasa.pl 4e2336049b

W wielu sprawach tak, ale nie we wszystkich. A jeśli integracja pójdzie dalej, Mińsk stanie się w ONZ papugą Moskwy. Do tego właśnie dąży Rosja.

Zacząłem naszą rozmowę pytaniem, gdzie będziemy się znajdować za rok. Na koniec porozmawiajmy o tym, co będzie za sześć lat. Jest styczeń 2025 roku. Zmieniła się (lub nie) władza w Rosji, w każdym razie Władimir Putin skończył swoją ostatnią prezydencką kadencję. Aleksander Łukaszenka niedawno świętował siedemdziesiąte urodziny. Gdzie z geopolitycznego punktu widzenia znajduje się Białoruś A.D. 2025?

Powiem, za co – między innymi – zwolniono mnie z Białoruskiego Uniwersytetu Państwowego. Ucząc studentów o reżimach autorytarnych, mówiłem, że odznaczają się one stabilnością i przewidywalnością tylko na pierwszy rzut oka, podczas gdy nikt nie wie, co zdarzy się jutro. Dlatego że kluczową rolę w systemie politycznym odgrywa jeden człowiek. Wszystko może się zmienić choćby następnego dnia. Na pytanie o to, co będzie za sześć lat, mogę zatem odpowiedzieć, że Białoruś będzie dalej niepodległym państwem, a jej prezydentem – Wiktar Łukaszenka, najstarszy syn Aleksandra. Już dziś jest on *de facto* drugą osobą w państwie i zwierzchnikiem struktur siłowych w funkcji doradcy prezydenta do spraw bezpieczeństwa. Twardą ręką trzyma KGB i MSW, Komitet Kontroli Państwowej i prokuraturę, czyli struktury siłowe i kontrolne. „Siłowicy" na Białorusi mają duże znaczenie.

To pesymistyczna wizja przyszłości.

Chcę być realistą, okres romantyzmu mam za sobą.

Andrej Lachowycz jest niezależnym białoruskim politologiem, analitykiem i wykładowcą akademickim. Szef Centrum Edukacji Politycznej. W przeszłości związany z Białoruskim Uniwersytetem Państwowym (BGU) w Mińsku. Specjalizuje się w polityce wewnętrznej Białorusi, autor publikacji poświęconych ewolucji systemu politycznego, kampaniom wyborczym i kształtowaniu się elity politycznej na Białorusi.

eprasa.pl 4e2336049b

Między Trzecią a Czwartą Republiką Armenii

Ewa Polak

Co sprawiło, że niespełna miesiąc po nieudanym proteście, który zebrał jedynie kilkaset osób, Paszinjan pociągnął za sobą tłumy, doprowadził do odejścia świetnego politycznego gracza, jakim był Serż Sargsjan, zdobył stanowisko premiera, by ostatecznie uzyskać zdecydowaną większość w Zgromadzeniu Narodowym?

„Czors, czors, czors, czors…", czyli powtarzana – wydawałoby się w nieskończoność – „czwórka" była w Armenii najważniejszym słowem w nocy z 9 na 10 grudnia 2018 roku. Na kilka tygodni przed Nowym Rokiem Ormianie podarowali zwycięstwo firmowanej przez Nikola Paszinjana partii, która w przedterminowych wyborach zdobyła ponad 70 procent głosów. Startujący z listy numer cztery Mój Krok wszedł z liczbą osiemdziesięciu ośmiu deputowanych do Zgromadzenia Narodowego, kończąc tym samym marsz Paszinjana po zwycięstwo zbudowane na faktycznej legitymacji społecznej, wyrażonej w bezspornie demokratycznych ramach. Wraz z powołaniem rządu w pierwszej połowie stycznia „aksamitna rewolucja" ostatecznie domknęła polityczną fazę, rozpoczynając nowy rozdział armeńskiej polityki.

Zrób krok, czyli droga na szczyt

Wiosną 2018 roku w przededniu zakończenia transformacji systemowej i wprowadzenia parlamentarnego systemu rządów przez Armenię przetoczyła się fala protestów. Sygnały o niezadowoleniu społecznym i frustracji mieszkańców kaukaskiej republiki, spowodowanymi przez trudności ekonomiczne, nieprzejrzysty system polityczny, faktyczną nierówność obywateli wobec prawa itp., a także brak perspektywy politycznego rozwiązania tych problemów (dotychczasowa petryfikacja sceny politycznej i brak alternatywnych programów politycznych), były dostrzegane od dawna. W ostatnich latach praktycznie co roku dochodziło do znaczących protestów społecznych, które niezależnie od ich katalizatora każdorazowo doprowadzały do sformułowania postulatu o konieczności odsunięcia ówczesnego prezydenta Serża Sargsjana od władzy. Brak szerszej, ideologicznej agendy, a także

eprasa.pl 4e2336049b

jednoznacznych charyzmatycznych liderów tych ruchów doprowadzał do samoistnego wygaszania się protestów. Również przełom 2017 i 2018 roku naznaczony był protestami (przeciwko zniesieniu odroczeń od służby wojskowej, podwyżkom cen, zakazowi importu samochodów z kierownicą po prawej stronie, strajki poszczególnych grup zawodowych). Pierwszy uliczny protest przeciwko wysunięciu kandydatury Serża Sargsjana na stanowisko premiera miał miejsce 11 lutego, kolejny 23 marca – żaden z nich nie zdołał zgromadzić większej liczby uczestników. 31 marca opozycyjny polityk Nikol Paszinjan, pomimo braku powodzenia wcześniejszych protestów, zdecydował się odbyć pieszy, czternastodniowy marsz z Giumri do Erywania. Jego zwieńczeniem były mityngi odbywające się początkowo przy stołecznym placu Francuskim i w bezpośrednim sąsiedztwie parlamentu, stopniowo rozlewając się na całe miasto, a także inne miejscowości, aż do największych od trzydziestu lat wieców na placu Republiki w centrum Erywania. Doprowadziło to do ustąpienia ze stanowiska premiera Serża Sargsjana i do wyboru (w drugim głosowaniu) na tę funkcję Nikola Paszinjana. Pierwszego dnia po elekcji udał się on z wizytą do Górskiego Karabachu, gdzie przewodniczył obchodom 26. rocznicy zdobycia Szuszi – symbolicznego dnia zwycięstwa Armenii w wojnie karabaskiej, zbiegającego się terminem także z obchodzonym na przestrzeni poradzieckiej Dniem Zwycięstwa z okazji zakończenia II wojny światowej. Udział premiera wyniesionego do władzy przez rewolucję miał stanowić symboliczny początek „nowej Armenii".

W sukces Paszinjana nie wierzyło nawet środowisko polityczne, z którego się wywodził, jego koalicjanci nie przyłączyli się do jego działań i w ostrym tonie go krytykowali.

Wiosenny sukces Nikola Paszinjana był powszechnym zaskoczeniem dla obserwatorów międzynarodowych i miejscowych, najpewniej także dla samego Paszinjana. Nie były to bowiem pierwsze protesty, którym przewodził. Dziennikarz i opozycjonista uzyskał powszechną rozpoznawalność po demonstracjach w 2008 roku, gdy jako protegowany prezydenta Lewona Ter-Petrosjana dał się poznać jako charyzmatyczny wiecowy mówca. Podczas protestów zginęło wtedy dziesięć osób, sam Paszinjan został skazany za „organizację masowych zamieszek" na karę siedmiu więzienia, z których nieomal dwa spędził za kratkami. Ten dramatyczny moment w historii Armenii okaże się przełomowy nie tylko ze względu na bratobójczo przelaną krew, rozpocznie także dekadę rządów Serża Sargsjana, a dla części społeczeństwa, w tym dla samego Paszinjana, będzie stanowił symboliczny moment rozłamu pomiędzy państwem a społeczeństwem. Podczas kryzysu w Erebuni w 2016 roku, gdy grupa kilkudziesięciu uzbrojonych mężczyzn zajęła posterunek policji, doma-

eprasa.pl 4e2336049b

gając się uwolnienia ich lidera Żirajra Sefiljana oraz ustąpienia z urzędu prezydenta Serża Sargsjana, Paszinjan po raz kolejny próbował wykorzystać swój krasomówczy warsztat i pełnić funkcję mediatora. Bojówkarze z grupy Sasna Tsrer, obawiając się, że ich desperacki gest zostanie politycznie skapitalizowany przez – było nie było – konkurenta, odcięli się od podejmowanych przez niego starań na rzecz rozwiązania konfliktu. Zasiadający od wiosny 2016 roku w ławach parlamentu jeden z trójki liderów opozycyjnego bloku Wyjście (obok Edmona Marukjana i Arama Sargsjana) jeszcze kilkukrotnie bez większego powodzenia próbował organizować różnego rodzaju protesty. W sukces Paszinjana nie wierzyło nawet środowisko polityczne, z którego się wywodził, i jego koalicjanci, którzy nie tylko nie przyłączyli się do jego działań, ale także w ostrym tonie krytykowali Paszinjana na łamach prasy, prowadząc do wewnętrznego rozbicia opozycyjnego bloku.

Rewolucja z Instragrama

Co zatem sprawiło, że niespełna miesiąc po nieudanym proteście, który zebrał jedynie kilkaset osób, Paszinjan pociągnął za sobą tłumy, doprowadził do odejścia świetnego politycznego gracza, jakim był Serż Sargsjan, zdobył stanowisko premiera, by ostatecznie uzyskać zdecydowaną większość w Zgromadzeniu Narodowym? Przyczyn jest kilka. Po pierwsze, w odróżnieniu od wielu poprzednich akcji, protesty miały jednego, charyzmatycznego lidera. Nikol Paszinjan przez wielu Ormian uznawany jest za szczerego, ideowego „zawodowego rewolucjonistę". Jednocześnie dysponował on wsparciem aktywistów, przedstawiających oddolne ruchy społeczne – to oni stanowili jego zaplecze. Dzięki temu mógł stać się liderem – twarzą protestów. Miał także legitymację oddolnego, niezawłaszczonego przez polityków ruchu. Nie bez znaczenia jest też sama osoba Paszinjana, z którą może się identyfikować wielu mieszkańców Armenii. „Nikol" nie wpisuje się w klasę elity politycznej między innymi ze względu na skromny styl życia, podobny do jego współobywateli.

Paszinjan świadomie podkreślał „swojskość", kształtując swój wizerunek: prezentował się w sportowych ubraniach, udzielił wywiadu we własnym mieszkaniu (w obecności swojej rodziny), informował o poborze do wojska swojego syna. Jednocześnie widoczne były także nawiązania do uważanego za bohatera narodowego, karabaskiego dowódcy Monte Melkonjana. Kluczowe znaczenie miała sama forma protestów. Nieomal od początku strajku postawiono na niewielkie, rozproszone akcje blokowania ulic, mostów, skrzyżowań, które mimo początkowej niedużej liczebności protestujących sprawiały wrażenie faktycznego paraliżu miasta. Ważne było danie protestującym prawa do decyzji o blokadach poszczególnych części miasta, co uczyniło z mieszkańców Erywania współuczestniczących w proteście, rosła ich

eprasa.pl 4e2336049b

Nikol Paszinjan przez wielu Ormian uznawany jest za szczerego, ideowego „zawodowego rewolucjonistę". Jednocześnie dysponował on wsparciem aktywistów, przedstawiających oddolne ruchy społeczne, którzy stanowili jego zaplecze.

identyfikacja z przeprowadzanymi akcjami. Nie można też pominąć kwestii medialności i „fotogeniczności" takiej formy strajku, co dla młodych ludzi, którzy stanowili zdecydowaną większość demonstrantów, było ważnym czynnikiem zwiększającym atrakcyjność wydarzeń i pobudzającym oddolną kreatywność, której efektami dzielono się w sieciach społecznościowych. Codzienne wieczorne mityngi na placu Republiki przybrały formę dużego festiwalu, podczas którego zebrani mogli posłuchać przemówień, ale także muzyki na żywo. Taki poziom zorganizowania politycznego

eprasa.pl 4e2336049b

mityngu jest w Armenii bezprecedensowy – zapewniono profesjonalną scenę, nagłośnienie, stworzono swoisty „hymn rewolucji", rozpoznawalny muzyczny znak.

Z dużym prawdopodobieństwem można założyć, że wielu uczestników wieczornych demonstracji niekoniecznie posiadało ściśle określone poglądy polityczne, natomiast do udziału w mityngach zachęciła ich karnawałowa forma protestu, odwrócenie obowiązujących reguł (chodzenie po ulicach, by blokować ruch samochodowy, uprawianie jogi na przejściach dla pieszych), atmosfera festiwalu muzycznego i poczucie wolności. Warto zaznaczyć, że na co dzień energia młodzieży pozostaje niezagospodarowana; już w przypadku protestów z poprzednich lat jasno rysowała się potrzeba przekucia ich w formę zabawy. Trudno jednoznacznie przesądzić o pełnym przygotowaniu i świadomości wszystkich wyborców co do formy protestów ze względu na ewidentne testowanie przez Nikola Paszinjana różnych scenariuszy i płynne zmienianie ich w miarę trwania protestów (blokady ulic, próby wdzierania się do budynków, marsze, blokowanie urzędów, protesty przed parlamentem, centralny punkt na placu Francuskim później zmieniony na plac Republiki).

Naturalnie, protesty miały też podłoże w sytuacji społeczno-ekonomicznej kraju, gdzie poczucie krzywdy i frustracji obywateli zostało utożsamione z rządami Partii Republikańskiej i skontrastowane z arogancją przedstawicieli klasy politycznej. Należy zauważyć, że podobnie jak w przypadku protestów z lat ubiegłych, niezależnie od ich katalizatora, główny postulat został sprowadzony do żądania ustąpienia Serża Sargsjana, nie zaprezentowano jednak innego, szerszego i niepopulistycznego scenariusza. Same postulaty socjalne, jak pokazały protesty na parę miesięcy przed „aksamitną rewolucją", nie stanowią wystarczającego argumentu dla wypowiedzenia przez obywateli nieposłuszeństwa państwu. Kluczowy był moment historyczny, to znaczy zmiana ustroju, a dokładniej: przejście Serża Sargsjana od funkcji prezydenta na stanowisko premiera, co w rozumieniu społecznym zostało uznane za arogancję władzy na tyle silną, że skanalizowała w sobie wszystkie inne przyczyny społecznego niezadowolenia. Należy zatem uznać, że protesty miały przede wszystkim charakter godnościowy, upodmiotawiający obywateli Armenii w ich własnych oczach.

Smak zwycięstwa, głód zmian

Trzeba przyznać, że rządząca przez lata w Armenii Partia Republikańska sama zastawiła na siebie pułapkę podczas poprzednich wyborów (kupione od obywateli głosy były bombą z opóźnionym zapłonem, doprowadziły do wypowiedzenia zawartej wówczas „umowy" pomiędzy Republikańską Partią Armenii a głosującymi). Jednak także w zwycięstwie Paszinjana odbija się słabość systemu parlamentarnego i partyjnego w Armenii. Partie polityczne okazały się nie mieć większego znaczenia

eprasa.pl 4e2336049b

podczas wiosennych protestów, co z punktu widzenia dokonanej transformacji ustrojowej może niepokoić. Społeczeństwo dokonało zmiany lidera i kojarzonych z nim ogólnych, abstrakcyjnych haseł. Podczas protestów w mediach praktycznie nie padały pytania o konkretne poglądy czy postulaty nowego lidera opozycyjnego ruchu, a najbardziej palące społecznie kwestie zostały przykryte populistycznymi dywagacjami na temat konieczności zlikwidowania drogowych fotoradarów. Kolejnym znaczącym ryzykiem wynikającym z postrzegania Paszinjana jako człowieka symbolu, nie zaś polityka o określonym programie, jest wzbudzenie przez niego ogromnych oczekiwań społecznych, nie zawsze nazwanych, których niespełnienie przyniesie rozczarowanie. Instrument ten zapewne będzie wykorzystywany przez siły mu przeciwne. Stąd też aż do przedterminowych wyborów nowy premier ograniczył się do ogólnych deklaracji ideowych oraz populistycznych chwytów – ograniczania wydatków budżetowych na „zbytek" przedstawicieli władzy, walkę z korupcją i ujawnianie kolejnych afer i bogactw ludzi związanych z poprzednią ekipą oraz próby rozliczenia winnych wydarzeń z 1 marca 2008 roku (w tym aresztowania byłego prezydenta Roberta Koczarjana). Póki co jednak Paszinjan nie korzysta z szansy systemowej reformy państwa, choć ma w ręku potrzebne do tego instrumenty; pozostawia stanowisko superpremiera (stworzony przez Serża Sargsjana organ, któremu bezpośrednio podlegają wszystkie służby związane z bezpieczeństwem państwa – rzecz niespotykana w parlamentarnych systemach rządów) nietkniętym. Rozwiązanie to nie budzi kontrowersji u większości społeczeństwa, choć sprawa jest podnoszona przez parlamentarną opozycję, która posuwa się do zarzutu o instytucjonalne ustanowienie „dyktatury rewolucyjnej". Ponadto Paszinjan w dalszej perspektywie będzie musiał stawić czoła narosłym od lat problemom. Jak pokazał jednak godnościowy wymiar protestów, a także sprawdzana przez lata cierpliwość armeńskiego społeczeństwa, to poczucie własności procesów politycznych, nie zaś znalezienie remedium na bardziej przyziemne bolączki społeczeństwa, może okazać się kluczowe dla względnej popularności nowego premiera. Apetyty zostały rozbudzone, Mój Krok pełni funkcję szefa kuchni z większością parlamentarną, ale dostępne menu ciągle jest ograniczone niewydolnym systemem ekonomicznym, złożonymi sieciami interesów i skomplikowaną sytuacją geopolityczną.

Ewa Polak jest analityczką, antropolożką polityki, bada kraje byłego Związku Radzieckiego.

eprasa.pl 4e2336049b

Rok 2018 na Kaukazie Południowym
To przyszła młodość

Wojciech Górecki

Kaukascy dwudziestolatkowie chcą żyć jak na Zachodzie – ale nie chcą być Zachodem. Za kilka lat, po następnym cyklu elekcyjnym, ci ludzie zaczną obsadzać ważne stanowiska, a za kilkanaście lat mogą sięgnąć po władzę.

Co łączy zwycięską armeńską rewolucję Nikola Paszyniana, uliczne akcje w Gruzji – „narkomajdan", po których zdepenalizowano zażywanie marihuany, oraz burzliwą demonstrację w azerbejdżańskiej Gandży po zamachu na mera miasta? To, że wszędzie siłą napędową byli ludzie młodzi i bardzo młodzi, którzy w pełni ukształtowali się, a często nawet urodzili w niepodległych państwach. Którzy znają ZSRR jedynie z rodzinnych przekazów, filmów, książek i szkolnych podręczników. Zmiana pokoleniowa na Kaukazie Południowym stała się faktem. Warto zastanowić się, co z tego wynika.

Region: więcej tego samego

Rok 2018 obfitował w regionie w ważne wydarzania. Najbardziej doniosłym było przyjęcie ramowej konwencji o statusie prawnym Morza Kaspijskiego, co nastąpiło 12 sierpnia w kazaskim Aktau na szczycie pięciu państw brzegowych: Azerbejdżanu, Kazachstanu, Rosji, Turkmenistanu i Iranu. Uzgodniono formułę, w myśl której akwen nie jest ani morzem, ani jeziorem. Większość wód pozostawiono we wspólnym użytkowaniu, chociaż wytyczono strefy wód wewnętrznych, terytorialnych i rybołówstwa, co przypomina rozwiązania z zakresu prawa morza. Równocześnie podzielono dno i spoczywające pod nim zasoby na narodowe sektory – jak w przypadku jeziora. Przyjęto zasadę, że głównym czynnikiem wpływającym na wielkość stref interesów ekonomicznych danego państwa jest jego linia brzegowa. Wymagało to przełamania oporu Iranu, który ma linię najkrótszą i przez wiele lat domagał się jednej piątej akwenu (w ten sposób wszedłby w posiadanie złóż zalegających na szelfach azerbejdżańskim i turkmeńskim). Ustalono wreszcie, że o przebiegu pod-

eprasa.pl 4e2336049b

wodnych ropociągów i gazociągów będą decydować państwa bezpośrednio zainteresowane, a nie cała kaspijska piątka (choć pozostałe kraje będą mogły te inwestycje oprotestować, powołując się na kwestie ekologiczne).

Konwencja zastąpiła umowy radziecko-irańskie z lat 1921 i 1940. Uzgodniono ją po ponad dwóch dekadach negocjacji, dziesiątkach spotkań, długiej serii szczytów. Jeżeli nie znalazła się na czołówkach światowych mediów jako news miesiąca, a może roku – owszem mówiono o niej, ale na dalszych miejscach w serwisach i pośledniejszych stronach gazet – to dlatego, że nie trafiła w swój czas. W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku panowało przekonanie, że nieustalony status akwenu uniemożliwi korzystanie z kaspijskich ropy i gazu (o ich wielkości krążyły wówczas legendy, nie brakowało naciąganych porównań do Morza Północnego i Zatoki Perskiej). Z biegiem czasu okazało się, że mimo braku konwencji infrastruktura może jednak powstawać, a wiele spraw da się rozwiązać na drodze dwu- czy trójstronnych porozumień: ropociąg Baku–Tbilisi–Ceyhan ruszył w 2005 roku, gazociąg Baku–Tbilisi–Erzurum – w roku 2006. Po latach wymarzony dokument, potwierdzający suwerenne prawa państw brzegowych do poszczególnych części akwenu, stał się rodzajem aktu notarialnego zamieniającego wieczystą dzierżawę w pełną własność. Formalnie – przełomowym, lecz niewiele zmieniającym w praktyce.

Podobnie z innymi regionalnymi wydarzeniami minionego roku: były znakami świadczącymi o pogłębieniu, a niekiedy tylko o kontynuacji procesów i tendencji, które obserwujemy od dłuższego czasu. Zakończenie przez Gazprom budowy morskiego odcinka gazociągu TurkStream (19 listopada 2018 roku) wpisało się w zbliżenie pomiędzy Moskwą a Ankarą, widoczne od początku naszego wieku, a wyraźniej – od wojny rosyjsko-gruzińskiej w 2008 roku (kryzys po zestrzeleniu jesienią 2015 roku przez siły tureckie rosyjskiego bombowca okazał się tyleż głęboki, ile krótkotrwały, powrotowi na drogę bliskiej współpracy nie przeszkodziło zabójstwo rosyjskiego ambasadora nieco ponad rok później). Inauguracja gazociągu transanatolijskiego TANAP (12 czerwca 2018 roku), stanowiącego istotny fragment Południowego Korytarza Gazowego, wzmocniła pozycję Baku jako eksportera surowca i pozycję Turcji jako pośrednika w handlu nim. Wypowiedzenie przez USA 8 maja 2018 roku porozumienia Joint Comprehensive Plan of Action (JCPOA) z Iranem oddaliło perspektywę głębszego włączenia tego kraju w sieć regionalnych połączeń transportowych – ale w okresie, gdy sankcje wobec Iranu były złagodzone (lata 2015–2018), poważniejszych projektów infrastrukturalnych i tak nie rozpoczęto (najbardziej zaawansowany z nich,

W Armenii wpływ na protesty miała wielka skala społecznej frustracji, ale wpływ decydujący – zmiana pokoleniowa.

eprasa.pl 4e2336049b

nadkaspijska kolej umożliwiająca przejazd z Baku do Teheranu, ma zostać ukończony do roku 2020).

Najważniejszym zewnętrznym graczem w regionie pozostała Rosja. Jej pozycję wzmocnił zapis zakazujący obecności na Morzu Kaspijskim sił zbrojnych państw innych niż brzegowe, który znalazł się w konwencji o statusie akwenu. Wyklucza to możliwość – i tak teoretyczną – zaproszenia przez, powiedzmy, Baku, amerykańskich *marines* albo jednostek izraelskich. Moskwa wydaje się mieć co prawda mniejsze przełożenie na nowy rząd Armenii, niż miała na ekipę byłego prezydenta Serża Sargsjana, jednak wielość posiadanych w tym kraju aktywów i instrumentów sprawia, że jej interesy są tam tak czy inaczej zagwarantowane. Nie jest jednak wszechmocna – kolejny rok nie udało się jej przeforsować planu Ławrowa (optymalnym z jej punktu widzenia rozwiązaniem byłoby rozmieszczenie w strefie konfliktu karabaskiego własnych sił pokojowych, co na dodatek zostałoby pewnie dobrze przyjęte przez Zachód).

„Narkomajdan" nie miał na obszarze byłego ZSRR precedensu i mógł wydarzyć się tylko w Gruzji, a konkretnie – w zwesternizowanym, wyróżniającym się na tle reszty kraju Tbilisi.

Z odmienną dynamiką mieliśmy do czynienia w poszczególnych państwach regionu. Tam wydarzenia, wydawałoby się, mało znaczące czy wręcz powtarzalne (pierwszy etap rewolucji Paszinjana, gdy wędrował on przez kraj z garstką zwolenników i bezpańskim psem, a potem bezskutecznie starał się nie dopuścić do nominacji Serża Sargsjana na premiera; kolejne protesty młodzieży w Tbilisi; kilkusetosobowa demonstracja w nie największym mieście Azerbejdżanu) doprowadziły albo mogą doprowadzić w przyszłości do zmiany jakościowej.

Armenia: robota Sorosa

Przełom w armeńskiej rewolucji przyniosła zmiana taktyki i decentralizacja protestów. Potrzebni stali się lokalni liderzy – i tacy się pojawili. Okazali się nimi miejscy aktywiści, działacze organizacji pozarządowych, studenci i uczniowie starszych klas szkół średnich.

Przypomnijmy, że wszystko zaczęło się, gdy kończący drugą i ostatnią kadencję prezydent Serż Sargsjan ogłosił, że będzie ubiegał się o fotel premiera. W praktyce oznaczało to, że chce dalej rządzić, ponieważ w wyniku reformy konstytucyjnej kompetencje głowy państwa przeszły w ręce szefa rządu. Ludzie poczuli się oszukani, bo Sargsjan miał odejść, sam to wcześniej zapowiadał. Uosabiał wszystkie

eprasa.pl 4e2336049b

patologie polityczno-oligarchicznego układu, który trząsł krajem od ponad dwóch dekad. Gdyby jednak układ wysunął na premiera kogoś innego, do protestów mogłoby w ogóle nie dojść, albo nie przybrałyby tak dużych rozmiarów.

Opozycyjny deputowany Nikol Paszinjan ruszył na obchód Armenii pod hasłem „Precz z Serżem". W odwiedzanych miastach zwoływał wiece i organizował demonstracje. Gdy doszedł do Erywania, jego zwolennicy zaczęli gromadzić się każdego dnia na centralnym placu Republiki. Było ich kilkanaście–kilkadziesiąt tysięcy. Dużo, ale nie na tyle, by zmusić Sargsjana do ustępstw. Zbliżał się 24 kwietnia – dzień obchodzonej uroczyście rocznicy rzezi Ormian w Imperium Osmańskim. Władze liczyły, że przed obchodami protesty wygasną, i nie chciały dolewać oliwy do ognia: dziesięć lat wcześniej w zamieszkach zginęło dziesięć osób, nikt nie chciał powtórzenia tragedii.

W obliczu nadciągającej porażki Paszinjan wezwał zwolenników do organizowania blokad. Gdy pytano go, co i jak zablokować, odpowiadał: „to wy wiecie lepiej, jesteście na miejscu". Od tamtej pory Erywań – a na mniejszą skalę także inne ośrodki – były od rana do nocy paraliżowane. Protestujący, używając dwóch, trzech samochodów, paru kontenerów na śmieci, przenośnej wiaty, tamowali ruch na rondach i wiaduktach, zamykali dojazdy do dworców, blokowali budynki rządowe. Policja była bezradna: wysłany na miejsce patrol mógł rozproszyć jedną blokadę, ale w tym samym czasie organizowano kilka innych. Owszem, skrzykiwano się w mediach społecznościowych, ale władze nie były w stanie wszystkich ich kontrolować. Ludzie zaczęli czuć, że wygrywają z systemem.

22 kwietnia 2018 roku Paszinjana aresztowano, ale było już za późno. Wieczorem na placu Republiki znów zebrał się wielotysięczny wiec, a następnego dnia kontynuowano blokady i protesty (do demonstrantów dołączyli żołnierze z armeńskich sił pokojowych). Dzień później deputowany odzyskał wolność, zaś Sargsjan podał się do dymisji, to jednak nie uspokoiło sytuacji. Protestujący zażądali, by nowym premierem został Paszinjan i gdy Zgromadzenie Narodowe odrzuciło jego kandydaturę w pierwszym głosowaniu, ludzie zablokowali dosłownie cały kraj – główne drogi, szlaki kolejowe, przejścia graniczne, dojazd do stołecznego lotniska. 8 maja 2018 roku Paszinjan objął funkcję szefa rządu, a 9 grudnia jego ugrupowanie zwyciężyło w przedterminowych wyborach parlamentarnych.

Dlaczego protesty zakończyły się sukcesem? Wersja spiskowa, w myśl której wszystko sprowokowała Moskwa, obrażona na Sargsjana za podpisanie umowy o partnerstwie z Unią Europejską, nie wydaje się przekonująca. Owszem, mogło zależeć jej na zdyscyplinowaniu Serża, może zastąpieniu go przez związanego z Gazpromem poprzedniego premiera Karapetiana – ale przecież nie na zwycięstwie oddolnego ruchu i ludowego trybuna, nie na wcześniejszych wyborach, wreszcie nie na rozli-

eprasa.pl 4e2336049b

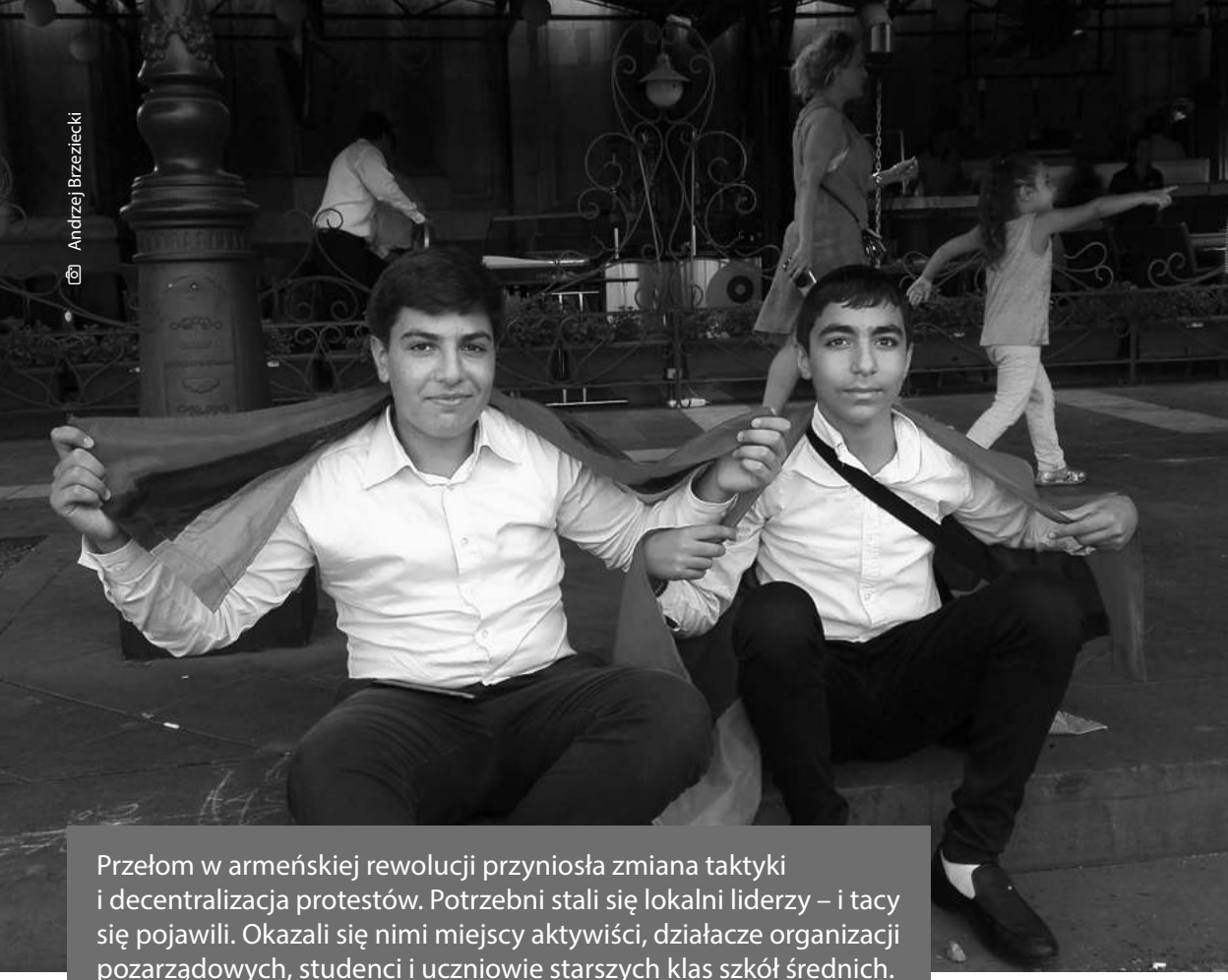

Andrzej Brzeziecki

Przełom w armeńskiej rewolucji przyniosła zmiana taktyki i decentralizacja protestów. Potrzebni stali się lokalni liderzy – i tacy się pojawili. Okazali się nimi miejscy aktywiści, działacze organizacji pozarządowych, studenci i uczniowie starszych klas szkół średnich.

czaniu dotychczasowej, powiązanej z Rosją elity (do aresztu trafił Robert Koczarian, prezydent Armenii w latach 1998–2008). Gdyby Paszinjan był projektem Kremla, Rosja nie podniosłaby Armenii od początku 2019 roku ceny na gaz.

Duży wpływ miała wielka skala społecznej frustracji, ale wpływ decydujący – wspomniana zmiana pokoleniowa. Ormiańskiemu społeczeństwu nie sposób odmówić podmiotowości. W poprzednich latach wielokrotnie wyrażało niezadowolenie, także na ulicach. Tamte protesty podszyte były jednak strachem, co zrobi Rosja i czy wewnętrznego kryzysu nie wykorzysta Azerbejdżan (władze podsycały takie obawy). W agendzie rewolucji 2018 roku ani kwestia Górskiego Karabachu, ani polityka zagraniczna, w tym relacje Armenii z Rosją, nie odgrywały żadnej roli, co zakrawało wręcz na naiwność. Pochodzący z północnej części kraju Paszinjan nigdy nie zajmował się jednak Karabachem, a dominująca wśród protestujących młodzież nie pamiętała wojny z Azerbejdżanem z lat 1992–1994. W tej grupie frontowe realia znają z autopsji jedynie chłopcy, którzy służyli w armii na linii rozgraniczenia, gdzie do wymiany ognia dochodzi codziennie.

eprasa.pl 4e2336049b

Rodzący się *ad hoc* lokalni liderzy przeszli w większości przez rozmaite szkolenia, seminaria i okrągłe stoły organizowane przez trzeci sektor, byli beneficjentami wszelkiego rodzaju staży, stypendiów i wizyt studyjnych. Liczba aktywistów okazała się wystarczająco duża, by wpłynąć na bieg wydarzeń. Ilość przeszła w jakość – i w tym sensie rewolucja Paszinjana była rzeczywiście „robotą Sorosa".

Gruzja: narkomajdan w cieniu wyborów

W Gruzji najważniejszym wydarzeniem 2018 roku były wybory prezydenckie, które stały się plebiscytem popularności rządzącego od sześciu lat Gruzińskiego Marzenia (GM). W pierwszej turze *de facto* wygrała opozycja: co prawda najwięcej głosów uzyskała Salome Zurabiszwili (kandydatka niezależna, choć wspierana przez GM), ale jej główny rywal Grigol Waszadze, polityk Zjednoczonego Ruchu Narodowego byłego prezydenta Saakaszwilego – tylko niespełna jeden punkt procentowy mniej. Gdyby do jego wyniku dodać głosy oddane na Dawita Bakradzego, reprezentującego partię Europejska Gruzja, która powstała po rozłamie w ZRN, pani Zurabiszwili zostałaby daleko w tyle (w drugiej turze Bakradze wezwał zwolenników do głosowania na Waszadzego).

Taki rozkład głosów oznaczał „żółtą kartkę" dla GM i stojącego za tym ugrupowaniem miliardera Bidziny Iwaniszwilego. Stanowił sygnał, że sympatie wyborców zaczynają się od Marzycieli odwracać. Fakt, że w drugiej turze zdecydowanie wygrała Zurabiszwili (59,5 procent do 40,5 procent), wynikał w znacznym stopniu z obawy Gruzinów przed wstrząsami i niepokojami, możliwymi w przypadku sukcesu opozycji – jej kandydaci zapowiadali, że będą dążyć do wcześniejszych wyborów do parlamentu (lęki przed destabilizacją podsycała propaganda GM). Rzecz jasna, ogromną rolę odegrała wyjątkowo tłusta kiełbasa wyborcza w postaci zapowiedzi „amnestii kredytowej" dla około 700 tysięcy osób oraz zastosowany na szeroką skalę „czynnik administracyjny", jednak w takim kraju jak Gruzja nie sposób uzyskać niemal dwudziestopunktowej przewagi wyłącznie dzięki przekupstwu i zastraszeniu.

W toku kampanii przed pierwszą turą Salome Zurabiszwili opowiedziała się za dalszą liberalizacją ustawodawstwa dotyczącego miękkich narkotyków. Chodziło o legalizację upraw konopi dla produkcji środków farmaceutycznych i kosmetycznych na eksport. Wobec protestów opozycji i Gruzińskiego Kościoła Prawosławnego odpowiedni projekt ustawy został wycofany z parlamentu. Początkiem tej sprawy były masowe protesty młodzieży przeciwko brutalnym nalotom policji na nocne kluby w Tbilisi, które miały miejsce w maju ubiegłego roku (funkcjonariusze ścigali narkotykowych dealerów). W wyniku protestów wspartych przez część polityków – a także na skutek wcześniejszych działań lobbingowych ze strony różnych ruchów

eprasa.pl 4e2336049b

społecznych oraz partii Girczi (Szyszka) – 30 lipca 2018 roku gruziński Sąd Konstytucyjny w praktyce zdepenalizował palenie marihuany (uznał karanie za ten czyn za niekonstytucyjne), choć z szeregiem ograniczeń – nadal nielegalne jest zażywanie narkotyku w obecności dzieci i w miejscach publicznych, a także przechowywanie go. Legalizacja upraw miała przynieść znaczne dochody do budżetu, choć według opozycji głównym beneficjentem byłby Bidzina Iwaniszwili i związani z nim biznesmeni, a pól i magazynów konopi nie dałoby się skutecznie zabezpieczyć przed kradzieżami.

„Narkomajdan" nie miał na obszarze byłego ZSRR precedensu i mógł wydarzyć się tylko w Gruzji, a konkretnie – w zwesternizowanym, wyróżniającym się na tle reszty kraju Tbilisi. Również jednak w tym przypadku musiało dorosnąć pokolenie, które uznało za oczywiste to, co nie mieściło się w głowach trzydziestolatków, nie mówiąc o jeszcze starszych braciach i kolegach. To właśnie do owej najmłodszej grupy wyborców skierowany był propagandowy przekaz Gruzińskiego Marzenia: „głosujcie na nas, bo jak nie, to wróci Misza i powsadza was wszystkich do więzienia" (w czasach Saakaszwilego Gruzja zajmowała jedno z czołowych miejsc na świecie pod względem liczby więźniów na sto tysięcy mieszkańców).

Gasnący blask Zachodu

Podobnie jak w Gruzji, w Azerbejdżanie w 2018 roku także odbyły się wybory prezydenckie. Planowane były pierwotnie na jesień, ale ostatecznie doszło do nich już wczesną wiosną (11 kwietnia 2018 roku). Prawdopodobnie prezydent Ilham Alijew nie chciał zwlekać z reelekcją w obliczu wyborczych procesów w Rosji (reelekcja Władimira Putina 18 marca 2018 roku) i Armenii (zmiana na stanowisku prezydenta, obsadzenie fotela premiera). Urzędujący szef państwa wygrał, zdobywając 86 procent głosów i zapewniając sobie rządy do 2025 roku.

Zajścia, które miały miejsce latem w mieście Gandża, nie wzbudziły w świecie większego zainteresowania. 3 lipca 2018 roku doszło do próby zamachu na tamtejszego mera Elmara Welijewa. Niedoszły zabójca, trzydziestopięcioletni Junis Safarow, został ujęty. Tydzień później na placu przed gmachem merostwa zebrało się dwieście – najwyżej trzysta osób. Niedużo, ale w pasywnym i zatomizowanym społeczeństwie nawet takie demonstracje to rzadkość. Padły żądania wyjaśnienia okoliczności zamachu, ale też działań samego mera, który nie był, mówiąc łagodnie, zbyt popularny wśród mieszkańców. Doszło do przepychanek z policją i dwóch wyższych oficerów zginęło, aresztowania objęły kilkadziesiąt osób. Półtora miesiąca później prezydent odwołał mera Welijewa bez podania przyczyn. Może dlatego, że ten nie potrafił utrzymać w mieście porządku, ale może było coś na rzeczy w wysuwanych

eprasa.pl 4e2336049b

przeciwko niemu przez ludzi zarzutach. Jeśli tak, byłoby to bezprecedensowe ustępstwo przed demonstrantami. A na placu przed merostwem dominowała młodzież.

***

Rozmawiając z kaukaskimi dwudziestolatkami, odnosi się wrażenie, że chcą żyć jak na Zachodzie – ale nie chcą być Zachodem. Pragną dostępu do dóbr materialnych, usług, oferty edukacyjnej, wreszcie wolności słowa i zgromadzeń – ale nie pasują im nasze instytucje. Po części wynika to z obawy przed Rosją (ormiańscy aktywiści przyznają, że nie chcą drażnić jej udziałem we wspólnych projektach z Ukraińcami i Gruzinami). Po części – ze świadomości, że Zachód nie urządzi im życia i muszą sami budować swoje państwa (tym różni się dzisiejsza młodzież od pokolenia rewolucji róż). Po części – bo zachodni model z różnych powodów przestaje być dla nich atrakcyjny.

Za kilka lat, po następnym cyklu elekcyjnym, ci ludzie zaczną obsadzać ważne stanowiska, a za kilkanaście mogą sięgnąć po władzę. Oni będą kształtować świat, który z przyzwyczajenia nazywamy posowieckim – chociaż rzeczony „sowiet" coraz rzadziej bywa, przynajmniej na Kaukazie Południowym, istotnym punktem odniesienia.

Wojciech Górecki jest analitykiem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia, pisarzem, reporterem i stałym współpracownikiem „Nowej Europy Wschodniej". W latach 2002–2007 był pierwszym sekretarzem, a następnie radcą w Ambasadzie RP w Baku. Był ekspertem misji Unii Europejskiej badającej okoliczności wojny w Gruzji w 2008 roku. W 2011 roku został finalistą Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego oraz otrzymał nominację do Nagrody Literackiej Nike. W 2013 roku otrzymał Nagrodę im. Beaty Pawlak. Autor między innymi książek: *Planeta Kaukaz* (Warszawa 2002, Wołowiec 2010 i 2017), *Toast za przodków* (Wołowiec 2010 i 2017) oraz *Abchazja* (Wołowiec 2013 i 2017). Ostatnio nakładem Wydawnictwa Czarne ukazała się jego książka *Buran. Kirgiz wraca na koń* (Wołowiec 2018).

eprasa.pl 4e2336049b

Śmieci w wielkim mieście

Anna Głąb

Moskwę otaczają coraz szerzej różnego rodzaju „pierścienie". Jest znany turystom architektoniczno-historyczny Złoty Pierścień, są coraz bardziej oddalane od centrum pierścienie obwodnic stolicy, jest też swoisty i mało chlubny pierścień – wysypisk śmieci, a w przyszłości także ich spalarni.

Gdy myśli się o rosyjskiej stolicy, często pojawiają się skojarzenia ogromu miasta i dużej liczby mieszkańców, której nawet rosyjskie statystyki nie są w stanie ogarnąć. Stąd oficjalnie liczy ona 12,5 miliona mieszkańców, a nieoficjalnie władze przyznają, że jest to nawet 25 milionów. Cała moskiewska aglomeracja, a więc z otaczającym stolicę obwodem, ma liczyć 40 milionów osób! I o ile skala miasta jest odczuwalna między innymi w bolączkach transportowych, o tyle mniej zauważalna jest tykająca bomba ekologiczna, szczególnie w kontekście skali powstających na tym obszarze odpadów. Aglomeracja „produkuje" 16 procent wszystkich rosyjskich śmieci, rocznie to prawie 12 milionów ton. Taka ilość pozwoliłaby usypać stożek wielkości dziesięciu piramid Cheopsa!

Porównanie to można traktować dosłownie, ponieważ większość śmieci, nie tylko w Moskwie, lecz także w innych regionach Rosji, trafia na wysypiska. Prawie połowa z nich to frakcje plastiku, kartonu i szkła, a więc surowców względnie prostych do przetworzenia. Urzędnikom i biznesowi najłatwiej jest jednak inwestować nie w surowce wtórne, ale kolejne składowiska lub spalarnie.

Wysyp problemów

Problem śmieci nabrzmiewał od lat. Władze wykazywały niewielką aktywność w zakresie jego rozwiązania, jakby nie chcąc widzieć kończących się możliwości funkcjonujących wysypisk czy ich zupełnego nieprzystosowania do współczesnych wymagań środowiskowych. Sektor silnie skryminalizowany w latach dziewięćdziesiątych XX wieku zachował część dawnej tradycji i wciąż prowadzi bandycką politykę gospodarowania odpadami. Niczym zaskakującym są wciąż nielegalne wysypiska, przy czym spotykane nawet w niewielkich odległościach od ścisłego centrum Moskwy (i niezależnie od tego, że na terenie stolicy prawo po prostu zabrania tworzenia wysypisk śmieci). Na tyłach Uniwersytetu Moskiewskiego (i na przynależnym mu

eprasa.pl 4e2336049b

terenie), w środku dzielnicy pełnej elitarnych apartamentowców można „zwiedzać" lokalny Szanghaj. Potoczną nazwę miejsce to dostało od mieszkańców, głównie z uwagi na niedbałą zabudowę, szemrane towarzystwo i nielegalnych imigrantów. Znalazło się tam miejsce także na prowizoryczną spalarnię śmieci, a na dużej części terenu najzwyczajniej w świecie funkcjonuje nielegalne wysypisko.

Wyczerpywanie się miejsca na podmoskiewskich składowiskach prowadziło do ich stopniowego zamykania. Między 2013 a 2017 rokiem dotyczyło to dwudziestu czterech z trzydziestu dziewięciu wysypisk. Najgłośniejszym echem odbiło się zamknięcie wysypiska Kuczyno, które nie było planowane, a dokonało się z dnia na dzień na polecenie Władimira Putina. Przyczyną decyzji było zwiększone i szybsze, niż planowano, jego napełnianie się w związku z zamykaniem starszych i przepełnionych wysypisk.

Moskwa produkuje rocznie prawie 12 milionów ton śmieci. Taka ilość pozwoliłaby usypać stożek wielkości dziesięciu piramid Cheopsa!

Kluczowa była także kwestia (temat zainteresował dziennikarzy i uzyskał akceptację kierownictwa państwowej telewizji), by wypłynąć w czasie corocznej „gorącej linii" prezydenta z obywatelami. Intensywna eksploatacja spowodowała bowiem jeszcze intensywniejszy smród, odczuwany przez mieszkańców w promieniu kilku kilometrów. Większość z nich dopiero wtedy dowiedziała się o istnieniu takiego obiektu w swoim dalszym sąsiedztwie i o zjawisku wybuchu gazu wysypiskowego (jest to mieszanina metanu, dwutlenku węgla i śladowych ilości innych cząstek chemicznych). Nieoficjalnie wskazuje się jednak, że dziennikarzami nie kierowała chęć poprawy jakości życia mieszkańców, lecz przyzwolenie na wprowadzenie tematu, aby następnie uzasadnić miliardowe inwestycje, które dają okazję do równie wysokich nadużyć finansowych.

Dlatego więc Putin się zżymał, nakrzyczał, zastraszył (to na potrzeby wzrostu ratingu popularności) i co? I nic. Oficjalnie jest pięknie – zagraniczne instalacje odprowadzają niebezpieczne substancje, wysypisko nie stanowi już zagrożenia dla mieszkańców – podręcznikowe przygotowanie do pełnej rekultywacji. A realnie Kuczyno dalej śmierdzi i chociaż w jego pobliżu jest to zwyczajnie nie do wytrzymania, wcale nie trzeba się specjalnie tam wybierać. Zobaczyć i poczuć taką „atrakcję" może każdy turysta pokonujący popularną trasę Moskwa–Włodzimierz. Na pierwszy rzut oka przypomina ono zbierające się na horyzoncie ciemne chmury, jednak dokładniejsze spojrzenie pozwala dostrzec zwyczajnie wielką górę śmieci.

Wciąż znajdują się aktywiści, którzy starają się monitorować działania na wysypisku, piszą wnioski, organizują protesty, skarżą się na niewystarczające zabiegi i niewydajną instalację, domagają się udostępniania danych z mierników jakości

eprasa.pl 4e2336049b

powietrza i – jak to bywa w Rosji – odbijają się od ściany. Putin przecież rozwiązał problem, więc jak mógłby on dalej istnieć? Dziennikarzy też już ta kwestia nie interesuje, chyba że przygotowują materiał na temat efektywności działania obecnej administracji i mówią w nim bynajmniej nie to, co można poczuć w pobliżu wysypiska (a czasem nawet kilka–kilkanaście kilometrów dalej).

Dlaczego ta historia nie mogła zakończyć się szczęśliwie? Pominę ogólną specyfikę Rosji, a oprę się na prostym parametrze – wydajność instalacji odprowadzającej gaz wysypiskowy uwzględnia jedynie oficjalne dane o objętości i rodzaju odpadów, podczas gdy w praktyce ilości są znacznie przekroczone, a tego, jakie odpady realnie znajdują się na tym terenie, nikt tak naprawdę nie wie. Na niesławnym od wiosny 2018 roku podmoskiewskim wysypisku Jadrowo o powierzchni 4 hektarów specjalistyczna instalacja spala na godzinę 2,5 tysiąca metrów sześciennych gazu, a dla Kuczyno, które obejmuje 60 hektarów, przeznaczono urządzenia o mocy 4 tysięcy metrów sześciennych. Działania, na które przeznaczane są miliardy rubli (nie jest tajemnicą, że część tej sumy jest zwyczajnie rozkradana), jedynie maskują realne problemy.

Moskwa ze swoim śmieciowym problemem nie chce zostać sama. Stara się „przekupić" władze innych regionów, by za stosowną opłatą składowały ich odpady.

Ekologia w służbie korporacji

Woskriesiensk – miasto bez tradycji, korzeni, efekt industrializacji lat trzydziestych ubiegłego wieku gdzieś między 88 a 113 kilometrem od Moskwy. Miało tyle szczęścia, że nie nadano mu nazwy odwołującej się do odległości od stolicy. Do pracy w zakładach chemicznych i cementowych zjeżdżali tu ludzie z całego kraju. Nowym przemysłowym nabytkiem rejonu ma być jedna z budowanych spalarni śmieci.

Na początek w całym obwodzie moskiewskim planowana jest budowa czterech zakładów, piąty ma powstać w Republice Tatarstanu. Jeszcze w 2015 roku podpisano porozumienie, na mocy którego wokół Moskwy ma się pojawić piętnaście takich obiektów. Każda ze spalarni ma „utylizować" 700 tysięcy ton śmieci rocznie, co przy założeniu realizacji inwestycji w pełnej skali daje możliwości spalania 10,5 miliona ton rocznie. Jest to prawie 88 procent obecnie produkowanych śmieci, co pozwala sądzić, że takie podejście władz nie przewiduje znaczącego rozwoju systemu recyklingu surowców wtórnych.

Większości mieszkańców Woskriesienska ta kwestia jednak nie interesuje. A gdyby nawet zainteresowała, władza zna wiele sposobów, aby ich dociekliwość powstrzy-

eprasa.pl 4e2336049b

mać – aresztowania, sądy, zastraszenie zwolnieniem z pracy. Co ważne, lokalni aktywiści nie dążą do zablokowania budowy spalarni jako takiej (chociaż inny schemat zarządzania odpadami, oparty głównie na recyklingu, jest im bliższy), problem tkwi w fakcie, że władza i biznes nie przestrzegają zasad, które same ustaliły. Projekt jest przez to nieprzejrzysty, prowadzony bez należytego nadzoru i tak naprawdę nie wiadomo, co jest budowane i jaki będzie realny wpływ instalacji na środowisko.

Starcie aktywistów z inwestorem jest klasycznym przykładem walki Dawida z Goliatem, przy czym trudno tutaj o szczęśliwe zakończenie. Kiedy bowiem problem śmieciowy stał się zauważalny, zaczęto przeznaczać na jego rozwiązanie coraz większe środki finansowe. Za tym przyszły państwowe korporacje oraz osoby powiązane z elitami władzy. Budowa spalarni śmieci w obwodzie moskiewskim przypadła Rostiechowi – przemysłowo-zbrojeniowemu gigantowi pod zarządem kolegi Putina z KGB Siergieja Czemiezowa. Generalnym wykonawcą będzie firma bliskich Putinowi braci Rotenbergów. Rostiech na każdym kroku podkreśla bezpieczeństwo instalacji, powołując się na zagraniczne technologie, stosowane z powodzeniem na Zachodzie. Główna różnica polega jednak na tym, że za granicą spala się to, co już nie może być ponownie przetworzone. Brak systemu recyklingu w Rosji powoduje, że spalane będzie wszystko „jak leci". To najbardziej martwi społeczności lokalne i niezależnych ekologów – wtedy bowiem wszystkie wskaźniki wpływu na otoczenie wzięte z przykładów zachodnich można włożyć między bajki.

Rzadko mówi się o tym, że z 700 tysięcy ton odpadów rocznie po procesie spalania pozostanie wciąż 260 tysięcy ton, przy czym część z nich będzie mieć wyższy poziom toksyczności, a te też trzeba gdzieś składować (i w o wiele bardziej restrykcyjnych warunkach niż dostępne na obecnych wysypiskach). Aktywistów i naukowców wożono do zakładów w Szwajcarii i o ile część przekonała się do tych rozwiązań, o tyle inni wciąż zaznaczają, że wskaźniki deklarowane w Rosji są już na etapie projektu wielokrotnie wyższe niż szwajcarskie. Spalarnia nie będzie więc spełniać najwyższych kryteriów środowiskowych, chociaż koszt jej budowy będzie porównywalny. Wobec nieprzekonanych władza bez skrupułów wykorzystuje zasoby administracji państwowej, struktur siłowych i sądownictwa.

W podobnym stylu odbywają się także konsultacje społeczne. Do miejsc, w których mają być prowadzone, zawczasu są przywożeni odpowiednio nastawieni „przedstawiciele społeczeństwa lokalnego", podczas gdy mieszkańcy mają realny problem z możliwością wejścia do sali obrad czy zabrania głosu. Głośnym echem odbiła się historia konsultacji w Tatarstanie, które zakończyły się przepychankami i przegnaniem przedstawicieli władz oraz inwestora – w opinii lokalnych aktywistów nie zapewniono im możliwości realnej i obiektywnej dyskusji.

eprasa.pl 4e2336049b

Dławiąc sprzeciw

Ponieważ wciąż nie wszystkie śmieci będą mogły być spalone, trwają też prace nad budową kolejnych wysypisk. Jedno z nich ma powstać w pobliżu Siergijewego Posadu. O ile Woskriesieńsk to, jak wspomniano, miasto bez korzeni i mało kto utożsamia się z tym rejonem jako „małą ojczyzną", o tyle inna sytuacja jest w Siergijewym Posadzie. Tam jednak miejscowi są podobnie apatyczni, pozostawiając wszystko w rękach garstki aktywistów. Grupa ta jest jedną z najbardziej kreatywnych w uprzykrzaniu prac budowlanych – i często ma ku temu podstawy, bo na przykład inwestor nie pofatygował się nawet o pozwolenie na wyrąb lasu, by wybudować drogę dojazdową (a łącznie budowanych jest ich aż cztery), a nawet o pozwolenie na budowę samego wysypiska. Brakuje wymaganych prawem ekspertyz, zezwoleń, a prace idą pełną parą, bo terminy gonią. Wszystko w ramach programu „Czysty kraj". To ironiczne określenie dla budowy wysypiska śmieci o początkowej powierzchni 50 hektarów, a docelowo nawet 150 hektarów.

Wydawałoby się, że dla rejonu, gdzie od lat składowane są radioaktywne odpady, już nic nie będzie bardziej niebezpieczne. Bieżąca kontrola aktywistów pokazuje jednak, że inwestor za nic ma wymagania środowiskowe. Akcje, które często przypominają happeningi, są ochraniane przez zastępy policji, a sprzeciw wymaga coraz większej odwagi. Dziennikarzowi i deputowanemu z Siergijewego Posadu, którzy poparli protest, „nieznani sprawcy" spalili samochody. Sposoby zastraszania potrafią być odważne i coraz bardziej przypominają lata dziewięćdziesiąte ubiegłego wieku. Tak jak wtedy, tak również obecnie, wielu Rosjan nie może liczyć na sprawiedliwość.

W tak „uporządkowanym" świecie właściwe miejsce jest ukazywane także duchownym. Cerkiew ma wpływ na działania władz tylko tam, gdzie jest to potrzebne. Gdy jeden z miejscowych duchownych aktywnie i publicznie działał przeciwko budowie wysypiska, miejsce jego pracy – lokalne muzeum wspierane ze środków budżetowych, stało się celem kontroli, a on sam musiał zrezygnować z prowadzenia dzieła życia.

Pieniądze nie śmierdzą

Moskwa i obwód moskiewski ze swoim śmieciowym problemem nie chcą zostać same. Jako bogate regiony mogą starać się „przekupić" władze innych podmiotów, by za stosowną opłatą składowały ich odpady. Te, powstałe po spaleniu, mają być wywożone aż 3 tysiące kilometrów na wschód, do Tomska. To, co nie zostanie skierowane do spalenia, może znaleźć się aż tysiąc kilometrów na północ od Moskwy – na wysypisku w obwodzie archangielskim. Chociaż jest tam łatwiej o miejsca oddalone

eprasa.pl 4e2336049b

od miast i wiosek, to mieszkańcy aktywnie protestowali przeciwko takiemu rozwiązaniu. Na początku grudnia ubiegłego roku w wielu miejscowościach regionu ludzie wyszli na ulice, a w przypadku Archangielska i Siewierodwińska mityngi liczyły około 3 tysięcy osób, co w warunkach rosyjskich oznacza dużą mobilizację (Archangielsk ma około 350 tysięcy mieszkańców, Siewierodwińsk – około 184 tysięcy). Do haseł sprzeciwu wobec „zamiany obwodu w wysypisko dla Moskwy" dołączano także żądanie dymisji gubernatora. Mieszkańców dodatkowo mógł rozzłościć fakt, że kiedy trwały już prace nad przygotowaniem wysypiska i zaczęły pojawiać się pierwsze informacje, władze tłumaczyły to jako *fake news*, a ponad miesiąc później wszystko okazało się prawdą, której już nie można było ukryć.

Mimo sprzeciwu Moskwa nie przestawała intensywnie lobbować swojego rozwiązania. Żeby uśpić czujność społeczną, wysypisko nazwano „ekotechnoparkiem" (czyli ekologicznym parkiem technologicznym) i opakowano w hasła korzystnego dla obwodu archangielskiego projektu inwestycyjnego. Wykorzystanie eufemizmów to dość popularny zabieg, gdyż spalarnie śmieci mają realizować zwyczajne „przetwarzanie termiczne", którego głównym celem ma być pozyskanie energii elektrycznej.

Z 700 tysięcy ton odpadów rocznie po procesie spalania pozostanie wciąż 260 tysięcy ton, przy czym część z nich będzie mieć wyższy poziom toksyczności.

Władze rosyjskiej stolicy prowadzą negocjacje także z przedstawicielami innych podmiotów – obwodów kałuskiego, tulskiego czy włodzimierskiego. Poza budżetem regionalnym transport odpadów na duże odległości zapewni też dochód Rosyjskim Kolejom Żelaznym. Chociaż oficjalnie to spółka państwowa, jest jednocześnie silnie przesiąknięta działaniem w interesie wspomnianych wyżej braci Rotenbergów.

Reforma gospodarowania odpadami, przepełnienie wysypisk, budowa spalarni i sortowni śmieci oraz powiązane z nimi protesty były jednym z ważniejszych tematów dyskusji społecznej w 2018 roku. Nie bez znaczenia było to dla corocznego spotkania Władimira Putina z dziennikarzami. Prezydent, chociaż o samym rozwiązaniu problemu nie powiedział nic konkretnego, potwierdził jednak skalę inwestycji – do 2024 roku ma być zbudowanych około dwustu zakładów przetwórstwa śmieci. Dla potencjalnych uczestników rynku oznacza to przede wszystkim perspektywę „zagospodarowania" środków budżetowych. Żeby jednak trafiły one do właściwych podmiotów, Putin w styczniu 2019 roku powołał federalną spółkę – operatora rynku gospodarowania odpadów, w praktyce przedsiębiorstwo państwowe z kompetencjami ministerstwa. Pod hasłem reformy rynku będzie prowadzony kolejny projekt podziału dochodów państwowych.

eprasa.pl 4e2336049b

W Rosji nie ma bowiem decyzji przypadkowych. Nie na darmo Putin w swoich odpowiedziach zazwyczaj mówi, że wszystko należy dokładnie rozważyć. Oficjalnie przytaczana argumentacja często, jeśli nie zawsze, nie jest jednak tą, która ma realny wpływ na podjęcie decyzji. Kwestia gospodarowania odpadami oraz problemów, jakie sprawiają one społecznościom lokalnym, jest tego kluczowym przykładem. Narracja nie jest bowiem kreowana i kierowana przez aktywistów, przedsiębiorców i mieszkańców, lecz państwowe korporacje i firmy powiązane z władzą, realizujące swój partykularny interes (najczęściej finansowy). W rezultacie dokonywany jest wybór nie rozwiązania optymalnego, ale najbardziej opłacalnego dla urzędników i biznesu.

Anna Głąb jest doktorem nauk ekonomicznych, absolwentką stosunków międzynarodowych w Szkole Głównej Handlowej. Publicystka „Nowej Europy Wschodniej".

eprasa.pl 4e2336049b

REKLAMA

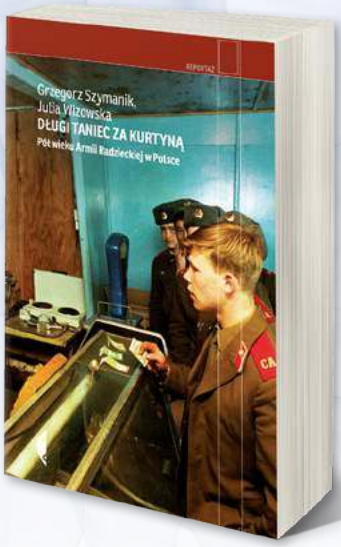

Grzegorz Szymanik,
Julia Wizowska
DŁUGI TANIEC ZA KURTYNĄ
Pół wieku Armii Radzieckiej w Polsce

Życie po życiu radzieckich poligonów, państwa w państwie, które rozporządzało nie tylko czołgami, śmigłowcami i głowicami atomowymi, ale prowadziło także szpitale, szkoły, kina i piekarnie.

Serhij Żadan
INTERNAT

Internat to świetna realistyczna powieść o współczesnej Ukrainie. I wstrząsająca podróż przez apokalipsę, która dzieje się naprawdę.

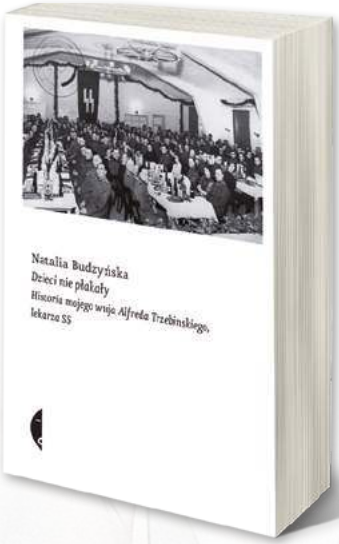

Natalia Budzyńska
DZIECI NIE PŁAKAŁY
Historia mojego wuja Alfreda Trzebinskiego, lekarza SS

Rozrachunkowa opowieść o Alfredzie Trzebinskim, wuju esesmanie, który robił karierę w kolejnych obozach koncentracyjnych i wziął udział w egzekucji dwadzieściorga żydowskich dzieci.

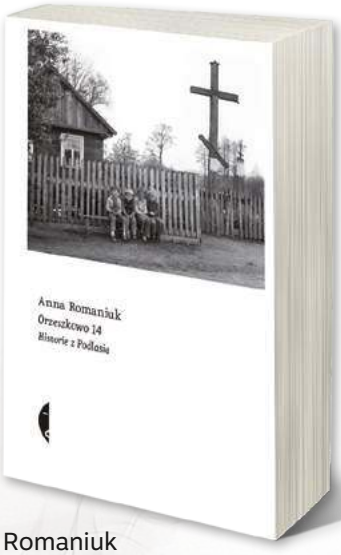

Anna Romaniuk
ORZESZKOWO 14
Historie z Podlasia

Stary drewniany dom, polscy Białorusini, podlaska przyroda i historia odmierzana datami kolejnych wojen, wysiedleń, bieżeństwa.

PRZEGLĄD POLITYCZNY
Nowa Europa Wschodnia
HIST MAG
KONFLIKTY.PL
KSIĄŻKI

CZARNE.COM.PL

eprasa.pl 4e2336049b

REKLAMA

New Eastern Europe

STUDENT SUBSCRIPTION FOR THE NEW ACADEMIC YEAR

print edition for only 25 EUR/30 USD a year*

or

digital only access via AppStore, GooglePlay and directly at www.neweasterneurope.eu

* includes full access to digital archives, tax & shipping included

www.neweasterneurope.eu

ANDROID APP ON Google play

Download on the App Store

eprasa.pl 4e23360400

REKLAMA

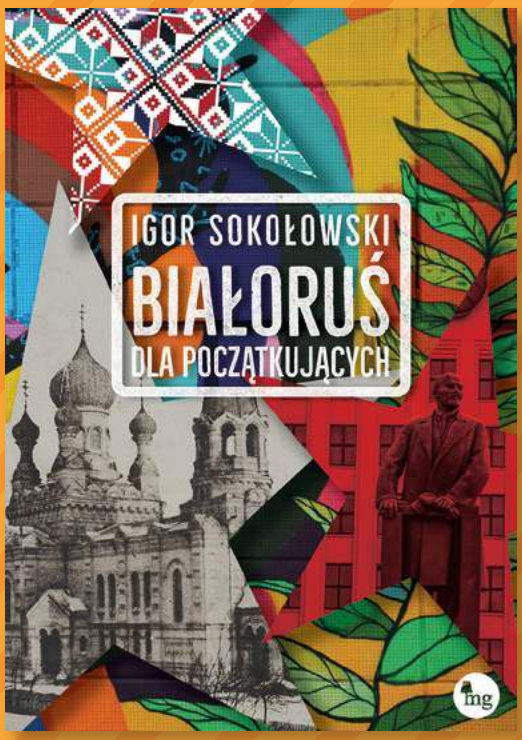

Co wiemy dziś na temat Białorusi? Może tyle, że nieprzerwanie od kilkunastu lat rządzi nią twardą ręką Alaksandr Łukaszenka.

A przecież to właśnie tam urodzili się: Eliza Orzeszkowa, Tadeusz Kościuszko, Maria Rodziewiczówna, Andrzej Bobola oraz Ryszard Kapuściński. Grodno na Białorusi, podobnie jak Wilno na Litwie czy Lwów na Ukrainie, zawsze było uważane za ośrodek polskości na Kresach.

Białoruś dla początkujących to zbiór reportaży pokazujących prawdziwy obraz sąsiada Polski. Kolorowy, pełen kontrastów, dziwny, ale jednocześnie swojski. *Białoruś dla początkujących* nie jest przewodnikiem, ale mamy nadzieję, że po przeczytaniu tej książki Czytelnik lepiej pozna ten kraj.

Thriller polityczny doskonale osadzony w realiach ukraińskich. Akcja powieści obejmuje okres między listopadem 2013 r. a lutym 2014 r. i w znacznej części rozgrywa się na kijowskim Majdanie Niezależności. Zręcznie poprowadzona intryga ujawnia kulisy gry prowadzonej przez Rosję, której stawką jest europejska przyszłość Ukrainy. Książka pokazuje zróżnicowanie tego kraju, jego tragiczną historię, która wpływa na losy i kształtuje postawy jego mieszkańców. Dla głównego bohatera, Stasa Sycza, młodego studenta z Kołomyi, który trochę przypadkowo znalazł się w centrum wydarzeń, Majdan jest nie tylko doświadczeniem pokoleniowym, ale także szkołą życia. Stas przekonuje się, że cena zwycięstwa często potrafi odebrać jego smak.

www.wydawnictwoMG.pl **fb.com/WydawnictwoMG**

mg

eprasa.pl 4e2336049b

REKLAMA

Basil Kerski
Andrzej Stanisław Kowalczyk

WIEK UKRAIŃSKO-POLSKI

Rozmowy z BOHDANEM OSADCZUKIEM

Książka dostępna w najlepszych polskich księgarniach i w sklepie internetowym **www.kew.org.pl**

KEW

„Gdy istniało jedno wielkie chrześcijaństwo – jeszcze nie przewidywano większych czy mniejszych schizm – Bizancjum było potężnym tworem państwowo-religijnym i państwowo-wyznaniowym. Ukraina zaś znalazła się w zasięgu dwóch potencjalnych konkurentów do ręki: Rusi Kijowskiej i Bizancjum. Żartuję czasami, że może jeszcze lepiej było przyjąć wyznanie mojżeszowe…

Bohdan Osadczuk”

eprasa.pl 4e2336049b

Bat na czwartą władzę

Dominik Wilczewski

Napięcia między władzą a mediami zdarzają się w każdym kraju. W ostatnich latach coś jednak zaczyna się zmieniać. Nawet w ugruntowanych demokracjach politycy zaczynają pozwalać sobie na coraz ostrzejsze ataki wobec dziennikarzy, a swoboda mediów zaczyna być ograniczana. Skarżą się na to także pracownicy mediów na Litwie. Czy już trzeba bić na alarm?

„Wezmę udział w wyborach" – zadeklarował 17 stycznia premier Litwy Saulius Skvernelis. Chodzi oczywiście o wybory prezydenckie, zaplanowane na 12 maja. Zadecydują one, kto zastąpi na stanowisku głowy państwa Dalię Grybauskaitė. Deklaracja Skvernelisa nie była zaskoczeniem, oczekiwano, że właśnie on będzie kandydatem rządzącej partii – Litewskiego Związku Rolników i Zielonych (LVŽS). W sondażach cieszy się dość wysokim poparciem, walcząc o miejsca na podium z bezpartyjnym bankowcem Gitanasem Nausėdą i reprezentującą opozycyjny Związek Ojczyzny Ingridą Šimonytė. Wcześniej spekulowano, że LVŽS może wystawić swojego lidera Ramūnasa Karbauskisa. Jemu jednak sondaże wróżyły znacznie gorszy wynik, więc nic dziwnego, że postanowił schować się za plecami Skvernelisa.

Dziwne mogło wydać się miejsce, które szef rządu wybrał na ogłoszenie decyzji. Šimonytė i Nausėda, podobnie jak inni kandydaci głównych partii, kampanie inaugurowali w Wilnie, w blasku fleszy fotoreporterów, na specjalnie zorganizowanych konferencjach prasowych czy partyjnych konwencjach. Deklaracja Skvernelisa padła w niewielkim miasteczku Rusnė na zachodzie Litwy, dokąd premier udał się z roboczą wizytą. Spotkał się w tamtejszym domu kultury z mieszkańcami i tam też zapowiedział start w wyborach. Ale wybór miejsca mógł być zaskakujący jedynie z pozoru – politolodzy zwracali uwagę, że Skvernelis pragnie pokazać się jako kandydat „drugiej Litwy" – małomiasteczkowej, wiejskiej, ubogiej i nieobecnej w znaczących mediach.

Krytyka w oczy kole

Poruszenie wśród ludzi mediów wywołał fakt, że o zaplanowanym na ten dzień w Rusnė ogłoszeniu swojej kandydatury Skvernelis poinformował dziennikarzy tylko wybranych tytułów. Także w czasie wystąpienia nie omieszkał rzucić parę

eprasa.pl 4e2336049b

kąśliwych uwag pod adresem prasy. „Cieszę się, że są dziennikarze z prawdziwego zdarzenia" – mówił Skvernelis. Ale są jego zdaniem i tacy, którzy szukają jedynie „kompromatów" i starają się go „obrzucić g…em" (*sic!*). Z jednej strony wypowiedź Skvernelisa wzbudziła wśród ludzi mediów niesmak. Z drugiej – była potwierdzeniem tego, o czym mówią już od dawna: premier, tak jak i lider rządzącej partii, nie lubi mediów, nie znosi krytyki i zrobi wszystko, by utrudnić dziennikarzom pracę.

Litewski Związek Rolników i Zielonych posiada dziś najliczniejszą frakcję w sejmie. Obecnie należy do niej pięćdziesięciu czterech posłów (choć w poprzedniej kadencji partię reprezentowała zaledwie jedna posłanka). Po wyborach w 2016 roku lider partii Ramūnas Karbauskis z outsidera litewskiej polityki stał się jej głównym rozgrywającym. Do tej pory realizował się w biznesie, kierując grupą kapitałową Agrokoncernas. Wzbogacił się między innymi na produkcji maszyn rolniczych, handlu produktami rolnymi i nawozami sztucznymi. Angażował się w politykę, ale bez większych sukcesów (dwukrotnie był wybierany do sejmu – w latach 1996 i 2000). Pod koniec lat dziewięćdziesiątych stanął na czele marginalnej Litewskiej Partii Rolników, która po latach dała początek Związkowi Rolników i Zielonych.

Skvernelis, kandydat na prezydenta Litwy, pragnie pokazać się jako kandydat „drugiej Litwy" – małomiasteczkowej, wiejskiej, ubogiej i nieobecnej w najbardziej znaczących mediach.

Ponad dwa lata temu wyborców przyciągnęło nazwisko Skvernelisa, wówczas popularnego byłego szefa policji i ministra spraw wewnętrznych. Przyjął propozycję Karbauskisa, by stanąć na czele listy Rolników i Zielonych, a w przypadku wygranej w wyborach – objąć funkcję premiera. Listę kandydatów uzupełniało liczne grono głównie lokalnych działaczy społecznych z różnych dziedzin: samorządowców, naukowców, ekspertów. Nie licząc pojedynczych uciekinierów z innych partii, byli to w większości ludzie bez doświadczenia politycznego. A na Litwie, gdzie elektorat wciąż głodny jest nowych nazwisk, nieumoczonych w afery, to było akurat atutem.

Nietrudno zgadnąć, że wywodząca się z tak zróżnicowanego grona kandydatów frakcja parlamentarna LVŽS nie jest monolitem. Nie brakuje w niej wewnętrznych sporów, nie wszystkim podoba się sposób zarządzania nią przez Karbauskisa. Pojawiają się oskarżenia, wypowiadane raz ciszej, raz głośniej, o dyktatorskie metody. Staje się to zresztą przedmiotem niezbyt wybrednych żartów: w czasie styczniowego zjazdu partii Karbauskis otrzymał w prezencie od polityka jednego z konkurencyjnych ugrupowań bat na nieposłusznych posłów. Lider partii dumnie prezentował go z trybuny zjazdu. Na razie frakcję opuściło czworo deputowanych, którzy nie zgadzali się z polityką prezesa. Ale nie jest to liczba, która mogłaby zagrażać stabilności.

eprasa.pl 4e2336049b

Diabeł w medialnych szczegółach

Sytuacja mediów na Litwie – przynajmniej w teorii – nie powinna budzić szczególnego niepokoju. W kraju funkcjonują instrumenty demokratyczne umożliwiające dziennikarzom nieskrępowaną pracę. Pracownicy mediów nie są prześladowani, zastraszani czy wtrącani do aresztów, nie są pozbawiani akredytacji z przyczyn politycznych. Mają swobodny dostęp do polityków, mogą im zadawać pytania (to, że politycy nie zawsze lubią i nie zawsze chcą na nie odpowiadać – to już inna sprawa). Na sąsiedniej Białorusi dziennikarze o takich warunkach pracy mogliby tylko pomarzyć.

A jednak diabeł tkwi w szczegółach. Odnotowują to nawet międzynarodowe organizacje zajmujące się monitoringiem przestrzegania praw człowieka i swobód obywatelskich. Reporterzy bez Granic, którzy w Indeksie Wolności Prasy klasyfikują Litwę na trzydziestym szóstym miejscu (niżej są między innymi Wielka Brytania, USA i Włochy, Polska – na pięćdziesiątej ósmej pozycji), zauważają, że „Czołowe media ogólnokrajowe cieszą się swobodą wypowiedzi, gwarantowaną przez państwo", ale problemem jest sytuacja „na poziomie regionalnym, gdzie lokalne gazety często zależne są od regionalnych partii politycznych i ich liderów".

Rynek mediów cierpi na podobne problemy, co w innych krajach: tradycyjna prasa traci na popularności – najchętniej czytanym dziennikiem jest „Lietuvosrytas" (po którego w 2018 roku sięgało średnio 8,8 procent Litwinów). Coraz silniejszą pozycję ma internet, gdzie jednak media muszą liczyć się z konkurencją portali społecznościowych. W sferze dziennikarstwa informacyjnego królują portale, do najpopularniejszych należą: Delfi.lt, 15min.lt, lrytas.lt i LRT.lt (portal mediów publicznych). Problemem jest koncentracja kontroli nad większością najważniejszych mediów w rękach niewielkiej grupy właścicieli, którymi są duże holdingi. Budzi to czasem zasadne pytania, czy dziennikarze zatrudnieni w tych mediach są rzeczywiście niezależni, czy też kierują się interesem właściciela.

Media litewskie poniosły duże straty w okresie kryzysu gospodarczego w latach 2008–2012, który szczególnie mocno uderzył w kraje bałtyckie. Odbiło się to na warunkach pracy i wynagrodzeniach dziennikarzy. Jak i w innych państwach, także na Litwie coraz częściej można spotkać wolnych strzelców, praca w mediach nie należy do najbardziej pewnych i najlepiej opłacanych (w 2014 roku średnie miesięczne wynagrodzenie w mediach wynosiło 602 euro i było o 11,1 procent niższe od średniego wynagrodzenia w gospodarce). Znany jest przypadek jednego z tygodników opinii, który miesiącami zalegał z wypłatą pensji pracownikom. W sytuacji gdy wpływy z samego czytelnictwa i z reklam maleją, ratunkiem dla mediów stają się pieniądze transferowane z instytucji publicznych: państwowych i samorządowych.

eprasa.pl 4e2336049b

– Litewski rynek mediów został osłabiony z moralnego punktu widzenia przez przetargi na zamówienia publiczne, czyli zakup reklamy politycznej, powszechnie zwanej „usługami informacyjnymi" – tłumaczy profesor Andrius Vaišnys, medioznawca z Uniwersytetu Wileńskiego. Jego zdaniem, doprowadziło to do uzależnienia mediów od władz, szczególnie samorządowych. – Legalne zjawisko przekupstwa mediów dyskredytuje dziennikarstwo jako zawód, jest sprzeczne z samą misją zawodu – uważa medioznawca. Sytuacja ta pozostaje jednak wygodna dla polityków, którzy kupując „usługi informacyjne", mogą do pewnego stopnia podporządkowywać sobie środki masowego przekazu.

Niektórzy ludzie mediów sami świadomie wchodzą w rolę politycznych aktywistów. Ponad dziesięć lat temu do sejmu trafiła nawet (z dobrym wynikiem) partia w dużej mierze złożona z telewizyjnych celebrytów. Ale poważni dziennikarze też nie stronią od politycznego zaangażowania. Pisze o tym na portalu Delfi redaktor naczelny agencji informacyjnej BNS Vaidotas Beniušis: „Angażując się w działalność polityczną, dziennikarze najpewniej próbują zrekompensować sobie to, że media tradycyjne gwałtownie tracą wpływ na społeczeństwo. Z uwagi na wzrost roli mediów społecznościowych, dziennikarze tracą monopol na informowanie i produkowanie newsów, ich wpływ na opinię publiczną słabnie".

Kosztowny dostęp

– Obecny rząd próbuje zreorganizować litewski system medialny, tworząc model zarządzania bez konsultacji z przedstawicielami mediów i naukowców. Przywódcy obecnej większości parlamentarnej zdają się pokazywać, że wiedzą, jak powinny działać media – stwierdza Andrius Vaišnys. Skąd takie zachowanie? Zdaniem medioznawcy, jest ono prawdopodobnie spowodowane dwoma czynnikami: – Po pierwsze, krytyką rządu, której wielu polityków nowego pokolenia nie jest w stanie zaakceptować jako normalnego zjawiska komunikacji politycznej, a po drugie, niestety, niektórzy z obecnych litewskich pracowników mediów otwarcie wykazują uprzedzenia do tego czy innego polityka – tłumaczy profesor Vaišnys.

Tymczasem dziennikarze alarmują, że od początku rządów LVŽS władze próbowały wprowadzić kilkanaście różnych rozwiązań ograniczających w ten czy inny sposób swobodę działalności mediów. O jednym z najgłośniejszych przypadków opowiada mi Birutė Davidonytė z działu śledczego portalu 15min.lt:

– Jesienią został ograniczony dostęp do danych państwowego rejestru (na przykład danych o akcjonariuszach spółek czy właścicielach nieruchomości) dla wszystkich litewskich dziennikarzy. Dotąd przez kilkanaście lat dziennikarze mogli otrzymywać dane z rejestru państwowego bezpłatnie. Dziennikarzom powiedziano, że od

eprasa.pl 4e2336049b

teraz za wszystkie dane trzeba będzie płacić. Co oznacza, że na przeprowadzenie porządnego śledztwa dziennikarskiego trzeba będzie wydać nawet dziesięć tysięcy euro – tłumaczy dziennikarka.

Przedstawiciele różnych tytułów solidarnie wystąpili przeciw tym zmianom. Ale rząd wycofał się tylko częściowo, a dostęp do niektórych danych nadal pozostaje ograniczony. Przy okazji wybuchł kolejny skandal, gdy dziennikarze zwrócili się do rządu o ujawnienie nagrania z posiedzenia gabinetu, na którym omawiano sprawę dostępu do rejestrów.

Reporterzy bez Granic w Indeksie Wolności Prasy klasyfikują Litwę na trzydziestym szóstym miejscu.

– Rząd początkowo odmawiał udostępnienia dziennikarzom nagrania, a potem zostało ono całkowicie skasowane i zniszczone – opowiada Birutė Davidonytė. Litewski Związek Dziennikarzy zwrócił się do sądu z wnioskiem o wyjaśnienie, czy odmawiając udostępnienia mediom nagrania, kancelaria rządu nie złamała prawa. Sprawa jest w toku.

Kwestia dostępu do rejestrów państwowych jest szczególnie delikatna i istotna, z uwagi na charakter pracy dziennikarzy śledczych na Litwie. Często korzystają oni z informacji zawartych w rejestrach, dotyczących na przykład struktury właścicielskiej spółek. Dodatkowe emocje może budzić fakt, że przedmiotem działań dziennikarzy śledczych w ostatnich dwóch latach były interesy prowadzone przez Karbauskisa i Agrokoncernas. Lider Związku Rolników i Zielonych miał między innymi poprzez sieć podstawionych spółek omijać przepisy ograniczające skupowanie gruntów i zarabiać na unijnych dopłatach. Nie brak na Litwie opinii, że działania władz wymierzone w media mają w istocie charakter politycznej zemsty za zbyt wnikliwe śledzenie biznesów lidera LVŽS.

Media publiczne czy rządowe?

Niedawno sejm wrócił do rozpatrywania propozycji zmian w sposobie zarządzania publicznym Litewskim Radiem i Telewizją (LRT). Nawet w tym przypadku pojawia się kierowany pod adresem Karbauskisa zarzut politycznej zemsty. Historia rozpoczęła się w grudniu 2017 roku. Szef partii miał ponoć poczuć się urażony działaniami dziennikarza LRT Edmundasa Jakilaitisa, który domagał się od niego wyjaśnienia niektórych niejasności związanych z interesami Agrokoncernasu. Jakilaitis, jedna z największych gwiazd telewizyjnych na Litwie, do niedawna prowadził w LRT program publicystyczny „W centrum uwagi". Był też właścicielem prywatnej firmy produkującej programy telewizyjne.

eprasa.pl 4e2336049b

Karbauskis odpowiedział zarzutami o nieprawidłowości w wydatkach telewizji publicznej, których beneficjentem miała być między innymi firma produkcyjna Jakilaitisa. Z inicjatywy posłów LVŽS powołano w sejmie komisję śledczą do zbadania finansów LRT. W tym przypadku nawet komentatorzy krytycznie nastawieni do działalności Karbauskisa zwracali uwagę na problemy z brakiem przejrzystości w finansach publicznego nadawcy. Znamienne, że także niechętnym liderowi LVŽS obserwatorom sceny politycznej nie podobał się napastliwy ton, z jakim Jakilaitis występował wobec polityków partii rządzącej. Ale i oni uznali, że sprawa ta posłużyła Karbauskisowi jako pretekst do próby przejęcia politycznej kontroli nad mediami publicznymi.

W międzyczasie na stanowisko dyrektor generalnej LRT została powołana Monika Garbačiauskaitė-Budrienė, która wcześniej przez wiele lat kierowała portalem Delfi. Do konkursu na stanowisko szefa mediów publicznych startowała z programem uzdrowienia finansów stacji i uczynienia ich bardziej transparentnymi. A więc teoretycznie zgodnym z oficjalnymi intencjami twórców komisji śledczej. „Tego, co tu znaleźliśmy, na pewno nie można nazwać przykładem przejrzystości i efektywności" – tak Garbačiauskaitė-Budrienė mówiła o stanie wydatków LRT, z którymi zapoznała się po tym, gdy w kwietniu 2018 roku objęła funkcję dyrektor generalnej.

Ponad dziesięć lat temu do litewskiego sejmu trafiła (z dobrym wynikiem) partia w dużej mierze złożona z telewizyjnych celebrytów. Ale poważni dziennikarze też nie stronią od politycznego zaangażowania.

Rządzący postanowili, że najlepszą receptą na uzdrowienie finansów LRT będzie całkowita zmiana modelu jej kierownictwa. Obecnie firmą kieruje dyrektor generalny powoływany przez Radę LRT. W jej skład wchodzi dwunastu członków, z czego czterech powoływanych jest przez prezydenta, czterech przez sejm (po dwóch przez rządzącą koalicję i opozycję), czterej to przedstawiciele społeczni (środowisk twórczych, naukowych, oświatowych oraz episkopatu). Sejmowa komisja śledcza, która zakończyła pracę we wrześniu ubiegłego roku, zaproponowała powołanie nowego organu – zarządu LRT, który zajmowałby się między innymi kontrolowaniem finansów nadawcy. I tu także diabeł tkwi w szczegółach – szefowa LRT alarmowała, że utworzenie zarządu będzie służyć wprowadzeniu do stacji nominatów politycznych.

– Uważam, że nadawca publiczny musi działać w przejrzysty sposób: przeprowadzać nie tylko konkursy na zakup programów, ale także konkursy na stanowiska etatowych dziennikarzy i redaktorów. Ponieważ jest on utrzymywany z pieniędzy podatników, na wszystkie stanowiska kierownicze powinny być co pięć lat przepro-

eprasa.pl 4e2336049b

wadzane konkursy – mówi Andrius Vaišnys. Ale w działaniach rządu nie dostrzega prawdziwej intencji poprawy przejrzystości i efektywności finansowej. – Widzę raczej polityczną intencję zmiany jednej grupy dziennikarskiej na inną ekipę – twierdzi medioznawca. Pochodzący z politycznego nadania zarząd może stać się w tej sytuacji instrumentem nacisku na dyrektora generalnego stacji.

Karbauskis już raz poniósł porażkę w sprawie zmian w ustawie o LRT. W grudniu 2018 roku wnioski komisji śledczej zostały odrzucone przez sejm. Jednak szef Rolników i Zielonych zapowiedział, że nie złoży broni, i słowa dotrzymał – już w styczniu do parlamentu wrócił projekt zmian w kierownictwie LRT. Na razie został skierowany do prac w komisjach. Europejska Unia Nadawcza (EBU) w liście skierowanym do litewskich władz zaapelowała o „zagwarantowanie autonomii instytucjonalnej i niezależności redakcyjnej LRT" oraz wezwała do przeprowadzenia szerokich konsultacji na temat nowego prawa. Przedstawiciele sejmowej większości uspokajają, że tak właśnie się stanie.

***

Opisane przypadki nie wyczerpują całej skali zdarzeń dotyczących relacji między rządzącymi a mediami na Litwie. Nie należy więc też na ich podstawie wyciągać pochopnych wniosków. Eksperci wskazują, że próby przykręcenia śruby mediom może powstrzymać Unia Europejska i nacisk ze strony jej instytucji. Choć przypominają też, że te instrumenty okazały się niewystarczające w przypadku Węgier, gdzie polityczna kontrola nad mediami jest daleko bardziej posunięta.

Dziennikarzom na pewno mogłoby pomóc wsparcie społeczeństwa. Według sondażu agencji Vilmorus ze stycznia bieżącego roku media cieszyły się zaufaniem 36,5 procent Litwinów (przy czym 23,2 procent ankietowanych im nie ufa). Nie jest to może wynik napawający optymizmem. Jednak dużo gorsze od lat notują: rząd, sejm i partie polityczne (odpowiednio: 33,4 procent, 57,1 procent, 61,8 procent obywateli im nie ufa). Dziennikarze mogą się zatem pocieszyć, że w tej konkurencji pozostawili polityków daleko w tyle.

Dominik Wilczewski jest redaktorem portalu Przegladbaltycki.pl i doktorantem na Wydziale Historyczno-Socjologicznym Uniwersytetu w Białymstoku; zajmuje się litewską sceną polityczną oraz litewską polityką historyczną.

eprasa.pl 4e2336049b

SZEREPKA versus SIKORSKI

Leszek Szerepka

W swojej ostatniej książce oraz w wywiadzie dla „Nowej Europy Wschodniej" minister Radosław Sikorski poświęcił mojej skromnej osobie kilka zdań, na które pozwolę sobie odpowiedzieć.

Minister Sikorski powiedział „Nowej Europie Wschodniej" (nr 1/2019): „Leszek Szerepka tuż przed wyborami w 2015 roku zachował się nielojalnie, krytykując w artykule do gazety politykę wobec Białorusi, którą przed chwilą sam jeszcze współtworzył. To potwierdziło moje życiowe spostrzeżenie, że niektórzy tym mocniej wbijają nóż w plecy, im bardziej przedtem się podlizują". Podobne uwagi znalazły się w jego książce.

Po przeczytaniu tych słów nie wiedziałem, czy mam się śmiać, czy płakać. Opinia ministra Sikorskiego to insynuacje, półprawdy i przeinaczenia. Przykre, że takimi metodami posługuje się osoba, która przez wiele lat kierowała polską dyplomacją. Dlatego poczułem się w obowiązku, aby publicznie ustosunkować się do tych zarzutów.

Po pierwsze, wspomniany artykuł, zatytułowany *Romans z Łukaszenką*, ukazał się w gazecie „Rzeczpospolita" 6 października 2015 roku, czyli nie po wyborach parlamentarnych, ale kilka tygodni przed wyborami (odbyły się one 25 października). Był to fragment książki *Oblicza Białorusi*, nad jaką wówczas pracowałem. Publikacja miała stanowić ostrzeżenie dla tych wszystkich, którzy po nowym rozdaniu politycznym chcieliby ponownie romansować z Aleksandrem Łukaszenką. W tym kontekście przemilczenie lekcji, jaką otrzymał minister Sikorski w Mińsku, byłoby co najmniej nieuczciwe. Zresztą nie był on jedynym bohaterem tego tekstu, a moje obawy, jak się potem okazało, nie były bezpodstawne.

Po drugie, w momencie, w którym minister Sikorski rozpoczynał swój romans z białoruskim dyktatorem, nie współodpowiadałem za politykę wobec Białorusi. Byłem zastępcą ambasadora w Kijowie, gdzie odbyło się pierwsze spotkanie ministra Sikorskiego z białoruskim dyktatorem. Obserwowałem między innymi panikę otoczenia ministra, gdy Aleksander Łukaszenka, wykorzystując obecność szefa polskiej dyplomacji, wygłosił przed swoimi mediami tekst, że Polacy na Białorusi, to jego Polacy, o których dobrze dba (*sic!*).

W czasie kiedy minister Sikorski wraz ze swoim niemieckim kolegą składał wizytę w Mińsku, nie byłem nawet formalnie pracownikiem Ministerstwa Spraw Zagra-

eprasa.pl 4e2336049b

nicznych. Co prawda, przygotowywano mnie do objęcia placówki w Mińsku, jednak MSZ nie poczuło się w obowiązku oficjalnie poinformować mnie o planowanej wówczas wizycie. Dowiedziałem się o niej przypadkowo. Także o kulisach zestawionej na kolanie oferty finansowej dla Białorusi (ile z tego powodu do kpin mieli potem szefowie misji państw członkowskich Unii Europejskiej w Mińsku). Nie ukrywałem sceptycyzmu i krytycyzmu wobec tego pomysłu. Z wiadomym skutkiem. I to nie ja zmieniłem swoje poglądy na politykę wobec Białorusi, tylko minister Sikorski, który po wydarzeniach z 19 grudnia 2010 roku popadł w drugą skrajność. Do tego mój artykuł w „Rzeczpospolitej" odnosił się wyłącznie do wydarzeń sprzed objęcia przeze mnie placówki w Mińsku.

Po trzecie, dokumenty dotyczące oceny mojej pracy na Białorusi znajdują się w MSZ, na niektórych z nich widnieje podpis ministra Sikorskiego. Nie sądzę, żeby osobie negatywnie ocenianej proponowano przedłużenie misji. Być może minister Sikorski pomylił centrale, bo ta w białoruskiej stolicy rzeczywiście oceniała moje działania negatywnie. Rzetelny badacz polskiej dyplomacji tego okresu nie będzie miał też problemu, aby na palcach jednej ręki policzyć rzekome „wielokrotne" spotkania. I to w sytuacji, kiedy ambasador RP w Mińsku, musiał dwukrotnie przeprowadzać placówkę i gasić liczne „pożary".

To tyle, jeżeli chodzi o fakty. Choć obawiam się, że minister Sikorski wstąpił do coraz liczniejszego klubu osób, które uważają, że jeżeli fakty nie pasują do ich tezy, to gorzej dla faktów.

Pewnym paradoksem jest też to, że brak lojalności próbuje mi zarzucać osoba, której cała kariera polityczna świadczy o tym, że nie rozumie, co się kryje pod tym pojęciem.

Nie zdziwiłbym się też tak bardzo, gdyby się okazało, że minister Sikorski nie czytał mojego artykułu ani nie wie o istnieniu książki *Oblicza Białorusi*. Są osoby, które nie sprawdzają faktów, ale opierają się w swoich sądach na plotkach i insynuacjach. Charakterystyczny jest też ten stosunek do ambasadora, który przez ponad cztery lata na trudnej, „frontowej" placówce dbał o nie swoje przecież interesy. W tym kontekście tytuł książki pana ministra brzmi nie tylko banalnie, ale i cynicznie.

Nie chciałbym oceniać całokształtu polityki zagranicznej ministra Sikorskiego, bo i tak zostanie to odczytane jako element bieżącej walki politycznej. Tak w każdym razie odczytuje wszelką krytykę pod swoim adresem minister Sikorski, który dzieli wszystkich na swoje plemię i plemię obce, które chętnie by „dorżnął". Pozwolę sobie jednak na kilka zdań komentarza w kwestii białoruskiej, w której czuję się wywołany do tablicy.

Uważam, że dialog z Mińskiem powinien być podtrzymywany niezależnie od tego, kto tam sprawuje władzę, jednak sposób realizacji tego zadania przez ministra

eprasa.pl 4e2336049b

Sikorskiego świadczył o całkowitym niezrozumieniu białoruskich uwarunkowań oraz istoty systemu zbudowanego przez Aleksandra Łukaszenkę. Minister Sikorski nie przyznaje się do błędu (być może dlatego, że była to jego autorska koncepcja?), który niczym grzech pierworodny towarzyszył mu do końca dni przy alei Szucha, prowokując do niepotrzebnych, emocjonalnych wypowiedzi, jakie nie ułatwiały pracy polskim dyplomatom na Białorusi.

Pewnym pocieszeniem dla ministra Sikorskiego może być to, że nie tylko on pomylił się w ocenie Łukaszenki. Dość powszechnie polscy politycy postrzegają białoruskiego dyktatora przez pryzmat swojej niewiedzy. Rzadko który z nich zastanawia się, jak człowiek tego pokroju mógł tak długo utrzymać się u władzy w miejscu, które geopolitycznie jest dość wymagające. A trzeba stwierdzić, że zdecydował o tym nie tylko „ślepy los". Aleksander Łukaszenka to bardzo zręczny polityk, człowiek bezwzględny, dla którego władza jest wartością samą w sobie. Wychowany na wzorcach sowieckich, traktuje instytucje świata zachodniego jako egzystencjalne zagrożenie dla swojej władzy. Zachód jest mu potrzebny przede wszystkim do prowadzenia gry z Moskwą. I dopóki nie przyswoimy sobie tych z pozoru oczywistych stwierdzeń, to polska polityka wobec Białorusi nie będzie efektywna.

Białoruski reżim trwa już tak długo, że zdążył skostnieć. Ma to tę dobrą stronę, że jego cele i metody działania dość łatwo dają się przewidzieć. Analityczne prognozy mało jednak interesują naszych światłych polityków, którzy wolą, w rytm wyborów, odkrywać Amerykę, negując wysiłki poprzedników. A w stosunku do białoruskiego reżimu najważniejsza powinna być właśnie konsekwencja działania. Priorytetem zaś niekoniecznie zabieganie o względy dyktatora, co usuwanie wszelkich barier utrudniających społeczeństwu białoruskiemu kontakty z Zachodem. W tym kontekście należy wspomnieć o małym ruchu granicznym, dążeniu do ruchu bezwizowego, szerokich programach wymiany dzieci i młodzieży czy wsparciu dla narodowej samoidentyfikacji Białorusinów. Okazuje się jednak, że środki, które byłyby najbardziej efektywne w walce z autorytarnym reżimem sowieckiego typu, w małym stopniu interesują naszych decydentów. I trzeba przyznać (bez podlizywania się!), że minister Sikorski wykazywał dla nich o wiele większe zrozumienie niż obecny rząd.

I na koniec pozwolę sobie na smutną refleksję, że prawdziwy dżentelmen wiedziałby doskonale, co należy zrobić po przeczytaniu mojego tekstu. Ale ja nie mam tu złudzeń.

Leszek Szerepka w latach 2011–2015 pełnił funkcję ambasadora Polski na Białorusi, opublikował książkę *Oblicza Białorusi. Zapiski ambasadora* (Białystok 2016).

eprasa.pl 4e2336049b

Uśpiony analityk czy nieuważny krytyk?

Mateusz Kubiak

Zarzuty Anety Strzemżalskiej wobec mojego tekstu dotyczą raczej tego, czego w nim nie ma, niż tego, co faktycznie napisałem.

W poprzednim numerze „Nowej Europy Wschodniej" (nr 1/2019) ukazał się komentarz Anety Strzemżalskiej pod tytułem *Uśpiony analityk* do mojego tekstu o wykorzystaniu imprez sportowych w polityce Azerbejdżanu (*Olimpijski sen*, „Nowa Europa Wschodnia" nr 1/2018). Z racji, że replika Strzemżalskiej odnosi się do publikacji sprzed roku, zapewne nie wszyscy sięgną do samego przedmiotu polemiki. Tymczasem wiele z formułowanych zarzutów zdaje się wynikać z tego, co autorka dopowiedziała do opublikowanego tekstu.

Na wstępie jestem zmuszony przyznać się do wyłapanych przez Anetę Strzemżalską błędów w zapisie nazwisk – wynikających, czy to z nieuwagi, czy z przyjęcia błędnej transkrypcji. Nawiązując do zarzutów niedostatecznego obycia z regionem, przyznam również, że rzeczywiście: według mojej wiedzy spędziłem na Kaukazie mniej czasu niż Strzemżalska. *Clou* opublikowanej repliki do mojego tekstu dotyczy jednak czego innego – „braku spójności i niemerytoryczności" źródeł, z których korzystam, co ma rzekomo gubić mnie w „chaosie poglądowym". O wszystkim jednak po kolei.

W tekście *Olimpijski sen* wskazałem na fakt systematycznej organizacji przez władze Azerbejdżanu wielu imprez sportowych (w tym próby uzyskania praw do organizacji Igrzysk Olimpijskich), które są obliczone na osiągnięcie licznych celów. Choć nie napisałem tego wprost (to wszak publicystyka), pominąłem przy tym znaczenie tego typu wydarzeń dla polityki wewnętrznej kraju, koncentrując się na kwestiach z zakresu dyplomacji publicznej/ polityki zagranicznej. W rezultacie ukazałem trzy podstawowe narracje, które władze w Baku chcą skierować do zagranicznego odbiorcy kibica: Azerbejdżan jako państwo prosperujące, Azerbejdżan jako państwo multikulturalne i tolerancyjne oraz wreszcie – Azerbejdżan jako państwo pokrzywdzone w konflikcie karabaskim. W zakończeniu tekstu podjąłem próbę oceny skuteczności tego typu działań, stwierdzając, że przekaz ten nie rezonuje tak, jak chciałoby tego Baku (czasami może być wręcz przeciwskuteczny), choć zapewne jeśli dotrze już do zachodniego kibica, to wówczas pozostawi swój ślad.

eprasa.pl 4e2336049b

Dlaczego tak szeroko opisuję treść mojego tekstu? Nie jestem bowiem przekonany, czy Aneta Strzemżalska dobrze zrozumiała, o czym był komentowany przez nią tekst. Autorka przekonuje bowiem, że piszę chociażby o budowaniu tożsamości narodowej, wyciągając taki wniosek z następującego zdania: „Sport jest jednak dla obecnego reżimu nie tylko instrumentem manifestacji azerbejdżańskiego *success story* – w równym stopniu ma być to dowód na bogatą i niepowtarzalną tożsamość kraju". Następnie, wciąż koncentrując się na celowo pomijanym przeze mnie wymiarze wewnętrznym, Strzemżalska punktuje, że nie tłumaczę, skąd pochodzi wniosek o nieszczególnym zainteresowaniu imprezami sportowymi w samym Azerbejdżanie. Pomijając to, że w samym tekście nie wspominam ani razu o azerbejdżańskich obywatelach, a kwestia ta jest poboczna dla moich rozważań, jestem zmuszony wskazać na dość niezręczny dla mnie błąd redakcji. W przysłanym do redakcji artykule napisałem: „wydarzenia te nie cieszyły się szczególnym zainteresowaniem", zaś w druku (nie zostałem poproszony o autoryzację) podano „wydarzenia te nie cieszyły się szczególnym zainteresowaniem społeczeństwa kraju". Częściowo pozwala to zrozumieć argument Strzemżalskiej, że wprowadzam „radykalną tezę", której potem „nie wyjaśniam".

Osobną kwestią jest pochopnie wyciągnięty przez Anetę Strzemżalską wniosek, jakobym „bazował na dwóch zasadniczych źródłach informacji", jakimi są media oficjalne i opozycyjne. Autorka kontynuuje, że rzekomo staram się „uwzględnić zdanie obu obozów informacyjnych", nie potrafię „odpowiednio ocenić emitowanych przez nie treści" i w rezultacie przyjmuję „przeważającą na Zachodzie retorykę". Na potwierdzenie tej tezy Strzemżalska kompiluje sformułowania wprowadzane przez mnie w różnych kontekstach i w najróżniejszych częściach tekstu. O mojej nieumiejętności analizy źródeł ma świadczyć chociażby użycie metafory „olimpijski sen" (nawiązującej do skazanych w gruncie rzeczy wówczas na porażkę próbach uzyskania praw do organizacji Igrzysk Olimpijskich 2016 i Igrzysk Olimpijskich 2020) czy słów „w peryferyjnym Azerbejdżanie" w miejscu, w którym piszę o perspektywie zachodniego kibica.

Wbrew temu, co napisała Strzemżalska, nie korzystałem jedynie z dwóch, przeciwstawnych sobie grup źródeł, a co więcej – nie przejąłem z nich opinii, ale fakty. Chciałem przede wszystkim pokazać, jaką narrację Azerbejdżan proponuje zagranicznym kibicom i w jaki sposób to czyni. Dlatego cytuję zarówno oficjalne wypowiedzi decydentów (ich obecność i treść stanowi wówczas dla mnie informację samą w sobie), jak i uzupełniam je o kontekst przez władze przemilczany, o którym mogłem dowiedzieć się z portali opozycyjnych – na przykład fakt stawiania imitacji fasad budynków wzdłuż trasy GP Formuły 1 czy duży udział naturalizowanych sportowców w kadrze olimpijskiej Azerbejdżanu. Strzemżalska nie wie przy tym, że *gros*

eprasa.pl 4e2336049b

podanych przeze mnie informacji to moje własne obserwacje wynikające z lektury azerbejdżańskich dokumentów (na przykład rocznych sprawozdań Ministerstwa Sportu), przeglądu oficjalnych koncepcji organizacji Igrzysk Olimpijskich (stąd choćby wiedza o pomyśle utworzenia parku olimpijskiego w obrębie Bibi Hejbet) czy analizy wielogodzinnych nagrań wideo z imprez sportowych (w tym z przebiegu ceremonii otwarcia). Tak samo, oceniając skuteczność działań Azerbejdżanu, nie kierowałem się tym, co piszą przeciwnicy władz w Baku, ale analizowałem faktycznie obecną narrację w polskich i zagranicznych mediach oraz wyciągałem własne wnioski.

Last but not least, Strzemżalska sugeruje, że przeprowadzona przeze mnie analiza (choć w mojej świadomej intencji do miana pracy *stricte* analitycznej wcale nie aspirowała) nie może zostać uznana za kompletną, bo nie wspominam o rzekomo kluczowym zaangażowaniu pierwszej damy Mehriban Alijewej. Znowu jednak: był to mój świadomy wybór, podyktowany chęcią skondensowania zgromadzonej wiedzy, bez wyróżniania poszczególnych aktorów. Tak samo, jak nie wspominam, że żona prezydenta kierowała pracami Komitetu do spraw organizacji Igrzysk Europejskich, tak samo nie piszę o tym, że Ilham Alijew nieprzerwanie od 1997 roku pozostaje szefem Azerbejdżańskiego Komitetu Olimpijskiego i jest przedstawiany jako „ojciec" ruchu olimpijskiego w Azerbejdżanie. Inną sprawą jest, czy faktycznie duża aktywność Mehriban Alijewej w dziedzinie dyplomacji publicznej uprawnia Strzemżalską do określenia jej „*number one* całej operacji".

W formie podsumowania mogę jedynie powtórzyć, że w moim odczuciu zarzuty Anety Strzemżalskiej dotyczą raczej tego, czego nie ma w tekście, niż tego, co faktycznie napisałem. Być może to też moja wina, bo niedostatecznie jasno zawęziłem ramy artykułu lub zaproponowałem wariantową ocenę skuteczności azerbejdżańskiej promocji za granicą – o tym jednak zainteresowani mogą przekonać się dopiero po lekturze przedmiotu tej polemiki, do czego nieśmiało zachęcam.

Mateusz Kubiak jest politologiem, pracuje jako analityk rynków energetycznych. Prowadzi blog „Kaukaz Kaukaz" poświęcony wydarzeniom z regionu.

eprasa.pl 4e2336049b

Nasza legitymacja wielkości

Z profesorem Włodzimierzem Mędrzeckim, historykiem specjalizującym się w etnografii historycznej, rozmawia Sonia Knapczyk

SONIA KNAPCZYK: Pana najnowsza książka nosi tytuł *Kresowy kalejdoskop*, zatrzymajmy się na chwilę właśnie przy jej tytule i przy określeniu „Kresy", które w debacie publicznej budzi kontrowersje. Jak możemy je definiować, jak pojemne jest to pojęcie?

WŁODZIMIERZ MĘDRZECKI: Kresy to istotny element polskiej mitologii narodowej. Kresy Wschodnie nie są realną rzeczywistością historyczną. Możemy mówić o należących w przeszłości do Polski rozległych terytoriach na wschodzie, w początkach XVII wieku rozciągających się aż poza linię Dniepru i Smoleńsk, potem stopniowo coraz mniejszych. W dwudziestoleciu międzywojennym kresy rozumiano na dwa sposoby. Najczęściej utożsamiano z obszarem Ziem Wschodnich II Rzeczpospolitej, czyli kilku województw leżących na „ziemiach zabużańskich". Ale też mówiono o dalekich Krasach – czyli terenach położonych na wschód od granicy ryskiej, a związanych z historią Polski i często nadal zamieszkałych przez Polaków (na przykład okolice Żytomierza). Istnieje różnica między faktycznym terytorium będącym problemem historycznym a kresami jako obszarem mentalnym.

Dlaczego Polacy tak mitologizują Kresy?

To nasza legitymacja wielkości. Uważam też, że jest sporo podobieństw między nami a Austriakami, wielu Austriaków należących do niewielkiej, kilkumilionowej wspólnoty narodowej, rankiem, otwierając oczy, myśli o sobie jak o bezpośrednim spadkobiercy imperium habsburskiego sięgającego od Wenecji po Miechów, które było prawdziwym panopticonem ludów i narodów. Dla nas Polaków historia kresowa to nasze narodowe dzieje heroiczne i wielkie, w których nadal zawarte są losy bohaterów na miarę Skrzetuskiego oraz dam pięknych i dzielnych niczym Basieńka Michała Wołodyjowskiego. Na Kresach pokazywaliśmy, że możemy bić największych wrogów i jesteśmy przedmurzem chrześcijaństwa. Krótko mówiąc, Kresy to nasza przepustka do wielkości dziejowej.

Mamy rok 1918, Polska była u progu niepodległości. Jakie były oczekiwania polskich władz wobec kształtowania się wschodnich granic Polski?

Terytorium odrodzonej Polski stanowiło w latach 1918–1919 absolutną niewiadomą. Istniała kategoria „Polski etnograficznej", którą w skrócie możemy

eprasa.pl 4e2336049b

sprowadzić do terytorium ograniczonego z południowego wschodu linią Curzona (biegnącą mniej więcej wzdłuż Sanu), na północnym wchodzie z granicą nieokreśloną, ale najpewniej koło Białegostoku i między Augustowem a Suwałkami. W 1918 roku przystępowaliśmy do rozgrywki o kształt terytorialny państwa, w której nie było żadnych pewników, wydarzyć mogło się wszystko. Dmowski i Piłsudski zakładali, że do Polski powinien przynależeć obszar sięgający daleko na wschód, ale nie całe dawne terytorium Rzeczpospolitej – byłoby to za dużo dla młodego i słabego jeszcze państwa. Obu chodziło raczej o kształt terytorialny porównywalny do stanu sprzed drugiego rozbioru. Budowanie Polski na bazie ziem etnograficznych, bez ziem zachodnich i wschodnich, czyli państwa liczącego niecałe 200 tysięcy kilometrów kwadratowych, z kilkunastoma milionami mieszkańców, bez żadnych atutów dziejowych, z granicą polsko-rosyjską w Terespolu, czyli niecałe 200 kilometrów od Warszawy, nie wchodziło w rachubę. Geopolityka i tradycja wymagały rozszerzenia na wschód, należało zadać pytanie, czy idziemy na wschód i zajmujemy wszystko, co nasze, prawem kaduka, czy próbujemy budować wspólnotę, dogadując się z zamieszkującymi te tereny narodami, co później w podręcznikach zostało nazwane planem federacyjnym.

Jak ważne dla polityków urzędujących w Warszawie były województwa wschodnie II Rzeczpospolitej?

Czy traktowano te regiony na równi z innymi ziemiami polskimi?

W kwestiach strategicznych województwa wschodnie były tak samo ważne jak okolice Warszawy. Armia Czerwona stojąca na linii Bugu, zdolna w ciągu dwóch dni osiągnąć przedpola Warszawy, byłaby śmiertelnym zagrożeniem dla Polski. A zatem od posiadania tych ziem zależało bezpieczeństwo państwa. Natomiast z perspektywy gospodarczej, inwestycyjnej, integracji w ramach organizmu państwowego, sprawa miała się zupełnie inaczej. O ile integracja Śląska była ważna nie tylko z perspektywy narodowej gospodarki, o tyle znaczenie Polesia, jeśli chodzi o potencjał gospodarczy, cywilizacyjny czy kulturowy pozostawało, mówiąc delikatnie, umiarkowane.

Czy polska polityka wobec mniejszości nie przeszkadzała w integracji ziem wschodnich – zamieszkanych głównie przez przedstawicieli mniejszości narodowych – z pozostałą częścią Polski?

Odzyskaliśmy niepodległość po stu dwudziestu trzech latach rozbiorów nie po to, żeby wspierać dążenia emancypacyjne innych, lecz tworzyć silną polską wspólnotę narodowo-państwową. W tym sensie polska polityka wobec mniejszości była konsekwentna. Wszyscy mieszkańcy Rzeczpospolitej mieli nie tylko zaakceptować istnienie państwa polskiego, ale powinni być lojalnymi, aktywnie wspierającymi je obywatelami. Gdyby spełniali ten warunek, mogliby mówić

eprasa.pl 4e2336049b

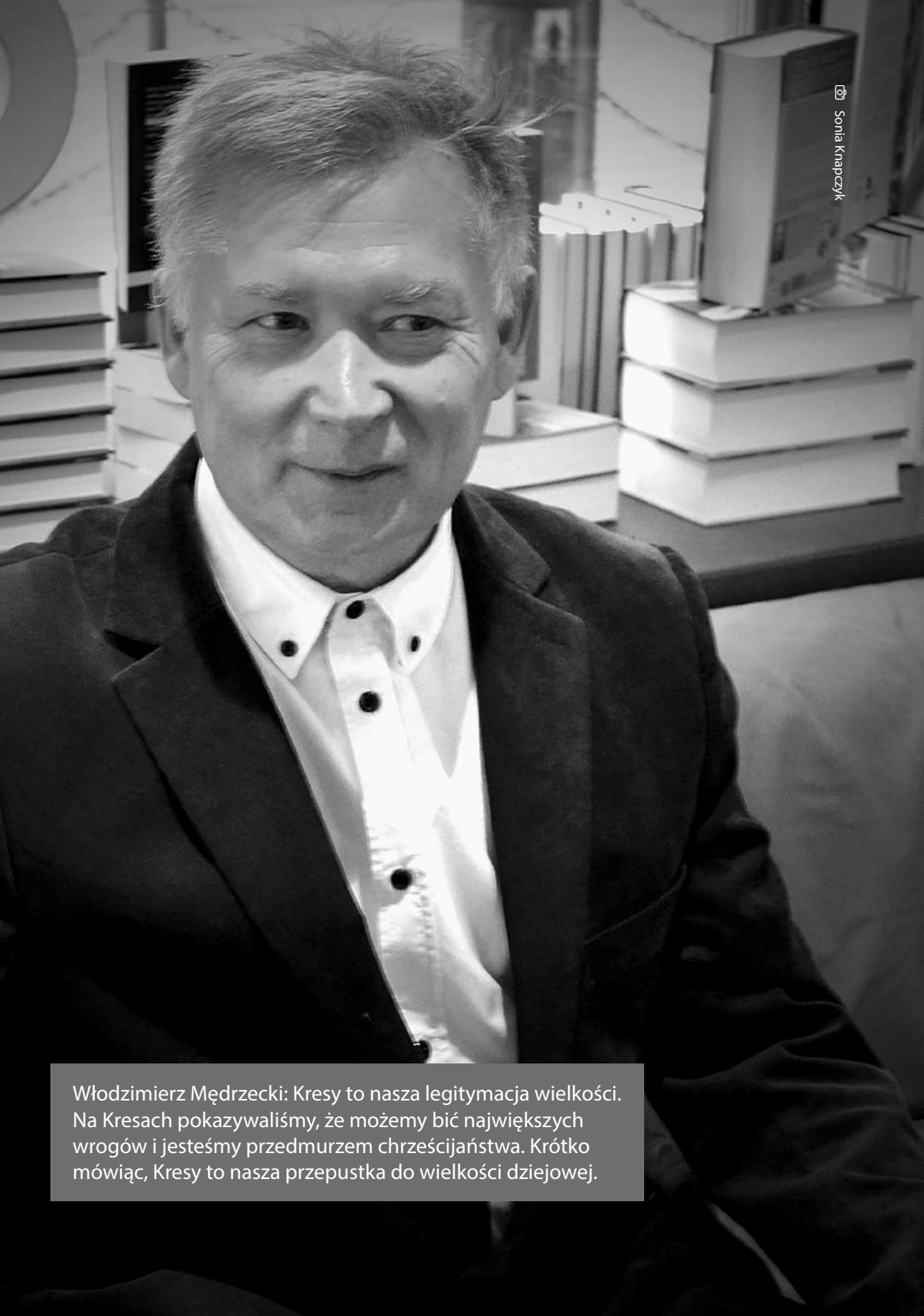

Sonia Knapczyk

Włodzimierz Mędrzecki: Kresy to nasza legitymacja wielkości. Na Kresach pokazywaliśmy, że możemy bić największych wrogów i jesteśmy przedmurzem chrześcijaństwa. Krótko mówiąc, Kresy to nasza przepustka do wielkości dziejowej.

po białorusku, litewsku czy ukraińsku. Jednak w sferze publicznej powinni posługiwać się językiem polskim. Tymczasem białoruscy, litewscy, niemieccy, ukraińscy i żydowscy obywatele Polski odrodzonej zazwyczaj czuli się lojalni przede wszystkim wobec własnej wspólnoty narodowej. Co więcej, często uznawali władzę polską za obcą, a nawet narzuconą przemocą. Mieliśmy zatem do czynienia z nierozplątywaną sprzecznością postaw i dążeń. Od pewnego czasu konsekwentnie głoszę tezę, że w przypadku kwestii narodowościowych i mniejszościowych II Rzeczpospolitej napotkaliśmy nierozwiązywalny problem, sytuację konfliktową, którą można jedynie zarządzać, a nie rozstrzygnąć w dającej się określić przestrzeni czasowej. Podobnie jak nie było widać w warunkach II Rzeczpospolitej rozwiązania nabrzmiałych kwestii reformy rolnej i przeludnienia agrarnego. Wobec sprawy mniejszościowej można było starać się o to, żeby konflikt się nie zaogniał, a sytuacja bieżąca pozostawała pod kontrolą. Należało przekonywać zwykłych ludzi i ugrupowania polityczne do rezygnacji z radykalizmu i akceptacji państwa polskiego. Nie tylko politycy i publicyści, ale też zawodowi historycy nie patrzą w ten sposób i wciąż zadają pytanie, czy można było rozwiązać problem mniejszości. Odpowiedź brzmi nie. Tak jak nie można było rozwiązać problemu Polaków, którzy chcieli odbudować państwo przez cały XIX wiek. Można było ich przekupić, dogadać się jak Habsburgowie w Galicji, ale nie można było sprawić, że 20 milionów Polaków zrezygnuje z chęci wskrzeszenia państwa. Zdroworozsądkowo, nie powinno się oczekiwać, że kilka milionów Ukraińców powie, że już nie chce Ukrainy, bo Polacy są w porządku, a Piłsudski to świetny dziadek. Co jednak nie przeszkadzało w pewnym momencie zawrzeć ugody polsko-ukraińskiej z 1935 roku i wprowadzić do sejmu pewnej grupy deklarujących lojalność posłów ukraińskich z Wasylem Mudrym na czele. Podobnie normalizacja stosunków z Litwą w 1938 roku była możliwa niezależnie od tego, że spór wokół praw do Wilna pozostał nierozstrzygnięty. Pokazuje to znakomicie, że stosunki między państwami i narodami obok wymiaru ideologicznego i programowego mają też wymiar praktyczny. Decyduje on o tym, że w wielu sytuacjach, niezależnie od strukturalnego konfliktu dążeń, prowadzi się bieżącą *Realpolitik*.

Jakie zatem kroki podejmowano, żeby tworzyć wspólne państwo z mniejszościami narodowymi?

Zasada równych praw dla wszystkich zawarta w obu konstytucjach, powiązana z poczuciem lojalności wobec państwa wszystkich obywateli, sprawiała, że pozostawało to na granicy niemożliwości. Nie można było oczekiwać lojalności od osób, które deklarowały, że chcą budować państwo opozycyjne wobec Polski. Druga była zasada absolutnego priorytetu interesów i bezpieczeństwa państwowego nad pozostałymi sprawami. Gdy państwo definiowało pewne działania jako

eprasa.pl 4e2336049b

wrogie lub niebezpieczne, to zwalczało je ze wszystkimi konsekwencjami, na przykład Berezą Kartuską i wyrokami śmierci dla terrorystów ukraińskich. W takiej sytuacji z jednej strony będzie Bączkowski, Bocheński i grupa ukrainofilów, rozumiejących o wiele lepiej i subtelniej postawy ukraińskie, a z drugiej strony będą porucznicy, kapitanowie Korpusu Ochrony Pogranicza, dla których wszystko, co nie było bogoojczyźniane i rzymskokatolickie, z góry oznaczało działalność antypaństwową. Działania skrajnie nacjonalistyczne ze strony państwa oraz politycy wysuwający wyrafinowane narzędzia oparte na kompromisie – wszystko to funkcjonowało w ramach jednego państwa. Trzecim filarem polityki państwowej było tworzenie wspólnej przestrzeni komunikacyjnej dla obywateli, którą miał być język polski. Znając polski ze szkoły, dzieci mogły się uczyć innych języków narodowych. Dopóki nie pojawili się skrajni ludzie, tacy jak wojewoda Bociański, który zlikwidował język białoruski w szkołach państwowych, to utrakwizm był realizowany w praktyce. Wspomniane trzy fundamentalne zasady były wcielane w życie zarówno przed przewrotem majowym, jak i po nim. Patriotyzm państwowy wśród mniejszości pozostawał niezmienną wytyczną. Niestety w latach trzydziestych ubiegłego wieku pojawiły się zakusy stosowania silnej polityki asymilacyjnej, która w zamierzeniu miała przekształcić „tutejszych" i „Rusinów" w „prawosławnych Polaków", za które to ambicje płacimy do tej pory solidną cenę.

Opisuje Pan w swojej książce najistotniejsze problemy, z jakimi zmagały się województwa kresowe. Możemy je przypomnieć?

To przede wszystkim problemy całego państwa, które było zacofane, biedne, starało się o zintegrowaną i nowoczesną gospodarkę oraz infrastrukturę cywilizacyjną. Brakowało sieci telefonicznych, prądu, placówek pocztowych. Kresy wymagały tego samego, co okolice Grójca czy Limanowej, ale w jeszcze większym stopniu. Słusznie władze wiązały poziom materialny życia obywateli z postawami wobec państwa. Gdyby udało się podnieść poziom życia całej ludności (przykładowo na Wileńszczyźnie głodowali wszyscy: i Białorusini, i Polacy, i Litwini), to bez wątpienia atmosfera na Ziemiach Wschodnich byłaby lepsza. Budząc się rano, człowiek nie zaczyna myśleć o tym, czy jest Ukraińcem, czy Polakiem, ale myśli, czy ma co zjeść, czy dzieci mają w czym iść do szkoły, czy wszystkie zobowiązania są uregulowane. Człowiek jednocześnie należy do grupy narodowej, ale i społecznej, jest *homo economicus*, mającym indywidualne cele i chcącym dla siebie dobrego życia. Głównym bieżącym problemem ludności Ziem Wschodnich była sytuacja materialna i godnościowa. Władza starała się podkreślać równość praw, ale paternalizm grupy urzędniczej był widoczny, dotyczył i mniejszości, i chłopów. Polska inteligencja dzieliła się na chłopomańską i taką, która chłopów i drobnych mieszczan (i to nie tylko prawosławnych oraz mojżeszowych,

eprasa.pl 4e2336049b

ale też rzymskich katolików) traktowała poniżej wszelkich standardów. Człowiek, któremu się odbiera godność złym traktowaniem, przestaje szanować władzę.

Przywołuje Pan przypisywane Józefowi Piłsudskiemu porównanie Polski do obwarzanka, w którym to, co najwartościowsze, jest na krańcach.

Piłsudski jest ważnym bohaterem w mitologii kresowej, sam również tę mitologię uprawiał. W XIX wieku Polacy mieszkający na wschód od etnograficznego terytorium Polski, na Wileńszczyźnie czy na „dalekich kresach", dawali wyraz bohaterskiego poświęcenia dla Polski. Byli najbardziej wysuniętą placówką polskości, więc ataki ze strony Rosji były szczególnie ostre i bolesne, często oznaczały śmierć albo utratę majątku rodzinnego. Piłsudski, odnosząc się do tych przykładów indywidualnego i rodzinnego bohaterstwa, pokazywał, że najlepsi synowie Polski są właśnie stamtąd. To nie Kresy ich stworzyły, ale pewna sytuacja polityczno-społeczna, która spowodowała, że znalazły się tam jedne z najważniejszych ognisk obrony polskiej tożsamości i tworzenia się polskiej mitologii. Trzeba o tym pamiętać, opisywać, zrozumieć, ale trzeba również mieć na uwadze, że to nie jest sytuacja ustalona na zawsze. Dialog z historią jest ciągłą redefinicją i reinterpretacją tego, co się zdarzyło.

Czy kresowa polskość jest inna niż polskość warszawiaków czy krakowian?

Tak, na dobre i na złe. Obok kresowiaków takich jak Emilia Plater mamy Potockich antyszambrujących w przedpokojach carskich. Tak zwani kataryniarze, budujący pomnik carycy Katarzyny II w Wilnie w 1904 roku, to też kresowi Polacy. Sytuacja kresowa, czyli wysuniętych poza obszar etnograficzny osad polskich, prowadzi do wyostrzania się cech zarówno pozytywnych, jak i negatywnych. Kresowy patriota o tym, że jest Polakiem, musi myśleć na co dzień, choćby nie chciał.

Dawnej stolicy Galicji poświęcił Pan w *Kresowym kalejdoskopie* sporo miejsca. Jak wyglądała sytuacja Lwowa w międzywojennej Polsce?

Lwów był jednym z najważniejszych ośrodków monarchii habsburskiej i prężnie rozwijającym się miastem. W okresie międzywojennym stał się jednym z wielu miast wojewódzkich, prowincją II Rzeczpospolitej. A Warszawa to nie Wiedeń. Do stolicy Polski było dalej i trudniej się było tam dostać niż do cesarskiego Wiednia. Lwów jako centrum rozwijającej się Galicji przed 1914 rokiem korzystał także z olbrzymich pieniędzy płynących z emigracji amerykańskiej Polaków, Ukraińców i Żydów, tymczasem w okresie międzywojennym bezrobocie rosło, przemysł i handel ledwo dawały radę, a nafty było coraz mniej. Kolejne większe firmy przeniosły swe centrale do stolicy Polski, miasto straciło we wszystkich sferach życia.

Zabójcza dla dotychczasowej atmosfery Lwowa była postępująca ekspansja nacjonalizmu jako nowej formuły opisywa-

eprasa.pl 4e2336049b

nia świata i kształtowania postaw – także w życiu codziennym. Monarchia habsburska oparta była głównie na lojalności państwowej, bez znaczenia był język wyniesiony z domu rodzinnego i używany w domowych pieleszach. Jeśli jesteś lojalnym obywatelem państwa, możesz być oficerem, urzędnikiem, handlarzem.

Jak mówiliśmy wcześniej, II Rzeczpospolita zmieniła tę formułę. Była państwem polskim, którego celem było wspieranie i budowanie narodu polskiego, co oznaczało, że aby dostać się do szkoły oficerskiej, nie wystarczyła już deklaracja lojalności państwowej. Należało dać dowody wierności polskiej wspólnocie narodowej. Co więcej, władze wojskowe zakładały, że jeśli Ukrainiec w szkole pozna polskie tajemnice wojskowe, istnieje znaczne prawdopodobieństwo, że w przyszłości wykorzysta je do walki z polską armią. Taka zmiana optyki dla wielonarodowego Lwowa była ciosem druzgocącym. Nastąpiło zniszczenie struktury i wspólnoty mentalnej miasta – tragicznie widać to na przykładzie lwowskich Żydów, którzy w latach dwudziestych XX wieku próbowali podtrzymywać przedwojenną formułę wieloetnicznej wspólnoty lwowskiej, mówiąc po polsku i traktując język polski jako platformę komunikacji wszystkich lwowskich etnosów. Zostali jednak potraktowani jako asymilatorzy starający się przenikać do polskiej wspólnoty narodowej, a nie jak mieszkańcy Lwowa mówiący po polsku. Po przegranej wojnie lat 1918–1919 Ukraińcy odrzucili język polski jako mowę wroga. Nacjonalizm sprawił, że język polski przestał pełnić funkcję komunikacyjną na rzecz ideologicznej.

Drugim ważnym miastem było Wilno, rozgoryczone powrotem do macierzy.

Historia wileńska jest nieco inna. Było jasne, że Wilno – jako miasto Słowackiego i Mickiewicza – jest jedną z duchowych stolic Polski. Bunt Żeligowskiego był traktowany jako wyniesienie Wilna na ołtarz odrodzonej ojczyzny, matka ojczyzna powinna pomóc, żeby druga perła renesansu odrodzonej Rzeczpospolitej rozkwitła. W Wilnie uważano, że nieduże pieniądze z budżetu państwa mogłyby sprawić, żeby miasto z Uniwersytetem Stefana Batorego i znaczącym potencjałem kulturalnym stało się ważnym ośrodkiem na polskiej mapie nauki i kultury. Wydawało się też, że biednej Wileńszczyźnie pomogą nieduże inwestycje, które poprawią jakość życia chłopów i Żydów. Szybko okazało się, że te nadzieje nie mają szans realizacji. Odrodzona Polska nie odpłaciła za Mickiewicza i Słowackiego. Nie mogli pomóc, pochodzący z Wilna, Józef Piłsudski, premier Aleksander Prystor ani minister finansów Władysław Zawadzki. Z dzisiejszej perspektywy widać, że realna poprawa położenia ekonomicznego Wileńszczyzny wymagałaby nakładów o wiele większych, niż wydawało się ówcześnie. Konieczne było edukowanie miejscowych, budowa infrastruktury kolejowej, elektryfikacja – warunkiem poprawy sytuacji Wilna był kompleksowy

eprasa.pl 4e2336049b

rozwój społeczno-ekonomiczny. A na to potrzeba było sporo czasu i ciężkiej pracy, władze centralne były zmuszone do podejmowania decyzji o wyborze priorytetów inwestycyjnych, nie kierowały się sentymentami, a potrzebami obronnymi.

Nie możemy pominąć kwestii Wołynia i eksperymentu realizowanego na tamtym terenie przez wojewodę Henryka Józewskiego.

W miarę upływu lat zmieniam pogląd na ten temat. Jako młody człowiek, czytając wspomnienia Józewskiego, denerwowałem się jego postawą. Widziałem w nim cynicznego polityka, który siłowo, korzystając z potęgi aparatu państwowego, „organizował" ugodę polsko-ukraińską na polskich warunkach. Ograniczone sukcesy, jakie udało mu się osiągnąć, w większości okazały się nietrwałe. Jednak w ostatnich latach widzę coraz wyraźniej, że alternatywą dla działań Józewskiego była w realiach okresu międzywojennego polityka wojewodów Kostka Biernackiego na Polesiu i Bociańskiego na Wileńszczyźnie. Rządy silnej ręki i świadome działania polonizacyjne w administracji, instytucjach oświatowych i polityce wobec prawosławia. Powiedzmy wprost: rządy nieskuteczne i wzmacniające poczucie obcości wobec Polski i kultury polskiej prawosławnej ludności miejscowej. Tymczasem Józewski chciał wykorzystać aparat państwowy nie jako narzędzie uniwersalne, a początkowy impuls służący przełamaniu silnego oporu i po stronie polskiej i ukraińskiej. Wojewoda ugodę robił siłą, bo samoistnie nie doszłoby do współpracy. Siła była niezbędna, żeby cokolwiek zacząć, strategia wojewody zakładała budowę sieci organizacji, które miały łączyć Polaków i Ukraińców. Likwidacja narodowych spółdzielni ukraińskich nie była celem samym w sobie, ale miała stworzyć pole do powołania na ich miejsce wspólnych instytucji polsko-ukraińskich. Zwalczano ukraiński ruch młodzieżowy, ale zachęcano młodych Ukraińców do wstępowania do Wołyńskiego Związku Młodzieży Wiejskiej skupiającego i Polaków, i Ukraińców. Polityka ta wymuszała także utrakwizm w szkołach, próbowano wprowadzić język ukraiński we wszystkich szkołach średnich. Budowano także wspólną reprezentację parlamentarną Wołynia, w której jednocześnie zrzeszeni byli Ukraińcy i Polacy. Poważną propozycją była ukrainizacja Cerkwi prawosławnej z nadzieją, że przestanie być ona ośrodkiem wpływów rosyjskich, a stanie się centrum ukraińskim przyjaznym Polsce. Patrząc na niektóre elementy eksperymentu wołyńskiego, dochodzimy do sprawy ogólnej, dotyczącej całej Polski, nie tylko Wołynia. Dwadzieścia lat to zbyt krótki okres (zauważamy, trzydzieści lat od 1989 roku, że wiele procesów, których efektów dotychczas nie było widać naocznie, zaczyna skutkować). Rozmaite sprawy, które jeszcze dziesięć lat temu uważaliśmy za niezakończone, dzisiaj są już załatwione. Skok cywilizacyjno-inwestycyjny nastąpił za rządów Platformy Obywatelskiej, ale bez wielkiej edukacji ekonomicznej całego społeczeństwa, bez wielu

eprasa.pl 4e2336049b

prac przygotowawczych, prób i błędów, zmiana z lat 2010–2017 byłaby po prostu niemożliwa. Podobnie w II Rzeczpospolitej, pod koniec lat trzydziestych XX wieku widać, że zaczęły się kumulować różne pozytywne skutki niedostrzegalnych wcześniej zmian, opóźnionych przez wielki kryzys ekonomiczny. Zaczęło się przyśpieszenie budowy zintegrowanego systemu gospodarki polskiej, Wileńszczyzna zaczęła wchodzić w orbitę gospodarczą nie tylko Warszawy, ale i Gdyni. Galicja Wschodnia zaczęła integrację z Polską centralną. Firmy z ziem centralnych zaczęły otwierać przedstawicielstwa na Kresach. Napływ nacjonalistycznego polskiego kapitału budził ukraińskie oburzenie. Ustabilizowanie sytuacji materialnej, polepszenie warunków życia na wsi wiązałoby się z masową polonizacją. Ludziom nie chodzi o sam bunt, ale o godne i dostatnie życie. Józewski jako polityk był realistą, zakładał, że jeżeli ludzie nie chcą porozumienia, a dwa wielkie pociągi nacjonalizmu polskiego i ukraińskiego pędzą na siebie, to należy zrobić wszystko, żeby partnerów posadzić przy stole, pokazać im, że można rozmawiać i razem działać. Potem trzeba było poczekać, aż efekty wspólnych działań zyskają własną dynamikę. Niestety z rokiem 1939 wszystkie te nadzieje i plany poszły na marne. O wielu popełnionych błędach należy pamiętać, ale trzeba też powiedzieć, że historia nie dała nam cienia szansy, żeby różne kwestie zweryfikować.

Profesor Włodzimierz Mędrzecki jest historykiem, specjalizuje się w etnografii historycznej, historii społecznej i stosunkach narodowościowych na ziemiach polskich. Kieruje Zakładem Historii Społecznej XIX i XX wieku w Instytucie Historii im. Tadeusza Manteuffla (Polska Akademia Nauk). Autor książki *Kresowy kalejdoskop. Wędrówki przez Ziemie Wschodnie Drugiej Rzeczypospolitej 1918–1939* (Kraków 2018).

eprasa.pl 4e2336049b

Aleksander Czekanowski – legenda Syberii

Marta Panas-Goworska, Andrzej Goworski

Ekscentryk, hedonista czerpiący z życia pełnymi garściami? Niewątpliwie tak, ale przede wszystkim wielki naukowiec, którego dziedzictwo wykracza poza granice Polski czy Imperium Rosyjskiego, w którym działał. Chluba Niepodległej, bohater, umiejący z zesłania uczynić narzędzie swej kariery, a zarazem postać niczym góra lodowa odsłaniająca przed nami zaledwie trzecią część swej biografii.

Gdy telegram dotarł do Kułtuku, brzmiał najprawdopodobniej tak: „Czekanowskij otprawiłsia iz S.-Pietrierburga" (Czekanowski wyjechał z S.-Petersburga). Polscy zesłańcy, którzy przebywali wówczas w nadbajkalskiej wsi, przyjęli tę wieść euforycznie, a Benedykt Dybowski – jeden z wybitniejszych przyrodników dziewiętnastowiecznej Europy – zapisał: „Odczyty Czekanowskiego i relacje o dokonanych podróżach i o rezultatach badań wywołały powszechne i ogólne uznanie dla badacza, co sam jeden zrobił więcej, niż inne ekspedycje złożone z licznych uczonych [i] każdy śledził pilnie za wiadomościami, które ciągle stwierdzały niezwykłe sukcesy Aleksandra [Czekanowskiego – przyp. aut.] i zaznaczały dowody uznania, jakich mu wtedy nie szczędzono; wprawdzie zbyt późno, ale najzasłużeniej na świecie".

Literówka

Był początek listopada 1876 roku, właśnie zaczęła się syberyjska zima i można już było podróżować po zamarzniętych rzekach. Dybowski założył więc, że przyjaciel osiągnie Irkuck po około miesiącu, i ruszył na jego spotkanie. Po przebyciu ponad stu kilometrów dotarł do gubernialnego miasta, gdzie przekonał się o jakże tragicznej pomyłce. Do lokalnego biura depesz nadeszła wiadomość, że Czekanowski „*Otrawiłsia w S.-Pietrierburgie*", czyli otruł się w Petersburgu, ale pracownik uznał, że jest to literówka. „Prędzej cały świat ulegnie zniszczeniu, aniżeli los tak smutny stanie się udziałem człowieka, który był ulubieńcem i dumą (…) ludzi myślących i czytających we Wschodniej Syberii" – zapisał Dybowski, tłumacząc postępek irkuckiego urzędnika. Ten bowiem zamienił „otruł się" (*otrawiłsia*) na „wyjechał"

eprasa.pl 4e2336049b

(*otprawiłsia*) i w tej treści rozesłał wszem i wobec, w tym do lokalnego oddziału Towarzystwa Geograficznego oraz przebywających nad Bajkałem przyjaciół badacza. Niestety tragiczna śmierć była faktem.

Garść pewników

„Informacje o pierwszym okresie życia Aleksandra Czekanowskiego – zapisał Zbigniew J. Wójcik, autor książki poświęconej temu badaczowi – są nadzwyczaj ubogie". Mimo to biograf, z wykształcenia geolog, a z zamiłowania historyk nauki, zdołał zgromadzić dość danych, żeby powstała monografia. Ukazała się ona na początku lat osiemdziesiątych XX wieku i do dziś pozostaje jedyną książką w polskim piśmiennictwie omawiającą losy tak ważnej postaci; opublikowane w kolejnych latach artykuły naukowe i publicystyczne nie stanowiły już istotnego dopełnienia. O tym, jak trudne pod względem faktograficznym są to dzieje, dowodzi cytat z wydanej w 2009 roku *Białej gorączki* Jacka Hugo-Badera: „Aleksander Czekanowski całymi dniami szlifował na kamieniu znaleziony korek od karafki, żeby zrobić z niego szkło powiększające. Latami nękany przez ostrą nerwicę tuż przed uwolnieniem z zesłania popełnił samobójstwo".

Zdanie mówiące o śmierci badacza błędne jest w całości, gdyż zgon nastąpił po odbyciu kary, a hipoteza, jakoby jego przyczyną było samobójstwo, jest co najmniej dużym uproszczeniem. Bezsprzecznie stwierdzono, że Czekanowski zatruł się amoniakiem, ale w laboratorium, w którym pracował, miał dostęp do dziesiątków innych substancji, które wywołałyby *exitus* szybciej i pewniej. Czyżby więc desperat miał być sadomasochistą? Informacja o monotonnym wykonywaniu lupy ze szklanego korka lub, jak pisze Dybowski w innym miejscu, denka od karafki sugeruje zaś co najmniej zaburzenia psychiczne. Czekanowski miał problemy osobowościowe, ale wizja człowieka zamkniętego w sobie i dzień w dzień szlifującego szkło, nie odpowiada rzeczywistości. Fakty pouczają, że w ciągu swego pobytu na Syberii, oprócz przygotowania kilkunastu publikacji, zrealizowania trzech dużych wypraw badawczych, zebrał lekką ręką licząc dwieście tysięcy eksponatów, skrupulatnie je opisał, zatem po prostu nie miałby czasu na przeciągającą się apatię. Te niekonsekwencje nie oznaczają bynajmniej, że Hugo-Bader dopuścił się przekłamania, choć niewątpliwie dał zwieść się wspomnieniom Dybowskiego, któremu to zawdzięczamy dokładne i fachowe relacje, jak i sprawozdania funkcjonujące w dwóch lub więcej wersjach, niedopowiedzenia czy nawet insynuacje.

Warto zatem – dzierżąc w dłoniach pamiętniki oraz syntetyczną, nakierowaną na odkłamywanie biografię – przywołać garść pewników. Będzie tego aż nadto, żeby dowieść znaczenia Czekanowskiego, mając przy tym nadzieję, że jego losy po-

eprasa.pl 4e2336049b

dejmie niebawem badacz mogący uzupełnić białe plamy oraz dokonać aktualizacji tej spuścizny. O tym, że jest ona wciąż ważna, poucza Wójcik, przywołując relację zasłyszaną od geologa, który w latach siedemdziesiątych XX wieku spotkał nad Bajkałem inżyniera eksplorującego skały lazurytowe. Podczas poszukiwań błękitnego minerału wykorzystywał on odpis mapy sprzed wieku sporządzonej nie przez kogo innego, jak właśnie polskiego zesłańca.

Privatdozent

Ojciec Aleksandra Czekanowskiego Wawrzyniec otrzymał spadek w Krzemieńcu i około 1825 roku z Galicji przeprowadził się na Wołyń. Przy tamtejszym sławnym liceum powołał zakład wychowawczy. Wawrzyniec Czekanowski szybko zasłynął jako ceniony, ale i ekscentryczny pedagog. Zapamiętano mu zwłaszcza maszynę, którą skonstruował, aby wyeliminować kary cielesne zadawane wówczas przez nauczycieli. Podopieczni cenili sobie ów „klapsomat", gdyż wymierzane razy były stosunkowo łagodne; po sukcesie urządzenia Czekanowski rozpoczął prace nad aparatem łajającym, acz trudno sobie wyobrazić, jak mógłby on wyglądać. Nawiązał także doskonałe relacje z profesorami z liceum, wśród których było niemało sław, z przyrodnikiem i kierownikiem miejskiego ogrodu botanicznego Willibaldem Besserem na czele. I w takim niebanalnym, naznaczonym kultem wiedzy otoczeniu przyszedł na świat Aleksander. Jak podają najnowsze źródła, urodził się 12 lutego 1833 roku. Informacja ta godna jest podkreślenia, bowiem do niedawna nawet publikacje encyklopedyczne podawały rok 1830.

Czekanowskiego zachwycały formy geologiczne oraz flora i fauna. W efekcie powstała kolekcja mieszcząca się, jak czytamy w biografii, w „dość dużej skrzyneczce".

Oprócz podstawowej wiedzy chłopak przyswoił język niemiecki i zaznajomił się z warsztatem przyrodnika (tu jego pierwszym nauczycielem był najprawdopodobniej Besser). Młodzieniec na dalszą naukę ruszył do Kijowa, skąd wyjechał na północ, zatrzymując się w Dorpacie (dziś estońskie Tartu). W słynącej z wysokiego poziomu akademii kształcił się na lekarza, ale jak zauważył Dybowski, który ukończył ten uniwersytet, medycyna nie była jego powołaniem i po dwóch latach w 1856 roku porzucił studia. Choć nie zdobył dyplomu, nawiązał znajomości, które miały okazać się bezcenne i zwłaszcza letnie wojaże ze starszym o rok Friedrichem Karlem Schmidtem zaważyły na jego losach. Młodzieniec, zerwawszy więzy z ojcem – rodzic miał mu za złe, że nie skończył studiów – wrócił do Kijowa i tu kontynuował swą pasję, jaką stały się nauki przyrodnicze. Zgłębiał literaturę przedmiotu i gdy

eprasa.pl 4e2336049b

tylko mógł, ruszał na wycieczki po okolicy, aby zbierać egzemplarze flory i fauny, oznaczać wiek skał i poszukiwać skamieniałości. Rozpoczął też współpracę z profesorami kijowskiego uniwersytetu (jednostka powstała na bazie zlikwidowanego po powstaniu listopadowym liceum krzemienieckiego) i dostarczał ciekawych okazów, dzięki czemu zyskał dostęp do muzeum przyrodniczego. Z czasem stał się swego rodzaju privatdozentem, choć mimo rosnącej renomy wciąż nie miał skończonych studiów. Mówił za to płynnie po niemiecku, a także angielsku, francusku i rosyjsku i bez trudu znalazł pracę w zagranicznej firmie budującej telegrafy. Nieźle wynagradzany wynajął mieszkanie przy prestiżowej ulicy Luterańskiej i prowadził otwarty dom, nie było dnia – wspomina Dybowski – żeby ktoś u niego nie gościł i nawet gdy wyjeżdżał, gwar nie ustawał. Dni beztroski były jednak policzone.

Dwa jajka i jabłko

Zdjęcie wykonano w kwietniu 1863 roku. Trzech młodych mężczyzn siedzi, dwóch stoi. Pierwszy od lewej to jeden z prekursorów polskiego gleboznawstwa, Konstanty Malewski. Po przeciwnej stronie – przyrodnik Konstanty Kamiński, obok niego młodzieniec o delikatnej urodzie, przyszły badacz Ameryki Południowej, Konstanty Jelski. Drugi od lewej ma dłuższe założone za ucho włosy i zarost okalający usta. To Benedykt Dybowski. A w samym środku ulokował się mężczyzna w kaftanie. Założył nogę na nogę i przyjął pozę „w trzech czwartych". Kształtny wąs, symetryczna acz sprawiająca wyraz boleściwej twarz i staranna fryzura z przedziałkiem na boku – oto Aleksander Czekanowski w przededniu uwięzienia. Nie ma jednak rozstrzygających świadectw, czy brał udział w konspiracji i tylko Dybowski, pełniący wysoką funkcję komisarza Rządu Narodowego na Litwę i Białoruś, uważa, że nie angażował się on czynnie w walkę. Mimo to inteligent nie mógł pozostać obojętny. Powstanie trwało już od stycznia i na początku maja walki rozgorzały na Rusi. Rozpoczęły się aresztowania, do kijowskiej cytadeli trafiły setki Polaków niezależnie od tego, czy byli w konspiracji i wraz z nimi w lochu znalazł się przyszły badacz Syberii. Istnieje kilka wersji, co działo się z nim w kolejnych tygodniach. Jedna głosi, że brał udział w słynnej ucieczce przez tunel, po czym został pochwycony, choć w takim przypadku zasądzony wyrok byłby dużo surowszy. A tak został skazany na osiedlenie na Syberii oraz pozbawienie szlachectwa i utratę wszelkiego mienia. Kator-

Czy to prawda, że Czekanowski pochodzi z rodziny królewskiej? – dopytywał urzędnik. – Gdy przyjdzie na przykład na stację, zaraz się umyje, uczesze, a nie tak jak inni, co to po kilka dni z rzędu się nie myją.

eprasa.pl 4e2336049b

ga polegała zaś na zesłaniu na przymusowe roboty w tajdze czy kopalniach. Jednak w obu przypadkach najtrudniejszym momentem okazywała się sama wędrówka. Jesienią 1863 roku Czekanowski ruszył pieszo na Wschód. Droga zajęła nie mniej niż siedemnaście miesięcy, z czego ponad miesiąc przeleżał w szpitalu w Tomsku złożony tyfusem. Mimo choroby wykazał się hartem ducha i od początku rozpoczął zbieranie eksponatów. Najprawdopodobniej wspierali go w tym towarzysze niedoli, choć trudno sobie wyobrazić, aby dzielili się też pieniędzmi; skazańcom wypłacano w zależności od statusu od piętnastu do ośmiu kopiejek dziennie, za co mieli się sami wyżywić. Zakupy pudełek, ligniny czy spirytusu, niezbędnych do konserwowania zbiorów, Czekanowski musiał więc opłacać z własnej kiesy, przy czym jako skazaniec pozbawiony dóbr i tytułów mógł liczyć jedynie na dziesięć kopiejek. Kwota ta pozwalała nabyć co najwyżej pół kilo mąki albo dwa jajka i jabłko. Duch okazał się jednak silniejszy niż ciało. Formy geologiczne oraz flora i fauna, jakie napotykał, zachwyciły go do tego stopnia, że pełen pasji badawczej podołał skrajnym niedogodnościom oraz zdobył niezbędne oprzyrządowanie. W efekcie powstała kolekcja mieszcząca się, jak czytamy w biografii, w „dość dużej skrzyneczce". Prace przerwał złożony chorobą i od Tobolska do Tomska, czyli ponad tysiąc pięćset kilometrów, był wieziony przez kompanów (najprawdopodobniej na wykonanych samodzielnie sankach lub taczance). W mieście nad Tomą trafił do szpitala i na wypadek śmierci przepisał zbiory, wśród których znajdowały się nieznane jeszcze nauce owady, Akademii w Petersburgu. Owa destynacja mogła zastanawiać. Dlaczego polski zesłaniec decydował się przekazać owoce swej pracy do stolicy zaborcy, a nie do Dorpatu czy rodzimego Kijowa?

Nie pohany

Czekanowski przemógł tyfus i wiosną 1865 roku dotarł do Siwakowej. Nie była to przypadkowa destynacja, gdyż przebywający w tej zabajkalskiej osadzie Dybowski zrobił wszystko, żeby kijowski towarzysz tam właśnie trafił. Już na miejscu zajął oddzielną izbę i nie musiał pracować, a mimo to rekonwalescencja się przedłużała i przyrodnik odkrył u niego kolejne schorzenie. „Poradzono mu w Irkucku fistułę zapchać watą – zapisał. – Robił to w ten sposób, rozszerzając ją, a następnie wywołał zapalenie, które przeszło i do kiszki odchodowej". Specjalistka od diagnostyki proktologicznej, profesor Iwona Sudoł-Szopińska na podstawie tego opisu uważa, że „Czekanowski miał tzw. kompletną przetokę, z otworem do światła odbytu i nawet współcześnie jej leczenie jest trudne, polega na operacyjnym wycięciu, niekiedy skuteczne jest także leczenie laserem, a leczenie zachowawcze nie jest skuteczne i nie ma leków na przetokę". Zrozumiałym staje się więc, dlaczego przypadłość ta

eprasa.pl 4e2336049b

już go nie opuściła. Jesień przyniosła zmiany i ze względu na renomę Dybowskiego zesłańców przeniesiono nad rzekę Ingodę, polecając stworzenie sanatorium. Wyjazd, choć umożliwił rozszerzenie badań, pogłębił trwające spory. Dybowski, który dążył do zbudowania na Syberii zespołu badawczego, promował abstynencję, zakazywał kontaktów z Rosjankami, a tych, którzy nie podporządkowywali się, uznawał za szaleńców. Czekanowski cenił zaś dobre towarzystwo i niewątpliwie na tym polu doszło do rozdźwięku. Oprócz tego Dybowski zainicjował polowania na endemiczne zwierzęta i wypreparowane słał do Warszawy, za co on i jego ludzie otrzymywali wynagrodzenie. Czekanowski także i tu miał odmienne zdanie i okazy kierował do Petersburga. Pobyt nad Ingodą nieoczekiwanie zakończył się represjami. Nad Bajkałem wybuchło krwawo stłumione powstanie polskich katorżników (był to ostatni zryw Polaków przed 1914 rokiem) i Rosjanie wzmogli prześladowania także wobec osiedleńców. Drogi Czekanowskiego i Dybowskiego rozeszły się wówczas na ponad rok. Po krótkim pobycie w więzieniu geologa przeniesiono do zapomnianej przez Boga i ludzi wioski Padun nad Angarą. Tam pozbawiony środków do życia, schorowany pogrążył się w nędzy, a przynajmniej taka opinia dotarła do towarzysza z dorpackich czasów, akademika Schmidta. „Niemiec, mąż uczony i duszy szlachetnej – czytamy w numerze „Tygodnika Ilustrowanego" z 1877 roku – stał się poniekąd dla geologa naszego Beatryczą, wyprowadzając go z otchłani niedoli. Jego stosunkom zawdzięczał Czekanowski, że powołany został do Towarzystwa Geograficznego syberyjskiego, co dało mu możność rozszerzenia zakresu pracy i niezużywania olbrzymiego zapasu energii na mocowanie się z losem". W artykule nie ma jednak mowy o tym, jak postrzegała Polaka miejscowa ludność. Tego obrazu dopełnia relacja Dybowskiego, który około 1869 roku przejeżdżał nieopodal (geologa nie było już we wsi) i został zagadnięty na stacji pocztowej. „Czy to prawda, że Czekanowski pochodzi z rodziny królewskiej? – dopytywał urzędnik. – On nigdy (…) do szklanki mu podanej przy herbacie nie naleje esencji, jak to zwykle czynią inni, zanim serwetką własną i czystą jej nie wytrze (…), albo gdy przyjdzie na przykład na stację, zaraz się umyje, uczesze, a nie tak jak inni, co to po kilka dni z rzędu się nie myją i nawet z czynem generała [tj. w randze – przyp. aut.]". Można zatem podejrzewać, że paduńczycy traktowali go wyjątkowo i nie daliby umrzeć z głodu, choć to przybycie Schmidta rozpoczęło nowy etap w życiu Czekanowskiego.

Przyjaciel nabył od niego okazy dla Akademii w Petersburgu i zapowiedział, że będzie kupować kolejne. Zbiory były cenne i niebawem geolog mógł przenieść się do Irkucka. Niczym nie przypominał już zesłańca, wynajął obszerne mieszkanie, zamówił wyszukaną odzież i w 1868 roku zaliczono go do lokalnej elity, a przeświadczenie o jego wyższości zataczało coraz szersze kręgi. Dybowski odmalował wydarzenie, które to ilustruje. Latem 1871 roku Czekanowski udał się na wyprawę

eprasa.pl 4e2336049b

nad brzegi mongolskiego jeziora Chubsuguł i podczas jednego z obozowisk służący Gawryła ostentacyjnie wylizał miseczkę swego pryncypała. Polak nie przyjął naczynia i Gawryła pożalił się później Dybowskiemu:

„Prawda, Aleksander Ławrentiewicz jest osobą znatnego [tj. szacownego – przyp. aut.] rodu, ale przecież i mój język nie pohany [nieczysty – przyp. aut.]".

Otrawiłsia czy *otprawiłsia*?

W Paduniu, będąc jeszcze zesłańcem z ograniczonymi prawami i bez tytułów, zebrał materiały skalne, które pozwoliły mu podważyć tezy wielkiego Alexandra von Humboldta i zaproponować właściwą periodyzację gór. „Gdyby ponad to nic więcej już nie zrobił – zapisał biograf, a zarazem geolog – jego nazwisko jako odkrywcy skał jurajskich w okolicy Irkucka i tak pozostałoby na trwałe w nauce". Polak umysł miał niezwykle elastyczny i z zapałem rzucał się na zagadki naukowe z różnych dyscyplin. Opracował i opisał metody badania prądów powietrznych bez aparatury meteorologicznej, ale publikacja została odrzucona, gdyż epoka, w której powstała, czciła wszelkiego rodzaju instrumentaria i dopiero po latach praca została właściwie oceniona. Badał pająki, żuki i ryby; w przypadku słynnej żyworodnej gołomianki najpierw spierał się z Dybowskim, po czym przyznał mu rację i opublikował tekst gloryfikujący jego dokonania. Przy okazji prac nad bajkalską rybą opisał lokalną społeczność żyjącą na wyspie Olchon, stając się jednym z pierwszych, jeśli nie pierwszym badaczem niosącym świadectwo niezwykłych szamańskich praktyk autochtonów. Czasowe nawroty dolegliwości związanych z przetoką uziemiały go i wówczas pisał oraz opracowywał zgromadzone kolekcje. Od czasu do czasu oddawał się też słabościom związanym z używkami. Historiografowie nic nie piszą o towarzyszkach życia i może kiedyś, mając na względzie także jego schorzenie, można by pokusić się o analogie z losami innego znanego odkrywcy i podróżnika Nikołaja Przewalskiego. Niezależnie jednak od chorób i prywatnych inklinacji Aleksander Czekanowski był tytanem pracy. Na początku 1872 roku, gdy przywrócono mu szlachectwo, stanął na czele pierwszej wyprawy badawczej. Następnie, pozyskawszy środki od Akademii w Petersburgu, irkuckiego towarzystwa geograficznego i od prywatnych sponsorów trzykrotnie przewodził dużym ekspedycjom wzdłuż dolin rzek Oleniok i Lena, za każdym razem przywożąc dziesiątki tysięcy eksponatów. Ważnym i wy-

Opracował i opisał metody badania prądów powietrznych bez aparatury meteorologicznej, ale publikacja została odrzucona, gdyż epoka, w której powstała, czciła wszelkiego rodzaju instrumentaria.

eprasa.pl 4e2336049b

korzystanym już przez Związek Radziecki efektem tych wypraw były mapy z potencjalnymi złożami kruszców w Jakucji.

Za swoje dokonania został uhonorowany Małym Złotym Medalem towarzystwa geograficznego i złotym medalem francuskich geografów. Deszcz nagród i honorów mógł na niego teraz spaść w wielkiej obfitości, ale los nie dał na to szansy. Czekanowski odzyskał wszystkie prawa, łącznie z możliwością powrotu na Wołyń 25 kwietnia 1875 roku. Od początku swojej syberyjskiej eskapady świadomie grał na Petersburg i zamiast ruszać do Krzemieńca czy Kijowa, udał się nad Newę. Jego plan zainicjowany 1863 roku zaczął się w końcu ziszczać – miał oto zrobić oszałamiającą karierę naukową w jednej ze stolic ówczesnego świata. Zamieszkał przy Muzeum Mineralogicznym i rzucił się w wir pracy. Wiosną i latem 1876 roku porządkował przesłane przez siebie zbiory, występował z odczytami, planował kolejną ekspedycję oraz przygotowywał mapy jakuckich dolin. Jesienią nastąpiła zmiana. „Zaczął on unikać ludzi, uważał, że wszyscy go porzucają – wspominał Schmidt. – Tracił chęć do pracy i nie chciał słyszeć więcej o nowych wyprawach". Ostatecznie 30 października zaległ w łóżku. Rano wzbraniał się jeszcze przed wizytą medyka, ale towarzysz z Dorpatu udał się po pomoc. „Po przyjściu lekarza – zanotował Schmidt – okazało się, że zatruł się znaczną ilością amoniaku. O godzinie pierwszej po południu już nie żył".

Uznano to za samobójstwo.

Marta Panas-Goworska i Andrzej Goworski są małżeństwem i duetem pisarskim. Interesują się kulturą i historią krajów Europy Środkowo-Wschodniej oraz Rosji. Publikowali między innymi w „Gazecie Wyborczej", „Tygodniku Powszechnym", „Nowej Europie Wschodniej", „National Geographic", „Polityce", regularnie współpracują z kwartalnikiem literacko-artystycznym „Akcent". Autorzy: *Naukowców spod czerwonej gwiazdy* (Warszawa 2016), *Grażdanina N.N.* (Warszawa 2017), *Naznaczonych przez rewolucję bolszewików* (Gliwice 2017) oraz *Inżynierów Niepodległej* (Warszawa 2018; książka powstała w ramach stypendium twórczego MKiDN na 2018 rok).

eprasa.pl 4e2336049b

SOS słane donikąd

Magdalena Chodownik

W dom Andreja trafił pocisk. W chacie pozbawionej już dachu, z którego wystawały połamane od pocisku belki, leżały ciała jego młodszego brata i ojca. Zginęli na miejscu. Matka, wciąż żywa, siedziała z otwartą raną w brzuchu przy zwłokach męża, tylko poduszka przytrzymywała jej wnętrzności.

12 tysięcy hrywien (około 1640 złotych), tyle wynosić miał rachunek za usunięcie lewej piersi pani Natalii, gdzie na dobre zagnieździł się i rozrósł spory guz. Kwota miała pokryć także koszty pobytu rekonwalescencyjnego w szpitalu oraz zakupu podstawowych produktów medycznych niezbędnych do przeprowadzenia zabiegu.

– Kitel, maska, rękawiczki, strzykawki, bandaże – wylicza pani Natalia.

Lista rzeczy, za które musiała zapłacić dodatkowo, była długa. Do dziś nie wiadomo, czy opłata zawierała także zwyczajową łapówkę dla lekarza, bez której specjalista na Ukrainie operować nie lubi lub nie chce. W tym szpitalu rzeczywistość nie odbiegała daleko od schematu. Nie wiadomo jednak, bo pani Natalia na tę operację nie poszła. Emerytura, którą otrzymuje, to 1400 hrywien. Nie zdołałaby z niej odłożyć 12 tysięcy, skoro dosłownie nie wiąże końca z końcem. Chora, dorabia opiekując się starszą sąsiadką z bloku obok. Nie wiedziała też, jak zawalczyć o swoje – bała się, że sprzeciw mógłby na zawsze zaprzepaścić jej szanse na powodzenie zabiegu. A przecież region bahmucki, w którym mieszka i się leczy, objęty jest bezpłatną opieką onkologiczną.

Mama przeżyje?

Wielu lokalnych lekarzy twierdzi, że wysoki procent zachorowań na raka w tym regionie ma podłoże w wojnie – czy to w stresie, czy w używanej przez wojska broni, w której – jak mówią – trudno stwierdzić, co naprawdę jest. I ludzie obwiniają konflikt za choroby. Nieliczni, w domowym zaciszu, mówią jeszcze o skażeniu powietrza i wody. A pobliskie elektrownie czy kopalnie, bez względu na ustanowioną nieopodal linię rozgraniczenia, robią tu swoje – trują.

Miejscowościom przyfrontowym, znajdującym się w „czerwonej strefie", jest zdecydowanie trudniej, i to na wielu płaszczyznach. Z jednej strony brak rąk do pracy, także w sektorze opieki zdrowotnej, bo wielu medyków pouciekało przed konfliktem.

eprasa.pl 4e2336049b

Z drugiej – cała lokalna gospodarka, która też zmaga się z większymi wyzwaniami i biedą. Trudniej pacjentom uzbierać na konieczną i kosztowną pomoc medyczną oraz – jak nazywają złośliwi łapówki – ich „podwójne opodatkowanie" czy „podarunki".

W Trojićke, wsi na linii frontu, ostrzały powtarzają się regularnie. Jak ten majowy, zeszłoroczny, kiedy kilka minut po północy sen przerwały świsty pocisków. Ten dźwięk to znak, że przelatują i spadają niedaleko. Poleciał jeden, drugi, trzeci. I tylko łup, i łup. I wszystko drży. Szyby w oknach ledwo wytrzymują wstrząsy. Potem wdziera się zapach betonu i tynku pomieszanego z trotylem, a chwilę później z przedsionka zaczynają dobiegać krzyki. „Pomocy, pomocy!" Do środka wbiegł młody chłopak Andrej. Miał osiemnaście lat, był pokryty kurzem i krwią. Biegając po ciemku, w panice i stresie, szukał ludzi, to w jego dom trafił jeden z pocisków. W chacie pozbawionej już dachu, z którego wystawały połamane od pocisku belki, były ciała jego młodszego brata i ojca. Zginęli na miejscu. Matka, wciąż żywa, siedziała z otwartą raną w brzuchu przy zwłokach męża, tylko poduszka przytrzymywała jej wnętrzności. Andrej też krwawił – zostawiał za sobą pokaźne strugi. „Mama przeżyje? Pomóżcie! – powtarzał bez ustanku. – Czy mama przeżyje? Czy przeżyje?"

Wezwanie karetki do cywilów mieszkających na linii frontu graniczy z cudem. Cywilna pomoc medyczna rzadko przyjeżdża w miejsca ostrzałów czy bombardowań. System ewakuacji jest, ale przeznaczony dla wojskowych, pozostali muszą sobie radzić sami. Tyle że domowe apteczki świecą pustkami. Są w nich syropy uspokajające, tabletki na sen i od bólu głowy, jakiś stary, sowiecki bandaż, którego nie wiadomo jak poprawnie użyć, może rozerwać się przed zawiązaniem. Samemu wyjechać też ciężko – włączanie świateł, które mogłyby zwrócić uwagę wojskowych termowizorów, jest ryzykowne. Do tego dochodzi zły stan dróg, samochodów i często – obezwładniająca panika. I ta niepewność, gdzie jechać i czy ranni zostaną przyjęci. I za ile?

Andrejowi i jego mamie się udało. Zatelefonowano na numer 103 (krajowy telefon alarmowy) i po informacji, że na miejscu znajdują się zagraniczni korespondenci, ambulans przyjechał, choć dyspozytorka długo wahała się z decyzją, a rozmowę przeciągała w nieskończoność. Na miejscu zdarzenia pojawili się także żołnierze, pomogli wynosić rannych. Szpital, do którego jechali, oddalony był od wsi Trojićke prawie 90 kilometrów. Przebycie takiej odległości po ukraińskich drogach, dla osoby z otwartą raną brzucha, która już dawno powinna być na stole operacyjnym, to długo.

– O, a ile tu osób umarło, bo nie było jak pomocy wezwać – mówi mieszkanka Debalcewe, miasteczka położonego przy linii frontu po przeciwnej stronie, w „Donieckiej Republice Ludowej". – Jak tu pociski latały, koszmar, a ile na atak serca ludzi zmarło, ze strachu… Schodziliśmy do piwnic i modliliśmy się, żeby w nas nie uderzyło. Ile tu trupów dogorywało, nawet nie chcę pamiętać… – wspomina.

eprasa.pl 4e2336049b

Wejście do szpitala w Myroniwśkyj. Oddział, mimo niedawnego remontu, ma zostać zamknięty, a personel – przeniesiony do pracy do Switłodarska.

Pielęgniarka w szpitalu w Myroniwśkyj może tylko rozkładać ręce.

eprasa.pl 4e2336049b

eprasa.pl 4e2336049b

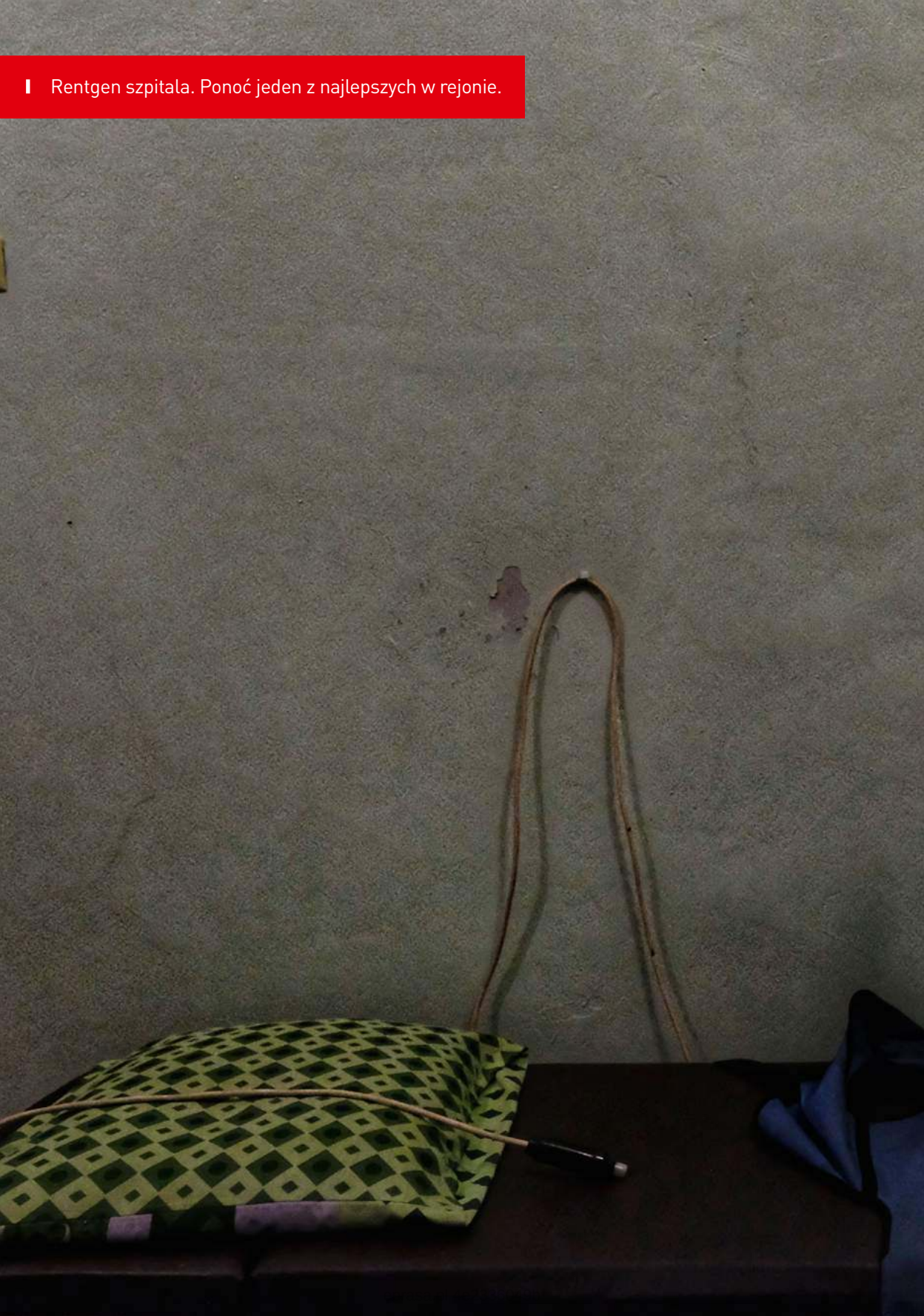

Rentgen szpitala. Ponoć jeden z najlepszych w rejonie.

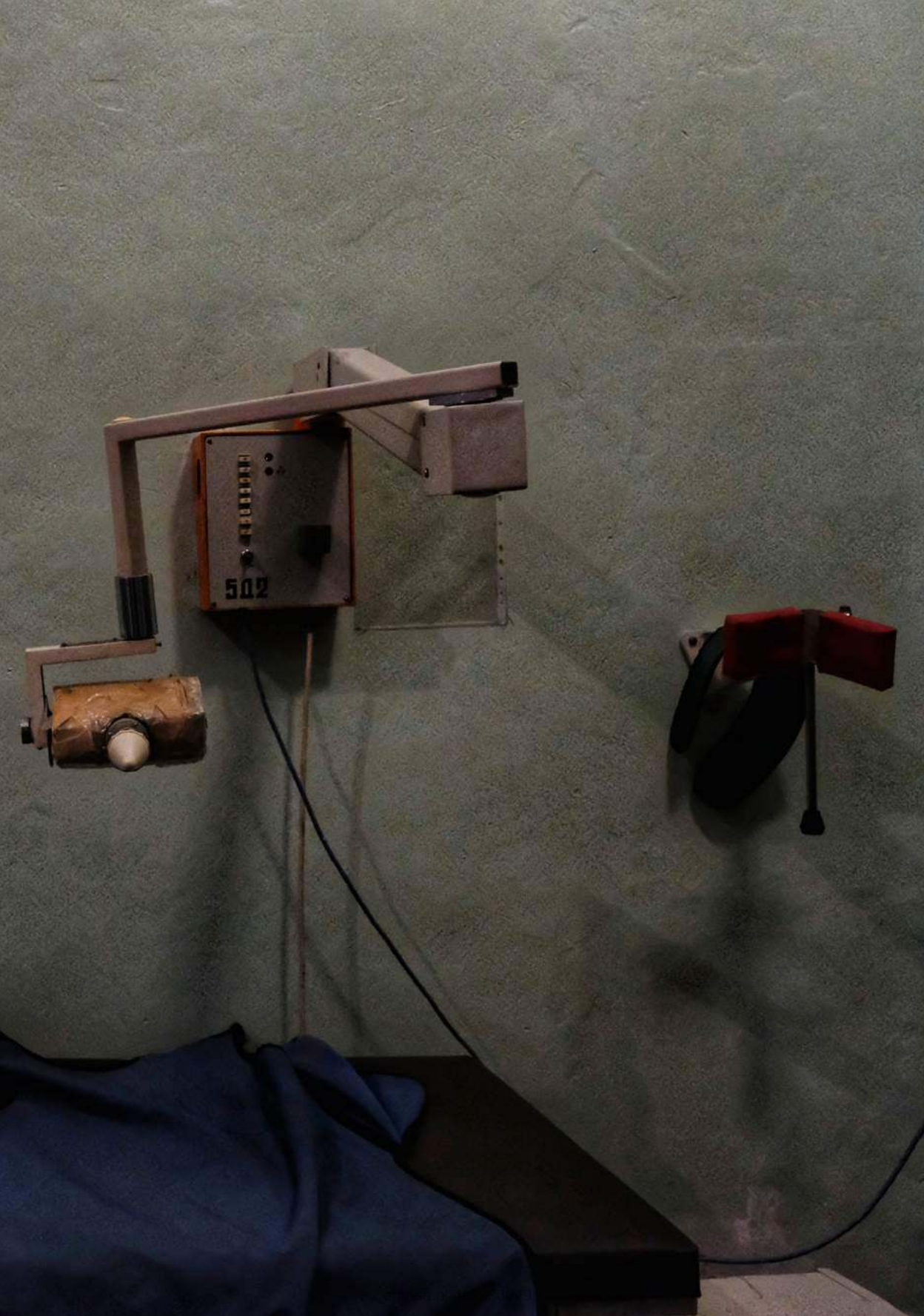
5Д2

Nina, jedna z pacjentek szpitala w Myroniwśkyj. Kobieta martwi się, że część szpitala ma zostać zamknięta, a personel oddelegowany do innego miasta. Mieszka z niepełnosprawnym synem, sama też nie chodzi. Nie wie, jak i czy poradzi sobie z częstszymi dojazdami do lekarzy. Do tej pory mogła liczyć na pomoc tych lokalnych, którzy przychodzili na umówione wizyty domowe.

eprasa.pl/4922336049b

Dima stracił zdrowie, kiedy kilka lat temu został pobity. Dziś jego sprawność ruchowa jest ograniczona. Mieszka na szóstym piętrze. Samodzielne chodzenie po schodach, a wychodzi tylko, kiedy musi, jest wielkim wyzwaniem – słabe ręce nie utrzymują ciężaru jego ciała. Porusza się więc na kolanach, ale od tego porobiły mu się obrzęki i ropniaki. Lekarze otworzyli i wyczyścili jednego z nich, ale postanowili zostawić ranę otwartą.

Gdzie, k…wa, jedziesz

– Pamiętam, jak w 2015 roku bomby zaczęły spadać na Łuhańske – wspomina Swieta, z wykształcenia pomoc medyczna. – A ja musiałam dotrzeć do sparaliżowanej starszej pani. Trzeba było zrobić jej zastrzyk, była w swoim domu kompletnie sama. Córka ją zostawiła, wszyscy wyjechali. Zapakowałam więc strzykawki, bandaże, opatrunki, wsiadłam ze swoją torbą na rower i jechałam do niej mimo ostrzału. Niewiele ujechałam, a tu żołnierz, krzyczy do mnie: „Gdzie, k…wa, jedziesz? Nie widzisz, k…wa, co tu się dzieje?!". Ale co miałam zrobić? Mówię mu prawdę, że muszę dać kobiecie zastrzyk. Chciał mnie zatrzymać, ale mu się wyrwałam i pojechałam dalej. Kiedy dotarłam na miejsce, staruszka płakała i błagała mnie, żebym jej nie zostawiała samej. Ale nie mogłam. Musiałam wracać, a zaraz miało się zrobić ciemno. Tylko wyszłam, a tam jeszcze gorszy ostrzał. Rzuciłam wszystko na ziemię i czołgałam się prawie całą drogę do domu, to było kilka kilometrów…

W miejscowościach przyfrontowych, znajdujących się w „czerwonej strefie", brakuje rąk do pracy, także w sektorze opieki zdrowotnej, bo wielu medyków pouciekało przed konfliktem.

W przyfrontowych wioskach wiele osób zdanych jest na pomoc sąsiadów. Bo kiedy nie ma ambulansów, a odległość od szpitala jest duża, nie pozostaje nic innego, jak wspierać się nawzajem. W rodzinnej wiosce Swiety pociski nie oszczędziły szpitala. Do dziś stoi niewykończony, choć niedługo ma przejąć obowiązki opieki nad pacjentami z oddalonego o 3 kilometry miasta Myroniwśkyj. I tam szpital został zniszczony, ale udało się przywrócić funkcjonalność kilku budynkom.

Prócz opieki nad ciałem brakuje w „czerwonej zonie" pomocy profesjonalnych psychologów i psychiatrów. Owszem, bywają wizyty organizacji humanitarnych, które zazwyczaj prowadzone są przy udziale pracowników pomocy społecznej (a nie profesjonalisty, który pomoże uporać się z traumami) i zazwyczaj zdarzają się raz na tydzień lub miesiąc. Nikt nie pomyśli, by opłacić specjalistów, którzy pomogą ludziom na froncie powoli wracać do normalności – takiej bez koszmarów i powracających przykrych wspomnień.

Dlatego Swieta dalej pomaga chorym. Jak trzeba – da zastrzyk, albo posiedzi i wysłucha.

Wyprawy na drugą stronę

Pani Natalia wyszukała w internecie informację, że mimo trwającego konfliktu może podjąć leczenie onkologiczne w szpitalu w Doniecku. Miało być szybciej, le-

eprasa.pl 4e2336049b

piej i dużo taniej. Kilka dni później była już spakowana i wyruszała w drogę. Choroba nie pozwalała jej dłużej czekać. Zabieg przebiegł pomyślnie, ale lekarze postanowili zostawić ją na obserwacji prawie miesiąc. Dziś dobrze wspomina opiekę, jaką ją tam obdarzono, może dlatego, że na koniec pobytu przynieśli rachunek na niecałe trzy tysiące hrywien, czyli cztery razy mniejszy, niż dostałaby w swojej rodzinnej miejscowości.

Ten dźwięk to znak, że przelatują i spadają niedaleko. Poleciał jeden, drugi, trzeci. I tylko łup, łup. I wszystko drży. Szyby w oknach ledwo wytrzymują wstrząsy.

– Rząd „Donieckiej Republiki Ludowej" chętnie przyjmuje na leczenie osoby z Ukrainy – wyznaje jeden z pracowników medycznych w Doniecku. – Chcą im pokazać, że tu jest dobrze i tanio, chcą, żeby przyjeżdżali. Prawda jednak jest taka, że cierpią na tym lokalni mieszkańcy, których miejsca na operację czy pobyt w szpitalu oddaje się właśnie przyjezdnym. Swoich nie leczą tak dobrze…

Ale w ubiegłym roku stan zdrowia pani Natalii znów się pogorszył, z czasem wyczuła kolejnego guza. Ręka spuchła i chwilami wydawała się większa niż noga. Zaczęła też boleć. Kobieta ponownie udała się do bahmuckiego szpitala. Usłyszała to, czego się spodziewała – że pilnie trzeba usunąć guza. Tym razem cena za zabieg wynosiła 500 hrywien. Kobieta i tym razem nie miała takiej sumy. Wróciła dopiero za pół roku z gotówką w ręku. Lekarz praktycznie z miejsca zabrał ją na blok operacyjny, ale w trakcie okazało się, że niezbędne są dodatkowe analizy tkanek rakowych, kolejny zabieg i pobyt w szpitalu. I dodatkowo prawie dwa tysiące hrywien. Pożyczyła.

Kilometry i godziny

System opieki medycznej na Ukrainie to historia braku dofinansowań, brutalnej korupcji oraz prób modernizacji. Wojna, która trwa na Ukrainie już piaty rok, zdecydowanie pogorszyła ten stan, a na terenach przyfrontowych – niekiedy dosłownie – doprowadziła do ruiny. Wielu pracowników medycznych i lekarzy wyjechało szukać zatrudnienia w bezpieczniejszych miejscach. Budynki szpitalne, punkty medyczne i sprzęt ucierpiały w wyniku walk, niektóre zburzono doszczętnie. Brakuje więc nie tylko środków finansowych, ale i rąk do pracy oraz infrastruktury.

Pomysł na zmianę tego stanu rzeczy miała Ulana Suprun, pełniąca obowiązki ministra ochrony zdrowia. Suprun, Ukrainka urodzona i wyedukowana w Stanach Zjednoczonych, z zawodu lekarka, przeprowadziła się do Kijowa w 2013 roku. Aktywnie wspierała Euromajdan i ukraińskich żołnierzy – zorganizowała zbiórkę pieniędzy na zestawy pierwszej pomocy oraz szkolenia medyczne dla wojskowych. Jej

eprasa.pl 4e2336049b

plan modernizacji i reformy służby zdrowia zakładał między innymi dofinansowania dla szpitali oparte przede wszystkim na ich potrzebach (a nie wielkości placówki), usprawnienie wizyt u lekarzy pierwszego kontaktu, systemu indywidualnych ubezpieczeń zdrowotnych oraz założenie rejestru pacjentów, odpowiadającego ich miejscu zamieszkania. Miało to podnieść niezależność i wydajność przychodni oraz szpitali. Problem w tym, że wprowadzanie zmian miało nastąpić do 2020 roku. Jest rok 2019, a pozytywnych rezultatów wciąż nie widać. Co więcej, niektóre z przyfrontowych szpitali nie posiadają nawet komputerów i dostępu do sieci, by móc wprowadzić chociażby wspomniane elektroniczne rejestry pacjentów, a tym samym włączyć się do reform na najbardziej podstawowym poziomie.

Kiedy kończę pisać ten artykuł, sąd administracyjny w Kijowie zawiesza Ulanę Suprun w pełnieniu obowiązków ministra ochrony zdrowia…

Przez braki w personelu i braki w aparaturze medycznej ludzie wciąż zmuszani są do podróżowania, niekiedy dziesiątki kilometrów, by wykonać specjalistyczne badania i wrócić z nimi do lekarzy rodzinnych. Jest to szczególnie trudne dla osób niepełnosprawnych czy starszych, których wzdłuż linii frontu nie brakuje.

– Znów dziś nie pojechałam do szpitala na badanie – wyznaje pani Bogdanowa, osiemdziesięcioczteroletnia emerytka z Myroniwśkyj. – Nie miałam siły. Na autobus trzeba dojść na szóstą rano. Później jechać jeszcze godzinę. Odstać swoje w kolejkach i potem zdążyć na ostatni transport do domu po piętnastej. Na taksówkę mnie nie stać, a dziś miałam tak wysokie ciśnienie, że w głowie się kręciło. Jak miałam pojechać?

Magdalena Chodownik jest dziennikarką i fotoreporterką. Członkini Kolektywu Reporterskiego i Hacks Hackers Warsaw.

eprasa.pl 4e2336049b

Halo? Tu kosmos?

Ewelina Szeratics

Pewnego dnia przez głowę pewnego budowlańca, od dwunastu lat na emigracji, przemknęła taka oto myśl – a gdyby tak i on sprezentował swojemu krajowi coś trwałego, co latami będzie służyło jemu i jego mieszkańcom? Niewiele myśląc, udał się do sklepu i zakupił 139 kilometrów niebieskiej, czarnej i białej wełny. I druty.

W Estonii, niewielkim, położonym nad średniej wielkości morzem europejskim kraju, w którym żyje nieduża liczba mieszkańców, ogłoszono konsultacje społeczne. Zapytano studentów, robotników, profesorów, polityków, artystów, dziennikarzy i sportowców, jak ich zdaniem powinny wyglądać obchody setnej rocznicy uzyskania niepodległości. Zaznaczono przy tym, że świętowanie zostanie rozłożone w czasie i że wszystkie imprezy będą trwały w sumie trzydzieści trzy miesiące – wszak do wolności nie dochodzi się jednego dnia. Społeczeństwo zaczęło przerzucać się pomysłami. Niemal każdy wart był uwagi, choć – co ciekawe – większość z nich nie dotyczyła parady wojskowej, składania wieńców, kwiatów, wręczania orderów, medali i odznaczeń. Z rzadkością wspominano o koncertach muzyki klasycznej, przemówieniach, wykładach i wystawach historycznych ukazujących odwagę żołnierzy i ludności cywilnej w walce o uzyskanie niepodległości, choć tych rzecz jasna nie zabrakło. Postanowiono, co następuje: setne urodziny Estonii będą jednocześnie setnymi urodzinami nas wszystkich. „Niech każdy mieszkaniec czuje się zaproszony na imprezę urodzinową!" – postulowali jedni. „Niech o setnych obchodach niepodległości usłyszy cały świat" – skandowali inni. „A nawet wszechświat" – wyrwało się komuś.

Ocalały

Jak powiedziano, tak zrobiono. Przygotowania ruszyły pełną parą. Na pierwszy ogień poszła kultura. Przedstawiciele nadawcy publicznego, razem z narodowym instytutem filmowym bez wahania ogłosili, że „Organizuje się konkurs na stworzenie filmu dokumentalnego, obrazującego relacje naszego kraju z jego obywatelami". W ogłoszeniu dodano, że „Pomysły mogą nadsyłać do końca następnego miesiąca zarówno reżyserzy, jak i scenarzyści, choćby z niewielkim stażem". Powstał projekt

eprasa.pl 4e2336049b

thrillera *Põrgu Jaan*, który w październiku 2018 roku wszedł do krajowych kin, a być może i zawalczy o międzynarodową nagrodę. To historia człowieka wyrzuconego przez morze. Mężczyzna znaleziony na plaży przez mieszkańców pobliskiego dworu, zostaje otoczony opieką z nadzieją, że jest długo wyczekiwanym lekarzem. Atmosferę podgrzewa tło historyczne – akcja rozgrywa się w czasach wojny północnej – oraz fakt, że Jaan niczego nie pamięta.

Kolejni byli architekci. „Pragniemy podarować naszemu krajowi nietypowy prezent – zrewitalizujemy przestrzeń publiczną w czternastu miejscowościach. Powstaną nowe place, skwery, zieleńce i miejsca niedzielnych spacerów. Odnowimy najważniejsze ulice, wyciągniemy ludzi z centrów handlowych położonych na obrzeżach miast i z powrotem nauczymy ich korzystać z przestrzeni miejskiej" – objaśniał Krajowy Związek Architektów. I tak powstały projekty zakładające stworzenie miejsc o nowej jakości. Jednym z nich jest Tõrva, które wiele miesięcy było terenem prac budowlanych – obecnie centrum miasteczka zdobią nowoczesny dworzec autobusowy, podświetlany deptak, otoczony krzewami, ładne i praktyczne miejsca parkingowe dla rowerów oraz wiele innych drobnych elementów, dzięki którym Tõrva nie jest już tym samym miejscem co kiedyś.

Nie próżnowali muzycy – to przecież z muzyką nierozerwalnie związane są dzieje Estonii, stworzyli projekt „Instrument dla każdego dziecka", dzięki któremu w wielu placówkach kilkudziesięcioletnie nieraz instrumenty wymieniono na nowe. Albo też pojawiły się po raz pierwszy. Dysponując 1,2 miliona euro, instytucje muzyczne zaczęły ubiegać się o finansowanie. „Zwracamy aż do 80 procent wartości dowolnego instrumentu" – zachęcali organizatorzy, nie ukrywając, że sponsorzy pragnący ufundować fortepian, kontrabas lub organy, są niezwykle mile widziani. Mariete, uczennica szkoły muzycznej w Värska, jest zachwycona cyfrowym akordeonem, który placówka otrzymała dwa lata temu. W przeciwieństwie do „analogów", w których dźwięk jest wytwarzany przez strumień powietrza pobudzającego drganie blaszki stroików, nowoczesny instrument używa do tego generatorów elektronicznych. Mariete może zapomnieć o nieustannym bólu ramienia, który pojawiał się wraz z poruszaniem mieszkiem, bez którego żaden dźwięk by się nie wydobył. I tak (łącznie) udało się wesprzeć zakup 1700 instrumentów i pozyskać sponsorów, którzy przekazali fundusze na instrumenty o wartości 55 tysięcy euro. Swoje trzy grosze dołożyli również Polacy – w listopadzie minionego roku doszło do wymiany instrumentów muzycz-

Niepodległość świętowana bez patetyzmu. Powstałe dzieła mają być ważne dla wszystkich mieszkańców. Może to być nowy płot, przystanek autobusowy albo książka o tym, jak dana wieś się rozwijała.

eprasa.pl 4e2336049b

nych między obydwoma krajami – do Warszawy przyjechały kanele, a w Viljandi pojawiły się cymbały.

Zwykły człowiek

Mieszkańcy kraju to naród chłopski. Wieś, zagroda, pole i wszystko, co z nimi związane, stanowi ważny element tożsamości narodowej. „Niech każda wioska, miasteczko i mieścina pragnąca uczestniczyć w setnych obchodach święta narodowego wybierze jeden dzień z kalendarza i zorganizuje imprezę urodzinową dla swojego kraju" – zachęcano. Kilkadziesiąt lokalnych społeczności przystąpiło do pracy – do dyspozycji były trzydzieści trzy miesiące. „Ważne, by powstałe dzieło było efektem wspólnych działań. Czymś, co jest szczególnie ważne dla wszystkich mieszkańców. Może to być nowy płot, przystanek autobusowy albo książka o tym, jak dana wieś rozwijała się w ciągu ostatnich stu lat" – tłumaczono.

Janis od lat działa w Ochotniczym Pogotowiu Ratunkowym w Sõrandu. Razem z innymi wolontariuszami niesie pomoc poszkodowanym w wypadkach samochodowych, uczestniczy w gaszeniu pożarów, wyciąga zaplątane w sieci i metalowe siatki zwierzęta, a także wspiera potrzebujących w trakcie śnieżyc. W sierpniu 2018 roku w Sõrandu, z okazji setnych urodzin kraju, mieszkańcy zorganizowali huczną imprezę – jest co świętować: budynek straży pożarnej, będącej częścią Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego, dostał nowy dach i kuchnię. A wszystko to wyłącznie dzięki pracy wolontariuszy. Poza Sõrandu, w efekcie projektu „Kraj 100 w każdej wiosce" – powstało wiele inicjatyw, wśród których warto wspomnieć o odnowionym lokalnym domu kultury, nadmorskiej promenadzie, nowo powstałym centrum turystycznym czy nowym moście.

Ta estońska flaga ma wymiary 10 na 16 metrów. Obecnie można ją oglądać w Muzeum Narodowym w Tartu, a być może znajdzie się w *Księdze rekordów Guinessa*.

Budowlaniec, który chciał sprezentować krajowi coś trwałego, zakupił 139 kilometrów niebieskiej, czarnej i białej wełny. I druty. A potem zasiadł w fotelu i zabrał się do pracy. „Moja flaga ma wymiary 10 na 16 metrów. Obecnie można ją oglądać w Muzeum Narodowym w Tartu, a być może znajdzie się w *Księdze rekordów Guinessa*" – rozmarzył się przed kamerami krajowej telewizji kilkanaście miesięcy później. Te uchwyciły również jego żonę, skrywającą za nieśmiałym uśmiechem grymas niezadowolenia z powodu tumanów kurzu, wzbijających się co dzień ze stukilogramowej flagi. „Cieszę się, że jest już na ukończeniu" – kobieta wycedziła przez zęby. I dodała, że na szczęście najmniej na projekcie ucierpiał domowy budżet (4 tysiące euro, które kosztowała wełna, to

eprasa.pl 4e2336049b

wspólny wysiłek wielu osób, w tym emigrantów, takich samych jak oni). I tak oto zwykły człowiek, mieszkający po drugiej stronie zatoki, dokonał czegoś niezwykłego.

Wilki morskie

Skoro już o wodzie mowa, a Estonia, jak wiadomo, leży nad morzem, do głosu dopuszczono wilki morskie, morsy, surferów, nurków oraz członków Krajowej Ligi Jachtowej. „Stwórzmy objazdową szkołę żeglowania, kitesurfingu, kajakarstwa oraz innych sportów wodnych i zaprośmy dzieciaki do uczestnictwa w kilkudniowych szkoleniach" – zaproponowano. Powstała szkoła żeglarska Przyjaciele Morza, która w rozstawianych na plażach kontenerach, wypełnionych po brzegi sprzętem do sportów wodnych, podróżuje po całym kraju, odwiedzając nadmorskie wczasowiska. Kiedy projekt Meresõber zawitał do pięciotysięcznej Räpiny, Kadri, która wraz z bratem Peeterem całe wakacje spędzała w domu, nie miała wątpliwości, że chce nauczyć się wiosłować. Niebieski blaszany kontener, który dwa dni wcześniej przywieziono na plażę, wyglądał jak malutki domek ozdobiony sztandarami z logotypami sponsorów. Przed nim stała instruktorka, która zapraszała wszystkie dzieci do wspólnej zabawy. Po kilkunastu minutach teorii rozpoczęła się prawdziwa zabawa – dzieciaki dostały kapoki, wiosła i w końcu mogły wsiąść do kajaków. I tak przez pięć dni z rzędu, bo tyle trwały warsztaty.

Nizinny krajobraz wraz z lasami pokrywającymi połowę kraju, niemal 1,5 tysiąca jezior, ponad dwoma tysiącami wysp oraz kilkoma pagórkami, z których najwyższy ma 317 metrów, od setek lat stanowił inspirację dla lokalnych i zagranicznych artystów. Nic się nie zmieniło, dlatego krajowe instytucje sztuki współczesnej doszły do porozumienia w sprawie upominku na setną rocznicę niepodległości kraju: „Stwórzmy projekt »Sto Pejzaży« i poprośmy artystów, by w wybrany przez siebie sposób przystąpili do pracy i przygotowali wystawy, instalacje, sztuki performatywne, a nawet zorganizowali koncerty". I tak nad rzekami, jeziorami i na wyspach zaczął unosić się duch artystyczny, malujący niewidzialnym pędzlem sto pejzaży niepodległościowych. Jeden z nich „namalował" performer Karel Koplimets, który postanowił opowiedzieć historię relacji estońsko-fińskich przez pryzmat puszek po piwie. Te, jeszcze pełne, zakupione przez Finów w Estonii (bo tam taniej!) podróżują promem na trasie Tallinn–Helsinki, na miejscu są opróżniane i puste lądują w śmieciach. Karel dał im drugie życie, używając ich do budowy tratwy, którą w kilka godzin przepłynął Zatokę Fińską. W ten sposób estońskie puszki trafiły do domu, a jego dzieło zdobiło przestrzeń tallińskiego Muzeum Sztuki Nowoczesnej KUMU.

Nie obeszło się bez projektu skierowanego do dzieci. Ciężarówka wypełniona po brzegi zabawkami, sprzętami do rekreacji, składaną sceną, głośnikami, balona-

eprasa.pl 4e2336049b

mi, mikrofonami oraz wszystkim tym, co jest potrzebne do zorganizowania koncertu, przedstawienia i warsztatów, wyjechała na krajowe drogi, aby w ramach projektu „Dziecięca Republika" nieść radość dzieciakom z sześćdziesięciu miejscowości, z których wiele leży na obrzeżach, bez stałego dostępu do rozrywek. Kiedy wielka ciężarówka przyjechała do Jõgeva, Emma wracała z mamą z zakupów. Przystanęły, aby zobaczyć, jak olbrzymi pojazd przeobraża się w scenę teatralną, na której pojawiają się najpierw rekwizyty, a potem ucharakteryzowani aktorzy. Niedługo potem kilkadziesiąt dzieciaków i ich rodzice w milczeniu chłonęły każdy dźwięk i ruch.

Co z kosmosem?

We wszystkich tych miejscach, ale także w miastach, miasteczkach i wsiach, w księgarniach, restauracjach, w szkołach, urzędach miast, w domach, kościołach i na tramwajach, widnieje logo obchodów niepodległości: skromna liczba osiemnaście, która ułożona horyzontalnie wygląda jak sto. Każdy może ją ściągnąć z internetu i umieścić w dowolnym miejscu, nie pytając nikogo o pozwolenie. Może zatem wydrukować koszulkę, torbę i torebkę papierową, długopis, notatnik i chusteczki do nosa. Może też zmienić – również bez pytania – barwy logo obchodów, wybierając te, które najmocniej kojarzą się z niepodległością. Niewiarygodne, czyż nie?

Performer Karel Koplimets postanowił opowiedzieć historię relacji estońsko-fińskich przez pryzmat puszek po piwie.

„A co z kosmosem?" – ponownie wyrwało się człowiekowi z początku historii, co mu się wszechświat zamarzył. Czy w kosmosie również będzie nas słychać? „A jakże" – zadecydowali naukowcy ze stołecznego Uniwersytetu Technicznego i wspólnie ze studentami stworzyli satelitę, który latem tego roku zostanie wystrzelony w kosmos. W jego pamięci umieszczono nagranie jednej z najsłynniejszych pieśni narodowych, wykonanej przez setki tysięcy mieszkańców tego niewielkiego kraju w trakcie dorocznego festiwalu pieśni i tańca. Utwór rozpoczyna się od słów: „On lata od kwiatu do kwiatu, leci w stronę pszczelego drzewa, spieniona twarz podnosi się, nadlatuje w kierunku pszczoły".

Kiedy gruba warstwa śniegu pokryła nizinny krajobraz gęsto porośnięty sosnami, świerkami i brzozami, a mieszkańcy Estonii wyciągnęli z piwnic narty biegowe, łyżwy i sanki, w miasteczku Tapa, mieszczącym między innymi bazę wojskową NATO, kończono budowę repliki pociągu pancernego numer 7 „Wabadus" (co znaczy „wolność"), symbolizującego wygraną wojnę o niepodległość z lat 1918–1920. 4 stycznia 2019 roku pojazd składający się z czterech wagonów: szpitalnego, artyle-

eprasa.pl 4e2336049b

ryjskiego, szturmowego i karabinów maszynowych, ruszył w trasę biegnącą wzdłuż niegdysiejszej linii frontu, rozpoczynającą się w Kehra na północy kraju, a kończącą w granicznej Valdze na południu. W każdej z miejscowości, do których przyjeżdżał pociąg, odbywały się oficjalne ceremonie, darmowe koncerty, jarmarki i wystawy, które oglądali mali i duzi, starzy i młodzi, lokalni i przyjezdni, słowem wszyscy, którzy danego dnia przebywali na miejscu.

Replika pociągu służyła również za tło rekonstrukcji bitwy o Tapa, w setną rocznicę jej wyzwolenia z rąk wroga. Mimo temperatury znacznie poniżej zera licznie zgromadzeni oglądali inscenizację starcia dwóch wrogich sił, przedstawioną realistycznie przez ponad dwustu statystów. W powietrzu świstały kule, ziemia trzęsła się pod wpływem wybuchu prochu, a z gardeł walczących wyrywały się odgłosy zagrzewające wszystkich do boju.

W kolejnych miesiącach nie zabraknie przedstawień, wystaw, koncertów, pokazów filmów oraz innych atrakcji dowodzących, jak niezwykłymi i wyjątkowymi ludźmi są Estończycy. Każdy z ponad miliona trzystu mieszkańców – bo tylu jest w Estonii obywateli – na swój sposób przeżywa obchody setnej rocznicy uzyskania niepodległości. I każdy z nich ma tylko jedno życzenie: niech żyje niepodległa Estonia, na wieki wieków.

Ewelina Szeratics jest dziennikarką, działaczką społeczną; współpracowała między innymi z Polskim Radiem, PAP i „Dziennikiem Bałtyckim". Mieszka w Estonii.

eprasa.pl 4e2336049b

Teatr na barykadach

Jadwiga Rogoża

Teatr.doc dosłownie i w przenośni działa w podziemiu. Dwie jego siedziby z trzech dotychczasowych mieściły się w suterenach. Przez lata Teatr.doc miał spokój, jego twórczość traktowano jako nieszkodliwy margines. Sytuacja zmieniła się w 2014 roku po aneksji Krymu.

Teatr.doc od początku swojego istnienia zmagał się z rzeczywistością, której bezlitośnie podstawiał lustro. Zmiany siedziby, rajdy policji i innych służb, szykan i grzywny. Podołał, stając się unikatowym w skali rosyjskiej zjawiskiem teatru dokumentalnego, opartego na gorących jeszcze faktach, i równie rzadkim w Rosji zjawiskiem teatru działającego bez grosza państwowych dotacji. A przede wszystkim, jak sam się określał, „teatrem, który się nie boi" i „teatrem, w którym się nie gra, tylko żyje". W ubiegłym roku stanął przed bodaj największym wyzwaniem – niemal jednoczesną śmiercią obojga jego założycieli, Michaiła Ugarowa i Jeleny Greminy.

Teatr, który oskarża

Katastrofa okrętu Kursk, atak na szkołę w Biesłanie, śmierć Siergieja Magnitskiego, więźniowie z placu Błotnego, wojna na Donbasie, uwięzienie Olega Sencowa, tortury na komisariatach – wiele trudnych czy wręcz haniebnych wydarzeń ostatnich lat zawędrowało na deski teatru. Czasami przedstawionych w formie farsy, jak *Berlusputin* Dario Fo, ale częściej w formie niemal czystego dokumentu, bez osłony satyry, z cytatami z protokołów sądowych, zeznań i kronik kryminalnych, z rozmów z uczestnikami wydarzeń bądź ich bliskimi. Prowokacyjne były już same tytuły, jak choćby *150 przyczyn, by nie bronić ojczyzny* – mimo że sztuka o piętnastowiecznym upadku Konstantynopola jest w istocie wielkim oskarżeniem wobec wojny. Prowokacyjna wydaje się też synchronizacja niektórych przedstawień z kalendarzem politycznym – dokument o kijowskim Majdanie pokazano w teatrze w 2014 roku, na szczycie nastrojów antyukraińskich, a premiera czytania sztuki *Tortury* odbyła się 18 marca 2018 roku, w dniu wyborów prezydenckich. W obu przypadkach pokazy zakończyło wtargnięcie policji, która legitymowała widzów i demontowała sprzęt. Policja pojawiła się także w siedzibie Stowarzyszenia Memoriał, gdzie Teatr.doc wystawił sztukę o czeczeńskim obrońcy praw człowieka Ojubie Titijewie, areszto-

eprasa.pl 4e2336049b

wanym pod pretekstem posiadania narkotyków. Sztuki teatru wpisywało na czarną listę Ministerstwo Kultury; Gremina i Ugarow wzywani byli na przesłuchania do prokuratury; w 2016 roku Ugarow na polecenie Służby Pogranicznej FSB nie został wypuszczony z Rosji na *tournée* w Niemczech. I dalej wystawiali swoje.

Jednym z najpopularniejszych spektakli teatru, granym już od ośmiu lat, jest *Casting*. Apolityczna z pozoru sztuka pokazuje przebieg tajemniczego konkursu o niejasnych kryteriach, w którym bez widocznego powodzenia startuje młody mężczyzna uosabiający miernotę i porażkę. Bohater poddawany jest kolejnym, coraz bardziej upokarzającym zadaniom i wreszcie, doprowadzony do ostateczności, wybucha. Wylewa się z niego wściekły, bełkotliwy i niecenzuralny skowyt wiecznego „loosera", który przeraża nawet jego dręczycieli. Paradoksalnie, właśnie ta scena przesądza o wygraniu przezeń castingu – tajemniczy, pozostający za kadrem producenci uznają go za „współczesnego bohatera", niezbędnego do realizacji ważnego, choć nienazwanego projektu. W momencie podpisania kontraktu obsadzającego „bohatera naszych czasów" w pewnej ważnej roli, następuje diametralne odwrócenie ról – to on nagle staje się górą, a dotychczasowi „dręczyciele" poddani są tym samym upokarzającym praktykom i czynią to bez szemrania, uznając nagły autorytet „bohatera". Sztukę kończy scena, w której nasz błękitnooki bohater o nierzucającej się w oczy twarzy pojawia się na ekranie telewizyjnym, przemawiając do „drogich obywateli" kwiecistą mową *à la* Ross O'Grodnick. Skojarzenia są oczywiste.

Katastrofa Kurska, atak na szkołę w Biesłanie, śmierć Magnitskiego – wiele trudnych czy wręcz haniebnych wydarzeń ostatnich lat zawędrowało na deski teatru.

Teatr podziemny

Teatr.doc dosłownie i w przenośni działa w podziemiu. Dwie jego z trzech dotychczasowych siedzib mieściły się w suterenach. Pierwsza na moskiewskich Patriarszych Prudach, na długo zanim stały się modne. W pierwotnym składzie zaczynał z nimi Iwan Wyrypajew, który wystawił tam głośny *Tlen*, by później przenieść się ulicę dalej i objąć własny teatr Praktika. Pracował z nimi również znany aktor i reżyser Dmitrij Brusnikin, który odszedł równie nagle jak Gremina i Ugarow, w sierpniu 2018 roku.

Przez lata Teatr.doc miał spokój, jego twórczość najwyraźniej traktowano jako nieszkodliwy margines. Sytuacja zmieniła się w 2014 roku, po aneksji Krymu, która diametralnie zmieniła rosyjską rzeczywistość. Teatr.doc wyrzucono z Patriarszych, nie pomogły apele uznanych twórców rosyjskich i zagranicznych, między innymi

eprasa.pl 4e2336049b

Toma Stopparda. Notabene, zwolnione przez teatr miejsce stoi puste po dziś dzień. Kolejna siedziba na ulicy Spartakowskiej (właściwy adres dla buntowników), podźwignięte z ruiny i wyremontowane własnym sumptem, teatr zagrzał ledwo pół roku. Komisja złożona z przedstawicieli Federalnej Służby Bezpieczeństwa, Ministerstwa ds. Sytuacji Nadzwyczajnych i policji kryminalnej uznała, że teatr naruszył zasady utylizacji odpadów – umowę najmu rozwiązano, a teatr musiał zapłacić wysoką grzywnę. Teatr.doc przeniósł się ponownie, zajmując dwie piwnice w bramie budynku z 1914 roku, w zaułku nieopodal Czistych Prudów, z ascetyczną salą sceniczną, gdzie za całą scenografię służyło krzesło, a reszta była grą wyobraźni. Jak stwierdziła kiedyś Jelena Gremina, „jeśli przepędzą nas jeszcze raz – znajdziemy kolejne pomieszczenie i będziemy w nim wystawiać. Mamy widzów, którzy pójdą za nami wszędzie". Słowa te okazały się prorocze. W listopadzie 2018 roku teatr ponownie eksmitowano, obecnie przeprowadza się do siedziby przy ulicy Kazakowa w okolicach Dworca Kurskiego. Nowe sąsiedztwo też jest symboliczne – Teatr.doc będzie się mieścił na tyłach teatru Gogol Centr Kiriłła Sieriebriennikowa, oczekującego na wyrok w areszcie domowym.

Twórcy teatru mawiali: „jeśli przepędzą nas jeszcze raz – znajdziemy kolejne pomieszczenie i będziemy w nim wystawiać". I tak było.

Teatr.doc właściwie nie ma stałej trupy aktorskiej – gości różnych twórców przychodzących z własnymi projektami. Wielu młodych i nieobojętnych, czasem grających w „poważnych" teatrach, lecz tęskniących do mówienia własnym głosem, dostaje szansę wystawienia na jego deskach czegoś własnego. Niekiedy są to mocno surowe pierwociny młodych twórców, kiedy indziej – dojrzałe sztuki z udziałem wziętych, cieszących się komercyjnym uznaniem aktorów, takich jak Julia Aug czy Anatolij Biełyj. Teatr zrealizował kilka projektów z opozycyjną „Nowają Gazietą", a jej dziennikarka Jelena Kostiuczenko napisała wstrząsający scenariusz *Nowej Antygony* o matkach Biesłanu.

Na garnuszku czy na haczyku państwa?

Teatr.doc wyróżnia się na tle środowiska artystycznego pozostającego na garnuszku państwa również tym, że nie bierze ani grosza państwowych dotacji. U zarania działalności został wsparty przez fundację George'a Sorosa, w latach miedwiediewowskiej „odwilży" dostał kilka dotacji z budżetu na projekty socjalne, na przykład wykorzystywanie metod teatralnych w pracy z dziećmi ze szkół specjalnych. W ostatnich latach utrzymuje się z wpływów za bilety. Przy czym warto zaznaczyć, że ceny jego biletów w Moskwie – mieście przebogatej oferty teatralnej, jednak niezwykle

eprasa.pl 4e2336049b

wygórowanej cenowo – są przystępne nawet dla ludzi o średnich dochodach. W sytuacjach kryzysowych teatr ogłasza zbiórki – i chętnych nie brakuje, a do remontu kolejnych siedzib zgłaszają się aktorzy, widzowie i przyjaciele. Michaił Ugarow zdradził kiedyś, że czasem różni ludzie proponują im sponsoring czy dotacje – zwykle w okresie poprzedzającym wybory. Teatr odmawia.

Dotacje budżetowe dla absolutnej większości teatrów, także prywatnych, są w Rosji normą. Z wyliczeń ekspertów wynika, że sprzedaż biletów pokrywa średnio 25–30 procent potrzeb teatru, resztę dokłada państwo w formie różnych subsydiów i dotacji. Zjawisko prywatnego mecenatu kultury jest rzadkie – prawo nie zachęca do tego sponsorów, nie udzielając im w zamian żadnych ulg podatkowych, biznes zaś najczęściej wspiera te inicjatywy kulturalne, na które wskażą rządzący, i niekoniecznie są one wysokich lotów. Haczykiem, na którym „wiszą" teatry i ich kierownictwo, jest skomplikowanie, nieprzejrzystość czy wręcz absurdalność przepisów dotyczących rozliczania dotacji. Dla przykładu, środki z Ministerstwa Kultury przeznaczane na dany projekt mogą być przekazane twórcom dopiero po zakończeniu prac nad spektaklem (*sic!*). W trakcie wielomiesięcznych nieraz przygotowań reżyser musi pokrywać wydatki i honoraria z własnej kieszeni… bądź kombinować. Tajemnicą poliszynela jest fakt, że twórcy omijają te ograniczenia, powołując fikcyjne firmy, wystawiające fikcyjne faktury za rzekomo wykonane prace, co umożliwia wypłatę gotówki w trakcie przygotowań. Rozliczanie dotacji i wypełnianie dokumentacji finansowej staje się pracochłonnym i ryzykownym zajęciem – zasady te zresztą nie dotyczą tylko teatrów, lecz rozciągają się na całą sferę budżetową.

Drugą stroną medalu jest klientelizm, jaki panuje między władzą (patronem, dysponującym zasobami, ale i dyktującym zasady i granice zachowania) a środowiskami artystycznymi, które są nagradzane za lojalność czy konformizm. Siedzące na państwowym garnuszku środowisko teatralne rzadko uznawane jest w dzisiejszych realiach za „sumienie narodu"; nawet uznani twórcy ważą słowa, gdy idzie o wyrażenie sprzeciwu wobec władzy. Przypadki serwilizmu bywają nieraz karykaturalne. Znany w środowisku teatralnym – choć nie z wystawianych sztuk – jest teatr Rosyjska Antrepryza im. A. Mironowa z Petersburga, który co roku otrzymuje wysoką dotację z miejskiego departamentu kultury. Jego kierownik artystyczny Rudolf Furmanow był w ostatnich wyborach prezydenckich mężem zaufania Władimira Putina, a w 2014 roku sygnował list poparcia dla polityki Kremla w sprawie aneksji Krymu.

Powszechność państwowego finansowania, a jednocześnie arbitralność zasad daje „instancjom" instrument nacisku na praktycznie dowolnego reżysera i menedżera kultury. Ilustruje to choćby sprawa reżysera teatralnego i filmowego Kiriłła Sieriebriennikowa, który został oskarżony o malwersacje finansowe i od 2017 roku przebywa w areszcie domowym. Postawiono mu między innymi zarzut pozyskiwania

eprasa.pl 4e2336049b

gotówki na przygotowanie spektakli z przyznanych dotacji wspomnianą powyżej metodą zakładania fikcyjnych firm – to rozwiązanie, które stosuje *gros* twórców. Mimo że większość obserwatorów nie ma wątpliwości, że prześladowanie Sieriebriennikowa ma podłoże polityczne bądź personalne, a zeznania obciążające złożyła pod presją starsza, schorowana księgowa, oskarżenie już drugi rok przetrzymuje reżysera w areszcie i piętrzy zarzuty.

Uderzenie w Sieriebriennikowa, które wywołało gigantyczny oddźwięk w Rosji i za granicą, może przy okazji służyć dyscyplinowaniu całego środowiska artystycznego. Sieriebriennikow rzeczywiście uchodził za niepokornego reżysera, choć polityczna ostrość spektakli jego teatru Gogol Centr nie ma porównania z produkcjami Teatru.doc. Wprawdzie wystawiał i gościł sztuki o wymowie antytotalitarnej (*Las*, *Pasternak*) czy antyklerykalnej (spektakl, a następnie film *Uczeń* nagrodzony w Cannes), jego „osobność" była bardziej estetyczna i obyczajowa niż polityczna, a jego teatr raczej epatował przekraczaniem konwencji i poetyką wolnościową niż odwołaniami do bieżącej polityki. Sam Sieriebriennikow kolebał się między sprzeciwem wobec ograniczania wolności przez władze a przyjaźnią z przedstawicielami Kremla, na przykład z doradcą prezydenta Władisławem Surkowem (wystawił w swoim teatrze jego sztukę *Kołozera*) i ludźmi z dawnego jelcynowskiego klanu zwanego Rodziną. Kontakty te, według niektórych relacji, mogły stać się źródłem jego problemów, bowiem „klan rodzinny" utracił dawne wpływy. Dla wielu artystów jednak kazus Sieriebriennikowa stał się kolejnym przyczynkiem do dyskusji, ile „kosztują" państwowe pieniądze i czy środowiska twórców mogą sobie pozwolić na rezygnację z nich. Teatr.doc był w tej komfortowej sytuacji, że nie musiał zadawać sobie takich pytań.

Love story behind the project

Zabawnym paradoksem jest to, że Teatr.doc – niezłomny, chropawy, sięgający po wstydliwe, mało estetyczne sfery życia, ale nie romantyczny – zrodził się 14 lutego 2002 roku z wielkiej miłości dwojga jego twórców. A jego rodzice założyciele, trochę jak w bajcie, urodzili się w tym samym roku (1956) i zmarli niemalże jednego dnia.

Początki drogi życiowej Jeleny Greminy i Michaiła Ugarowa nie były oczywistą zapowiedzią dysydenckich życiorysów. Gremina, córka klasyka radzieckiej dramaturgii Anatolija Grebniowa, była dziewczynką z zamożnego inteligenckiego domu, zamieszkałą w artystycznej moskiewskiej dzielnicy Aeroport, absolwentką wydziału dramaturgii prestiżowego Instytutu Literackiego im. Mikołaja Gorkiego. Pisała scenariusze, ekranizowane i wystawiane w teatrach Moskwy i Petersburga; w jej sztuce *Po drugiej stronie lustra* granej w renomowanym teatrze MChAT wystąpiła legendarna Galina Wiszniewska. Ugarow również studiował w Instytucie Literac-

eprasa.pl 4e2336049b

kim na tym samym roku, choć wtedy się minęli – ale jak tu nie wspomnieć *Miłości od pierwszego wejrzenia* Wisławy Szymborskiej: „Były klamki i dzwonki, na których zawczasu dotyk kładł się na dotyk". Mimo nieukończenia studiów Ugarow został wziętym scenarzystą, obsypanym prestiżowymi nagrodami, w tym teatralną Złotą Maską i telewizyjną TEFI za scenariusze do popularnych seriali telewizyjnych.

Ich znajomość zaczęła się od recenzji sztuki Ugarowa *Gołębie*, o którą poproszono Greminę. Szybko zostali parą. Tych dwoje ciepłych, skromnych, z pozoru nieporadnych inteligentów z dobrych domów stworzyło teatr, który mówił i krzyczał – nieraz niecenzuralnie – głosem słabych, wykluczonych, bezdomnych, ubogich i uwięzionych. Ciekawe, że teatr tworzyli po partnersku, Jelena nie stała się służebnicą utalentowanego męża, a mówiła w teatrze i poza nim własnym głosem. Co jeszcze bardziej zaskakujące, po latach dowartościowywania „wykluczonych" ponownie poszli pod prąd. Stworzyli projekt *Ludzie z drugiej strony* udzielający głosu „onym" – współpracownikom reżimu, policjantom, funkcjonariuszom więziennym, próbując dociec, co dzieje się w duszy oprawcy. Jak mówiła Gremina, akt przemocy jest traumą zarówno dla ofiary, jak i dla funkcjonariusza. Trzeba przyznać, że ich wierne audytorium nie zawsze było skłonne do wsłuchiwania się w racje „złych". Do legendy przeszła już reakcja obrończyni praw człowieka Ludmiły Aleksiejewej podczas sztuki *1:18* o śmierci w więzieniu Siergieja Magnitskiego. Wzburzona Aleksiejewa krzyknęła do aktorki odtwarzającej rolę lekarki więziennej: „Nie wstyd pani? Dlaczego nie pójdzie pani do pracy w przychodni?".

Wielu młodych i nieobojętnych, czasem grających w „poważnych" teatrach, lecz tęskniących do mówienia własnym głosem, dostało szansę na wystawienie na deskach Teatru.doc czegoś własnego.

Ciemną stroną niezłomności było ogromne zmęczenie, do którego przyznawali się oboje. Zmęczenie ciągłą nagonką, przeprowadzkami, niepewnością, ale też frustracja kondycją środowiska teatralnego, tchórzostwem artystów w obliczu wydarzeń – od spraw politycznych po proces Sieriebriennikowa.

Ugarow zmarł nagle 1 kwietnia 2018 roku na atak serca, w wieku zaledwie sześćdziesięciu dwóch lat – pośród rozpoczętych prac, pomysłów i planów na przyszłość. Niecały miesiąc po jego śmierci Gremina napisała coś, co można uznać za najlepsze epitafium dla nich obojga, za manifest spełnienia odrzucający współczucie:

> Nie trzeba kondolencji.
>
> Miałam ogromne szczęście, że się spotkaliśmy – równie dobrze mogło się to nie zdarzyć. Zbyt różni byliśmy. Ale raz w życiu miałam szczęście – ja, człowiek skrzyw-

eprasa.pl 4e2336049b

dzony, nieszczęśliwy, niezdolny – jak sądziłam do momentu naszego spotkania – do szczęścia w miłości. Spotkaliśmy się, poznaliśmy, byliśmy razem.

Miałam szczęście, że przeczytałam to, co pisał. Miałam szczęście, że widziałam, jak tworzy spektakle, choć nie pojęłam nigdy, na czym polega magia jego pracy z artystami.

Że nasi synowie z pierwszych małżeństw stali się rodziną dla nas i dla siebie nawzajem.

Że robiliśmy razem Teatr.doc.

Że jesteśmy razem już prawie dwadzieścia pięć lat – miało minąć we wrześniu 2018 roku, on mi ciągle powtarzał: „niemożliwe, że to już 25, ludzie tyle nie żyją" – i rzeczywiście, nie żyją, w naszym przypadku.

Tak dobrze, jak było, nie może być zawsze.

(wpis z profilu Jeleny Greminy na Facebooku, 27 kwietnia 2018 roku)

Zmarła dwa tygodnie później, czterdzieści pięć dni po śmierci męża.

A teatr rozpoczyna nowe życie, pod nowym adresem. Bez nowego dyrektora – zespół zdecydował się na razie utrzymać kierownictwo kolegialne. Z nowymi projektami, wśród których jest przedstawienie o samych Jelenie i Michaile na podstawie ich dzienników, kontynuacja ich pomysłów – projektu Ugarowa „Antyszkoła" (zajęcia terapeutyczne z użyciem technik aktorskich), festiwalu sztuk dokumentalnych „Polowanie na rzeczywistość", wspólnego dokumentalnego laboratorium teatru i „Nowej Gaziety".

Teatr.doc gra dalej. I zaprasza – teraz na ulicę Kazakowa.

Jadwiga Rogoża jest analityczką Ośrodka Studiów Wschodnich; radczyni Ambasady RP w Moskwie w latach 2015–2018.

eprasa.pl 4e2336049b

REKLAMA

Zamek Wojnowice

NOCLEGI - RESTAURACJA - SALE KONFERENCYJNE - KONCERTY

www.zamekwojnowice.com.pl

eprasa.pl 4e2336049b

REKLAMA

„To właśnie tam, gdzie pomysłowość i dobre chęci zderzają się z oporem niedoskonałego materiału, toporną techniką, a czasem z brakami warsztatowymi, powstaje prawdziwy wyrób".

OLGA DRENDA, *WYROBY. POMYSŁOWOŚĆ WOKÓŁ NAS*

Już w księgarniach i na karakter.pl!

eprasa.pl 4e2336049b

REKLAMA

OBLICZA
DWUDZIESTEGO
PIERWSZEGO
WIEKU

POLINA ŻEREBCOWA

MRÓWKA W SŁOIKU

Dzienniki czeczeńskie 1994–2004

Koniec dzieciństwa z okrutną wojną w tle. Polina Żerebcowa przez dziesięć lat wojen czeczeńskich opisywała w swoim dzienniku dorastanie i młodość w Groznym – mieście zniszczenia, nienawiści i śmierci. W mieście, gdzie każdy mógł stać się wrogiem lub wybawcą, szczególnie gdy – jak Autorka – pochodził z rodziny, w której byli i Czeczeni, i Rosjanie. Polinie Żerebcowej udało się przeżyć i ocalić w sobie człowieczeństwo.

Połączenie dziecięcej wrażliwości z absolutnym literackim, poetyckim słuchem oraz zmysłem obserwacji dało prozę wybitną. Autorka wie, że o doświadczeniach granicznych należy pisać lakonicznie, bez przymiotników: im prościej i mniej, tym lepiej. I straszniej.

Wojciech Górecki
(analityk Ośrodka Studiów Wschodnich, autor książek o Kaukazie i Azji Centralnej)

Przełożyła z rosyjskiego:
Agnieszka Knyt

Wiersze przełożył:
Michał B. Jagiełło

www.karta.org.pl

E-book dostępny na portalach
ibuk.pl, publio.pl, woblink.pl, virtualo.pl

Dotychczas w serii „Oblicza XXI wieku" ukazała się ***Białoruska ruletka*** Andreja Sannikowa

WYDAWCA
Ośrodek Karta

PATRONAT MEDIALNY
Nowa Europa Wschodnia

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO
NARODOWY PROGRAM ROZWOJU CZYTELNICTWA

PUBLIKACJA DOFINANSOWANA Z PROGRAMU WSPARCIA PRZEKŁADÓW LITERATURY ROSYJSKIEJ TRANSCRIPT FUNDACJI MICHAIŁA PROCHOROWA
transcript

eprasa.pl 4e2336049b

REKLAMA

Wschód w Twoim domu bez większego zachodu

Roczna prenumerata

TYLKO 85 zł.

Prenumerata dwuletnia

TYLKO 160 zł.

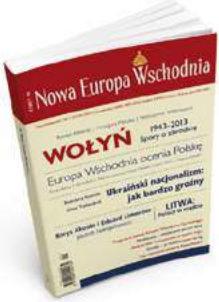

Szczegóły na:
www.new.org.pl

eprasa.pl 4e2336049b

Recenzje

Wojną narysowana

Polina Żerebcowa, *Mrówka w słoiku. Dzienniki czeczeńskie 1994–2004*, tłum. Agnieszka Knyt, Fundacja Ośrodka KARTA, Warszawa 2018

Ośrodek KARTA nie boi się trudnych i niejednoznacznych tematów, wierząc, że „głosy ze środka najważniejszych wydarzeń" pomagają zrozumieć świat, w którym żyjemy. Najnowsza publikacja fundacji, wydana w ramach serii „Oblicza XXI wieku" doskonale wpisuje się w wyżej przytoczone motto.

Polina Żerebcowa – wielokrotnie nagradzana pisarka i dziennikarka, urodziła się w Groznym dziewięć lat przed wybuchem I wojny czeczeńskiej w 1994 roku. Autorka na stronach swojego dziennika – najwierniejszego powiernika, opisuje – wydawałoby się – typowe problemy dorastającej dziewczynki: trudne relacje z matką, przyjaźnie szkolne i podwórkowe, pierwsze zauroczenia, wrażenia po przeczytaniu licznych książek (w domu ukochanego dziadka była bogata biblioteka). Wojna spowodowana agresją Rosji na Czeczenię przedstawiona jest fragmentarycznie, jakby przy okazji – stanowi niby tło narracji, prowadzonej przez utalentowane, wrażliwe i bystre dziecko. Jednak śmierć i przemoc tak bardzo wdzierają się w codzienność, że chcąc nie chcąc, formują motyw przewodni książki; wyrażają się w codziennej walce o przetrwanie: „spacerami" pod bombami i odłamkami w poszukiwaniu żywności i wody, handlowaniem na rynku z matką (lub bez niej), zamiast właściwej nauki, chłodem i ciemnością (przez całe tygodnie Grozny bywał odcięty od elektryczności, gazu i ogrzewania), bójkami z rówieśnikami na tle etnicznym, zmaganiem w poszukiwaniu własnej tożsamości i miejsca w społeczeństwie.

Okropieństwa wojny opisane przez Żerebcową w prostolinijny sposób, z typową dla dziecka „oczywistością", przytłaczają czytelnika. Bagaż emocjonalny narasta wraz z rozwojem konfliktu i metamorfozą społeczeństwa, w którym mieszka Polina. Ze stron dziennika możemy wywnioskować, że Grozny początku lat dziewięćdziesiątych minionego stulecia to duże, wielonarodowe i wielowyznaniowe miasto. Polina wychowana w wie-

eprasa.pl 4e2336049b

lokulturowej rodzinie (jej matka i babka są Rosjankami, ojciec i dziadek – Czeczenem, druga babcia – polską Żydówką, drugi dziadek – Kozakiem dońskim) obchodzi zarówno święta chrześcijańskie, jak i muzułmańskie. Czyta Biblię, Koran, Torę, fascynuje się buddyzmem i regularnie uprawia jogę.

Tymczasem wojna rodzi potężną falę nacjonalizmu i agresji. „Nieczeczeńskich" mieszkańców pogrążanej w walkach republiki (w szczególności tych z rosyjskimi nazwiskami) – byłych sąsiadów i znajomych uważa się na współwinnych niekończących się ostrzałów i śmierci. Odbiera się im mieszkania, poddaje ostracyzmowi, w końcu wygania z kraju – pod koniec wojny etniczni Czeczeni stanowią ponad 95 procent mieszkańców stolicy, chociaż dziesięć lat wcześniej ledwo przekraczali 30 procent. A przecież „obcy" – jak wielokrotnie podkreśla Żerebcowa – narażeni są na utratę życia i zdrowia tak samo jak „Czeczeni". Rosyjskie bomby nie wybierają. Giną pod nimi nie tylko „separatyści", ale także rosyjscy, nastoletni żołnierze, pod groźbą rozstrzelania zmuszeni do walki przez Kreml.

Żerebcowa na stronach *Mrówki w słoiku* ciekawie opisuje proces formowania własnej tożsamości. Obciążona społecznym ostracyzmem: dla Czeczenów nie jest i nigdy nie będzie Czeczenką (nieważne, że nauczy się języka czeczeńskiego i będzie ubrana skromniej niż niejedna muzułmanka), a dla Rosjan – Rosjanką, aktywnie angażuje się w działalność publicystyczną i społeczną. Specjalizuje się w dziennikarstwie śledczym, między innymi pomaga Natalii Estemirowej zebrać dane o osobach, które zginęły podczas ostrzału rynku w Groznym. Jest też coraz bardziej świadoma wartości swoich zapisków. Podczas wyjazdu z Czeczenii do Stawropola grube zeszyty są jej najbardziej wartościowym (i najcięższym) bagażem. Już wtedy Polina wiedziała, że będzie chciała je opublikować.

Dzienniki Żerebcowej nie są zwykłym dokumentalnym świadectwem wojennych doświadczeń, a sfabularyzowaną, pięknie opowiedzianą historią ludzkiego życia. *Mrówka w słoiku* znakomicie odsłania całą bezbronność małego człowieka wobec okrutnych działań militarnych i wyrachowanych decyzji politycznych. Przypomina nam, że od pokoju do wojny wcale nie tak daleka droga – banalne, codzienne życie kilkuletniej Poliny, pod wieloma względami tak podobne do codzienności przeciętnego polskiego dziecka lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX wieku (my również żuliśmy gumy Turbo, piliśmy soki rozrabiane z wodą i biegaliśmy bez nadzoru dorosłych po podwórkach), właściwie z dnia na dzień zamieniło się w koszmar. Co więcej, książka zachęca nas, by zastanowić się nad sensem życia, wartościami, którymi kierujemy się na co dzień, oraz nad własną tożsamością (szczególnie w kontekście „swój – obcy"). Jest więc pozycją ważną, bo aktualną pomimo upływu czasu.

Aneta Strzemżalska

eprasa.pl 4e2336049b

Pesymistyczna wizja czy rzeczywistość?

Juliusz Ćwieluch, Mirosław Różański, *Dlaczego przegramy wojnę z Rosją*, Wydawnictwo Znak Horyzont, Kraków 2018

Na rynku wydawniczym ukazał się wywiad rzeka Juliusza Ćwielucha z generałem Mirosławem Różańskim. Książka składa się z dwóch części o wymownych tytułach: *Słabość* i *Zamęt*, które charakteryzują główne przesłanie publikacji. Bo choć książka w tytule wprost odnosi się do Rosji, wskazując to państwo jako najważniejsze i bezpośrednie zagrożenie dla Polski, to kwestia ta nie jest jedynym omawianym podczas wywiadu zagadnieniem. W trakcie odzwierciedlonej na ponad trzystu stronach dyskusji pojawia się wiele dodatkowych wątków, których wspólnym mianownikiem jest bezpieczeństwo Polski, a właściwie jego brak.

W tym zakresie rozmówca Ćwielucha nie jest przypadkowy. Mirosław Różański jest bowiem generałem broni, żołnierzem, który przeszedł kolejne szczeble kariery wojskowej, zostając w 2015 roku Dowódcą Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych. W wyniku sprzeciwu wobec polityki i osoby ówczesnego ministra obrony narodowej Antoniego Macierewicza szybko jednak odszedł z wojska, przechodząc w stan spoczynku. Ten fakt w oczywisty sposób wpływa na postrzeganie przez Różańskiego polityki i działań obecnych władz, co może go narazić na zarzut o brak obiektywizmu. Z przedstawionego bowiem przez Różańskiego obrazu wynika, że Polska jest państwem bezbronnym, a krajem rządzą pozbawieni jakichkolwiek kompetencji ignoranci. W jednym miejscu generał stwierdza wprost, że Antoni Macierewicz był najgorszym ministrem obrony w historii resortu, a prezydent Andrzej Duda, będący formalnie Zwierzchnikiem Sił Zbrojnych RP, całkowicie „oddał inicjatywę" w sprawach bezpieczeństwa i obronności. Różański ostro i wymownie dodaje, że „słabo mu się robiło", gdy wyobrażał sobie, że w przypadku wojny sprawujący obecnie władzę politycy będą odpowiadać i kierować obroną państwa polskiego.

Wojna, zagrożenie, Rosja to trzy kluczowe elementy, które spajają narrację Różańskiego w odniesieniu do głównego motywu, jakim jest bezpieczeństwo państwa polskiego. W tym aspekcie Różański jest z pewnością znającym się na omawianej problematyce rozmówcą. Lektura kolejnych stron tej publikacji w kontekście bezpieczeństwa państwa polskiego jest smutna, a konkluzje generała dotyczące stanu armii zatrważające. I można oczywiście uznać to podejście za konsekwencje konfliktu z obecnymi władzami i stronniczy stosunek generała, niemniej jednak omawiane sytuacje i procesy mają niezwykle poważny charakter. Różański podaje bardzo istotne fakty, wskazując na zaniedbania, brak decyzyjności

eprasa.pl 4e2336049b

i konsekwencji w działaniu. Generał podkreśla, że „każdy kluczowy obszar funkcjonowania armii w Polsce jest w trakcie niedokończonej reformy", i dodaje, że „armia nie jest już w stanie zapewnić bezpieczeństwa i nienaruszalności granic". Stawia również kategoryczną dla sił zbrojnych konkluzję mówiącą o tym, że „polskie wojsko trzeba by właściwie zbudować od zera".

To ostre stwierdzenie Różański próbuje uzasadniać w wielu miejscach swojej wypowiedzi, wskazując zarówno na problemy natury systemowej, jak również codzienne aspekty funkcjonowania sił zbrojnych. Jako symboliczny obraz tej sytuacji wskazuje na działania w zakresie planów z 1997 roku dotyczące zakupu nowego myśliwca bojowego. Prognozowano, że sto osiemdziesiąt samolotów będzie stanowiło liczbę konieczną do odparcia potencjalnej pierwszej fali ataku z powietrza. Na dalszych etapach realizacji projektu plany te jednak zmniejszano, ostatecznie wydzielając kwotę na zakup czterdziestu ośmiu samolotów, które pełną zdolność bojową uzyskały dopiero w 2015 roku.

Oprócz przykładów o charakterze strategicznym Różański pokazuje doraźne działania, które nie tylko trudno zrozumieć z wojskowego punktu widzenia, ale również obiektywnych przesłanek. W tym zakresie omawia przykład przeniesienia przez ministra Antoniego Macierewicza pod Warszawę batalionu czołgów leopard. Różański zarzuca decydentom, że najnowocześniejsze czołgi przeniesione zostały w miejsce całkowicie nieprzygotowane do tego pod względem logistycznym i organizacyjnym. Wskazuje, że wskutek tej politycznej decyzji doszło do spadku, a w zasadzie pozbawienia wartości bojowej trzech brygad.

Na kolejnych kartach książki Różański podaje wiele podobnych przykładów, uzasadniających kluczową hipotezę o fatalnym stanie sił zbrojnych i w konsekwencji bezbronności państwa polskiego. Wskazuje też na kolejny zarzut pod adresem polityków, określając go „ukrainizacją armii". Pod tym określeniem Różański opisuje proces charakterystyczny dla upadku ukraińskich sił zbrojnych, związany z brakiem myślenia i decyzyjności oficerów, oraz konformizmu wobec działań i pomysłów polityków. W opinii Różańskiego procesy te są również widoczne w polskiej armii, co bardzo destrukcyjnie wpływa na morale i profesjonalizm wojskowych.

W tym aspekcie Różański czyni zastrzeżenie, wskazując, że Polska ma świetnych żołnierzy, jednak są oni całkowicie zależni od polityków, pod których adresem kieruje krytykę i zarzuty. I choć raz przyznaje, że jako dowódca ponosi część odpowiedzialności, to jednak w wielu miejscach ją rozmywa i podkreśla, że wszelkie proponowane przez niego reformy i fundamentalne zmiany były hamowane przez czynniki polityczne.

W kontekście omawianego przez Różańskiego stanu bezpieczeństwa państwa polskiego, w wielu fragmentach książki pojawia się tytułowa Rosja i zagrożenie

eprasa.pl 4e2336049b

dla Polski płynące z tego kraju. Konkluzje w tym aspekcie również są bardzo pesymistyczne. Wprawdzie Różański wskazuje, że Rosja nie zaatakuje „nas ani dziś, ani jutro, być może również nie nastąpi to za pięć lat", ale w dalszych wypowiedziach można dostrzec jasno zarysowaną perspektywę takiego konfliktu, w którym w opinii Różańskiego nie mamy żadnych szans. Pod względem przewagi militarnej nie jest to z pewnością żadne zaskoczenie, jednak w kolejnych fragmentach książki można odczytać spore wątpliwości co do zobowiązań sojuszniczych, zarówno w wymiarze bilateralnym, jak również w ramach NATO, co z pewnością może napawać dużym niepokojem.

Ta konkluzja połączona z oceną zagrożeń dla państwa polskiego rodzi uzasadnione pytania i wątpliwości co do poziomu bezpieczeństwa Polski. Przedstawione przez Różańskiego zarzuty są bardzo mocne, jednak dopytywany przez Ćwielucha rozmówca w wielu miejscach zasłania się tajemnicą wojskową. Dlatego też niezwykle trudno zweryfikować daleko idące zarzuty wobec rządzących, na których podstawie zbudowana jest narracja Różańskiego. W zasadzie w odniesieniu do tej kwestii można w jednym zdaniu streścić całą książkę i jej przesłanie: stan polskiej armii jest fatalny, politycy prowadzą nieudolną politykę, zagrożenie ze strony Rosji jest bardzo duże, a konflikt z tym państwem prawdopodobny. Tak nakreślona perspektywa zderza się z narracją polityczną przedstawianą przez decydentów, wskazujących na sukcesy przeprowadzanych w armii reform i planów modernizacji.

Powyższe stanowiska rozmijają się całkowicie w kluczowej sprawie bezpieczeństwa Polski. Zachowując ostrożność wobec optymistycznych deklaracji polityków, pozostaje mieć nadzieję, że Różański pod względem publicystycznym wyostrza niektóre aspekty, prowokując tym samym dyskusję na temat niezbędnych i konsekwentnych działań realnie wzmacniających bezpieczeństwo państwa polskiego.

Piotr Bajor

Studium obezwładnionych obsesji

Juliusz Strachota, *Turysta polski w ZSRR*, Korporacja Ha!art, Kraków 2018

Turysta polski w ZSRR to piąta książka Juliusza Strachoty, pisarza z rocznika 1979. Wcześniej ukazały się jego zbiory opowiadań *Oprócz marzeń warto mieć papierosy*, *Cień pod blokiem Mirona Białoszewskiego* oraz powieści *Zakład nowego człowieka* i – ostatnia – *Relaks amerykański*, w której autor opowiedział o uzależnieniu swojego bohatera (i swoim) od alkoholu, narkotyków i xanaxu (leku psychotropowego stosowanego w leczeniu stanów lękowych).

W najnowszej książce Strachota również nie ucieka od trudnego tematu uwi-

eprasa.pl 4e2336049b

kłania w substancje, co pokazuje, że generalnie pisarz widzi potrzebę nazywania problemu uzależnienia po imieniu, opowiadania o nim i obnażania jego struktury. Jednak w *Turyście polskim w ZSRR* autor, poruszając ten temat, dochodzi do znacznie bardziej uniwersalnych wniosków i wielu – jak sam to określa – „złotawych myśli". W dość bezpretensjonalny i niepozbawiony dystansu oraz humoru sposób udaje mu się uchwycić istotę nie tyle samego uzależnienia od różnych specyfików, co w ogóle życia człowieka XXI wieku i paradoksów, które się z nim wiążą. Ale po kolei.

Bohater powieści i – jak można sądzić – równocześnie jej autor, opowiada o podróży do miast, krajów i krain byłego ZSRR: między innymi Uzbekistanu, Mołdawii, Naddniestrza, Turcji, Abchazji, Gruzji, Armenię, Litwę. Powodem kompulsywnego wyruszania w drogę jest przewodnik *Turystyka i rekreacja w ZSRR*, który znajduje na spotkaniu AA, a który widział już kiedyś u swojego ojca. Jego celem – człowieka, który z powodu nałogu zmarnował kilkanaście lat życia – staje się odwiedzenie wszystkich miejsc tam opisanych. Podróż ma mieć wymiar terapeutyczny, być pomocą w powrocie nałogowca do normalnego życia („Czy da się do tego życia jeszcze jakoś wskoczyć?"), a jednocześnie zamienieniem w prawdę kłamstw, których bohater dopuszczał się w dzieciństwie i młodości wobec swoich rówieśników. Zmyślał na potęgę, że był w wielu miejscach, których w rzeczywistości nigdy nie widział nawet na zdjęciach. Później sam gubił się w swoich historiach: „Chciałbym sprawić, żeby moje kłamstwa stały się prawdą i w ten sposób uruchomić życie od nowa". Trudno w powieści Strachoty (reportażu? gonzo?) nie dostrzec toposu podróży. Fizyczne przemieszczanie się na Wschód jest jednocześnie pretekstem do ucieczki przed zwyczajnym życiem, jest też wygnaniem, tułaczką trzeźwego ćpuna, jak i wędrówką w głąb siebie – swojego rodzaju podróżą inicjacyjną, wtajemniczenia we własne „ja" po przejściach, próbą odnalezienia swoich korzeni, określenia i ułożenia siebie na nowo.

Nie ma jednak w prozie Strachoty patosu na miarę wędrówki Homerowego Odysa, Dantego czy zesłańca Mickiewicza. Jest za to trafny, zabawny, ale i przejmujący w swojej prostocie opis rozproszenia i uwikłania człowieka XXI wieku: jego zmagań z nadmiarem (oczekiwań, możliwości, pracy, lęków z przeszłości, rzeczy do zrobienia, miejsc do zobaczenia, stron internetowych do przejrzenia, postów do zamieszczenia). Nie wiadomo, kiedy te wyjazdy bohatera stają się swojego rodzaju grą komputerową z kolejnymi „acziwmentami" do zdobycia. Coś, co miało uleczyć z nałogu, paradoksalnie samo staje się używką: „Za dużo już tych wycieczek. Straciłem punkty odniesienia. W ciągu roku byłem w dziesięciu krajach (…). Wydaje mi się, że to za mało, że będę zaraz bił się o jakieś rekordy, jak nałogowiec, ale to jednak za dużo".

W końcu bohater zdaje sobie sprawę, że „(…) na takie wycieczki to każdy głupi

eprasa.pl 4e2336049b

potrafi pojechać. (…) I że trzeba by rozpocząć codzienność w pełnym wymiarze, a nie pomiędzy dwiema wielkimi pasjami: substancjami i wycieczkami". Dochodzi do wniosku, że „nie będzie podróży, która ostatecznie uleczy, bo te wycieczki rozjątrzają tylko, a nie zaspokajają. Ciągle jest poczucie, że czegoś brakuje".

Sam Wschód jest w książce Strachoty uroczym, ale tylko tłem dla jego własnych przeżyć. Czytelnik znajdzie w niej kilka zabawnych miniobrazków, które oddają klimat byłych republik radzieckich, jak na przykład ten opisujący pożar marszrutki w drodze do Biszkeku w Kirgistanie czy rozmowa bohatera w hotelowym foyer w Samarkandzie z korespondentem wojennym z Islamabadu.

Jedyną rzeczą, która może drażnić w *Turyście polskim w ZSRR*, są nagromadzenia wulgaryzmów w niektórych fragmentach. Ich użycie może i jest zupełnie naturalne oraz uzasadnione gatunkiem, jednak Strachota wydaje się bardziej autentyczny w tych opisach rzeczywistości i własnych przemyśleń, w których liczba przekleństw na stronę spada. Poza tym to trafna, dobrze napisana, przejmująca i intymna historia człowieka, który wie, co przegapił, czego pragnął i że przeminie, a mimo to – a może właśnie dlatego – postanawia żyć dalej.

Martyna Słowik

Tanie podróżowanie, tanie pisanie

Stephan Orth, *Couchsurfing w Rosji. W poszukiwaniu rosyjskiej duszy*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2019

Książka Stephana Ortha, w przeszłości redaktora działu „Podróże" w „Spiegel Online", jest tekstem, który mógłby napisać niemal każdy, kto wybrał się w podróż do jakiegokolwiek kraju i umie choć trochę pisać. Niestety wbrew rekomendacjom znajdującym się na okładce książki nie jest to lektura „porywająca", „świetna", „doskonała", „nietypowa" oraz „pełna ciekawych anegdot". Wręcz przeciwnie. Jest nudnawa, sztampowa, bardzo przeciętna pod względem językowym, a momentami wręcz grafomańska. Dziwi również to, że polskie tłumaczenie tej pozycji ukazało się nakładem Wydawnictwa Uniwersytetu Jagiellońskiego w serii „Mundus", w której rzekomo ukazują się najciekawsze zagraniczne tytuły literatury faktu.

Żyłem w przekonaniu, że książki powinny pisać osoby mające w danej tematyce sporą wiedzę. Jak widać, byłem w błędzie. Stephen Orth, jak chwali się w nocie biograficznej, jest od 2004 roku zdeklarowanym miłośnikiem couchsurfingu. I nie ma w tym nic złego. Podróżowanie tanim kosztem, zatrzymywanie się u miejscowych i ich poznawanie jest

eprasa.pl 4e2336049b

świetną przygodą. Jednak niekoniecznie z każdej takiej podróży trzeba spisać książkową relację, tym bardziej jeśli znajomość danego kraju jest nikła, przeżyte „przygody" tak banalne, że czytanie o nich przyprawia niemal o ból, a język ich opisu nijak kojarzy się z poziomem dziennikarstwa jednego z najpoczytniejszych i najlepszych niemieckich tytułów prasowych, jakim jest „Spiegel". Autor dziwi się niemal wszystkiemu, co spotyka w Rosji. A to dziurawym drogom na prowincji, a to nonszalanckiemu sposobowi jazdy kierowców, a to kiepskiej jakości autobusom, a to poglądom Rosjan na temat prezydenta Władimira Putina i krajów Europy Zachodniej. Nie bardzo wiem, do kogo dziennikarz chciał zaadresować książkę. Dla osób mających jakiekolwiek pojęcie na temat Rosji jest ona zbiorem banałów, natomiast dla turystów, dopiero planujących się tam wybrać po raz pierwszy, pozycją, która nie dostarcza szczególnie wartościowej wiedzy.

W książce aż roi się od złotych myśli typu: „Zawsze lepiej jest dokądś pojechać niż czytać wiadomości – podróżujący głupiec jest mądrzejszy niż mędrzec, który zostaje w domu", „Na obramowaniu fontanny siedzą mieszczuchy, liżą lody i chłodzą sobie stopy w wodzie, a ich dzieci bawią się w berka. Woda jest pełna monet: dziesięć kopiejek, pięćdziesiąt kopiejek, jeden rubel. Jak to się mówiło? Jeśli chcesz dokądś wrócić, wrzuć monetę do fontanny". Ponadto autor dzieli się co jakiś czas innymi refleksjami, które są wyróżnione w tekście jako Prawdy (*sic!*). A to tylko kilka najbardziej osobliwych z nich: numer 1 – „Za gburowatą maską czasem kryje się zaskakujący urok", numer 3 – „Ci z Północnego Kaukazu wcale nie są takimi twardzielami, jak się wydaje", numer 4 – „Śmiertelna dawka soli dla dorosłego człowieka wynosi około dziesięciu łyżek stołowych czystej soli kuchennej. Jest wysoce nieprawdopodobne, by ktoś spożył taką ilość nieświadomie", numer 9 – „Próba wypłacenia na Krymie gotówki za pomocą zagranicznej karty może spowodować komplikacje", numer 12 – „Natura ma lepsze wyczucie estetyki niż człowiek".

Podtytuł książki brzmi *W poszukiwaniu rosyjskiej duszy*. Autor dał sobie dziesięć tygodni, żeby ją odkryć. Cóż, można mu pogratulować. Wielu profesorów i specjalistów od Rosji zajmuje się tym zagadnieniem całe życie i wciąż nie odważyłoby się sformułować jednoznacznego stanowiska w tej kwestii. Wywody Ortha są jak groch z kapustą. Autor pisze trochę o historii, polityce, przyrodzie, kulturze, lokalnych zwyczajach, podróżowaniu, religii – można rzec, że o wszystkim i o niczym; refleksje są na dość niskim poziomie. Dotykając niemal wszystkich tematów, *de facto* prześlizguje się po nich, nie zgłębiając żadnego z nich. Ponadto ogromnym minusem poznawczym refleksji Ortha jest to, że rozmawia tylko z Rosjanami, którzy znają język angielski (ewentualnie niemiecki). W związku z tym jego krąg dyskutantów jest zawężony do, niezależnie jak na to by nie patrzeć, elity intelektualnej tego kraju. Jednak już

eprasa.pl 4e2336049b

na początku książki chwali się, że opanował cyrylicę, dzięki czemu może sobie ją ćwiczyć w moskiewskim metrze, czytając takie słowa, jak: *biliety*, *kassa*, *aeroekspress*, *minimarket*, *produkty*, *awtosierwis*, *Gazprom* itp.

W książce znajdują się liczne fotografie wykonane przez autora, przybliżające czytelnikom ludzi, których poznał, i miejsca, które odwiedził. Szkoda tylko, że są one czarno-białe. A jeśli chodzi o te rzekomo nietypowe anegdoty i przygody, to na siłę można pod nie podciągnąć historię z Krymu, podczas której Orth skorzystał z przewozu czegoś na kształt taksówki, i myśli, że został porwany, lub jego obserwacje rosyjskich policjantów z drogówki na Kaukazie. W całym tym książkowym garze brakuje jeszcze tylko ludowych mądrości lokalnych taksówkarzy, którzy w prawie każdej byłej republice radzieckiej okazują się absolwentami uniwersytetów i co najmniej dwóch, jak nie trzech fakultetów, i którzy są wybitnymi ekspertami od polityki. Ale tego nie ma, gdyż autor nie mówi po rosyjsku.

Starając się znaleźć plusy podróży Ortha, należałoby wskazać na mnogość miejsc, które odwiedził. Oprócz Moskwy i Petersburga autor zawitał na Kaukaz, do Wołgogradu i Jekaterynburga, jak również na zajęty kilka lat temu przez Rosjan ukraiński Krym. Drugi etap podróży spędził w azjatyckiej części kraju. Te fragmenty książki są ciut ciekawsze, szczególnie pobyt we wsi Żarowsk, w której Orth zamieszkuje wśród wyznawców wspólnoty religijnej skupionej wokół Wissariona, uważającego się za współczesnego Jezusa. To jedna z licznych sekt, które powstały w Rosji w latach dziewięćdziesiątych, tuż po rozpadzie Związku Radzieckiego.

Cóż, pisać każdy może, trochę lepiej lub trochę gorzej. Pytanie tylko po co? Zatrważający jest fakt, że książka ta, jak i podobne, które autor napisał o swoich podróżach po Iranie i Chinach, okazała się bestsellerem w Niemczech.

Wojciech Wojtasiewicz

Miejsce po archipelagu

Siergiej Lebiediew, *Granica zapomnienia*, Wydawnictwo Claroscuro, Warszawa 2018

„Przerażało go nie tylko to, co zrobił: wystraszył się, gdy okazało się, że on, dowódca plutonu egzekucyjnego, jest nikim w teraźniejszym świecie; nie pluto mu w twarz, ale nikt już się go nie bał (…) starzec nie mógł znieść tego, że wyrządzone przez niego zło nie istniało już jako zło; on zabijał, a świat koniec końców zamknął, a potem otworzył oczy i wszystko wyglądało tak, jakby niczego nie było".

Powyższy cytat z debiutanckiej powieści Siergieja Lebiediewa doskonale obrazuje problem, przed którym autor stawia czytelnika, a przy tym znakomicie oddaje styl literacki będący wyrazistą cechą tego dzieła. Bo chyba każdy, kto zetknie się

eprasa.pl 4e2336049b

z tą książką, nie będzie miał wątpliwości, że jest to dzieło. I to dużego kalibru.

Lebiediew jest geologiem. Od lat zajmuje się badaniem śladów o procesach i formach życia, które ukształtowały naszą planetę. W *Granicy zapomnienia* dokonuje podobnej pracy. Bohater jego książki udaje się w głębiny własnej pamięci oraz niepamięci swojego narodu, by zadać pytanie: jaką tożsamość może mieć społeczeństwo, które w obliczu wielkiego zła zamknęło oczy, a potem znów je otworzyło, by wszystko było tak, jak gdyby nigdy nic… Problem dotyczy oczywiście pamięci o łagrach i całym radzieckim systemie represji. O ile Warłam Szałamow, Aleksandr Sołżenicyn i inni klasycy literatury „łagrowej" zwrócili uwagę świata na bestialstwo systemu i los jego ofiar, o tyle Lebiediew rozwija tę refleksję, pytając o pamięć i miejsce w świecie dawnych pracowników aparatu represji. Nie po to jednak, by ich usprawiedliwiać, lecz dlatego, że właśnie z ich perspektywy współczesna Rosja, która nie chce pamiętać o własnym cierpieniu, wygląda niezwykle groteskowo. Życie ludzi, których nikt się już nie boi, ale nikt też nie chce pluć im w twarz, jest właśnie największym znakiem zapytania postawionym nad kondycją współczesnego społeczeństwa.

Bohater powieści nie z własnej woli staje się dziedzicem komunistycznego bestialstwa i chcąc zmierzyć się z narzuconą mu schedą, wyrusza w podróż, podczas której próbuje zrozumieć działania, motywacje i uczucia, jakie rządziły przeszłością jego kraju. Udaje się do syberyjskiego miasta, będącego w zasadzie pozostałością po łagrze, którego więźniowie skazani byli na katorżniczą pracę w kamieniołomie. Miasto, nazwane na cześć jednego z wodzów rewolucji, jest obecnie trochę jak blizna czy też mgliste wspomnienie zła, które kiedyś się tu wydarzało.

Podróż bohatera jest próbą odpowiedzi na pytanie, skąd wzięło się rosyjskie zapomnienie (niepamiętanie, niepamięć). A z drugiej strony – jak głęboko ono sięga? Czy w tym, co pozornie zapomniane, kryją się prawdziwe więzi i struktury rządzące życiem społecznym do dziś?

Powieść napisana niezwykle bogatym, poetyckim językiem, a przy tym pojedyncze zdania i frazy są bardzo precyzyjne. Liczne metafory, dygresje, a także długie opisy przyrody, w tym skał i minerałów, nie wybijają z rytmu i nie przesłaniają najważniejszych wątków. Lebiediew wyraźnie sięga do klasyki rosyjskiej literatury, w której przestrzeń i przyroda są tak ważne dla kondycji ludzkiej. Tundra, mroźne syberyjskie pustkowia i wielkie rzeki, a gdzieniegdzie kamieniołomy, kopalnie, linie kolejowe prowadzące donikąd czy osady zbudowane z baraków – to wszystko tworzy przestrzeń, w której bohater szuka odpowiedzi na pytanie: jak można było zapomnieć? Wszystko tu dzieje się dość powoli, jakbyśmy zanurzali się w mglisty sen. Ta powieść potrafi wyczerpać czytelnika, nie da się jej połknąć podczas dwóch wieczorów. Jej sugestywność powoduje jednak, że to właśnie w momentach przerwy w czy-

eprasa.pl 4e2336049b

taniu nawiedzają nas obrazy i zdarzenia opisane przez Lebiediewa.

Granica zapomnienia została już doceniona na Zachodzie, zbierając entuzjastyczne recenzje w Niemczech, Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. „The Wall Street Journal" uznał ją za jedną z dziesięciu najlepszych powieści 2016 roku. Wygląda na to, że w Rosji zrodziła się kolejna literacka gwiazda. Lebiediew łączy pisarstwo najwyższych lotów z odwagą zadawania niewygodnych pytań. Znakomicie więc, że dzięki Wydawnictwu Claroscuro również my możemy poznać ten głos. Bo przecież pytania o granice zapomnienia, jego wpływ na kondycję społeczeństwa oraz sytuację żyjącej w nim jednostki dotyczą nie tylko Rosji.

Piotr Oleksy

Tajemnicza obecność

Julia Wizowska, Grzegorz Szymanik, *Długi taniec za kurtyną. Pół wieku Armii Radzieckiej w Polsce*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2019

17 września 1993 roku wyjechali ostatni stacjonujący w Polsce żołnierze byłej Armii Radzieckiej: pięciu generałów, dwunastu oficerów i czterech szeregowców. Na dziedzińcu Belwederu ówczesny prezydent Lech Wałęsa mówił, że „dopełniła się miara sprawiedliwości dziejowej". Tak się złożyło (ciekawe, czy to tylko koincydencja, czy może komuś zależało na podkreśleniu symboliki tego wydarzenia), że radzieccy żołnierze wyjeżdżali – z Dworca Wschodniego! – w pięćdziesiątą czwartą rocznicę napaści Armii Czerwonej na Polskę.

Po zakończeniu wojny stacjonujący na terytorium Polski żołnierze tak zwanej Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej (PGWAR) zadomowili się w naszym kraju na niemal pół wieku, tworząc swego rodzaju państwo w państwie. Trwająca trzy lata operacja wycofywania radzieckich/rosyjskich wojsk z Polski dała niejaki wgląd w militarną potęgę stacjonującej w naszym kraju armii – jak skrupulatnie wyliczają Julia Wizowska i Grzegorz Szymanik, autorzy reportażu *Długi taniec za kurtyną. Pół wieku Armii Radzieckiej w Polsce*, wyjechało wtedy „2981 transportów kolejowych złożonych z 22 934 wagonów, 56 tysięcy żołnierzy, 600 czołgów, 952 transporterów opancerzonych, 390 dział i moździerzy, 231 samolotów i śmigłowców oraz 90 tysięcy ton amunicji. Polska zyskała 70 tysięcy hektarów gruntów, 7854 nieruchomości, 3 hektary nabrzeży portowych, 23 kolejowe bocznice i 13 lotnisk".

A to przecież jedynie resztki tego, co pozostało z półwiecznego pobytu radzieckiej armii na polskiej ziemi. Same liczby nie dają jednak pojęcia o tym, jak głęboko obecność tych wojsk odcisnęła się w świadomości kilku pokoleń Polaków.

Radzieckie wojska w Polsce to nie tylko fakt historyczny o znaczeniu polityczno-

eprasa.pl 4e2336049b

-gospodarczym, nie tylko manifestacja siły radzieckiego imperium, nie tylko straszak dla państw z drugiej strony żelaznej kurtyny, a jednocześnie czytelny sygnał nadzoru Moskwy nad krajami demokracji ludowej – to także, w wymiarze ludzkim, indywidualnym, fenomen socjologiczny, na który nie można spojrzeć jednostronnie. Dlatego dobrze się stało, że o tym niemal półwiecznym radziecko-polskim uścisku „bratniej przyjaźni" opowiada dwójka autorów pozostająca w pewnym sensie po dwóch różnych stronach ideologicznej barykady – urodzonej w Kazachskiej SRR Julii Wizowskiej wpajano w dzieciństwie szacunek dla radzieckiego żołnierza, natomiast Grzegorz Szymanik wzrastał w atmosferze powszechnej pogardy dla armii radzieckiej (co istotne – gdy ostatni pociąg z radzieckimi żołnierzami opuszczał Polskę, autorzy mieli odpowiednio pięć i osiem lat, a więc ich stosunek do opisywanych wydarzeń jest wyłącznie zawodowy, a nie oparty na osobistych resentymentach). Te dwa różne punkty widzenia zostały ze sobą zderzone w rozdziale, który mógłby rozpoczynać książkę, a jednak został „schowany" wśród pozostałych reportaży – jest to rozmowa, którą autorzy toczą między sobą na początku 2017 roku, w dniu, gdy byłe radzieckie garnizony symbolicznie przekazywano oddziałom przybyłej do Polski armii amerykańskiej. Julia mówi wtedy o zapamiętanej z dzieciństwa narracji o radzieckim bohaterstwie: „Ja rozumiem, bo w tym wyrosłam. Była tylko jedna wersja historii. Mało kto interesował się, co jest za zasłoną. Ja też nic nie wiedziałam". Spierają się z Grzegorzem o sposób odczytania *Czterech pancernych i psa*. Grzegorz odpowiada jej wtedy, że to nie oni tak naprawdę się spierają, lecz jego ojciec z jej dziadkiem. „Albo ich ojcowie w nas. Duchy siadają na karku i szepczą do ucha. Czasem milkną, a często mówią przez żywych. Często ich głos jest głośniejszy".

Specyficzny dwugłos tych duchów, które przemawiają przez żywych, nadaje ton całej książce. Półwieczne współistnienie Polaków i Rosjan (oraz żołnierzy innych narodowości Związku Radzieckiego), niby oczywiste, choć owiane tajemnicą, zostało przez autorów przedstawione jako ciągłe współoddziaływanie na siebie dwóch sił. Najłatwiej, rzecz jasna, byłoby powiedzieć, że z jednej strony była to siła niszczycielska, okupacyjna, najeźdźcza, dyktatorska, z drugiej zaś poddańcza, represjonowana i doznająca upokorzeń. Tym bardziej, że książka jest ułożona na tyle przemyślnie, iż zaczyna ją rozdział poświęcony wspomnieniom Simy Triostanieckiej, urodzonej w 1924 roku rosyjskiej tancerki i aktorki teatralnej, która dorosłe życia związała z oddziałami stacjonującej w Polsce Armii Radzieckiej. Przedstawiona przez nią opowieść – w której przypomina okrucieństwa związane najpierw z ofensywą Rosjan w 1939 roku, a później z wypędzaniem Niemców z terenów Ziem Odzyskanych – niejako „ustawia" charakter dalszych reporterskich relacji.

Owszem – obecność radzieckich oddziałów w Polsce była naznaczona nie-

eprasa.pl 4e2336049b

ustającą serią, mówiąc eufemistycznie, naruszeń prawa, ale autorzy przypominają także, że radzieccy żołnierze, zwłaszcza ci najniżsi rangą, nie mieli w Polsce lekko: na porządku dziennym były częste przejawy „fali", serie samobójstw, pogarszające się warunki bytowe (zwłaszcza pod koniec obecności Rosjan w Polsce zaopatrzenie w jednostkach było fatalne) oraz, co zrozumiałe, niechęć lokalnej ludności. Owa niechęć bywała posunięta nieraz na tyle daleko, że bilans ofiar związanych z obecnością wojsk radzieckich w Polsce nie był jednostronny. Autorzy przypominają, że sytuacje takie były pewnym ekstremum – na co dzień obecność Rosjan była raczej niezauważalna, a niekiedy wręcz czerpano z niej profity. Mieszkańcy stref sąsiadujących z poligonami czy garnizonami zajętymi przez wojska radzieckie potrafili doraźnie wykorzystywać tę obecność – między Polakami a Rosjanami kwitł handel wymienny, który jeszcze dziś w niektórych regionach wspominany jest z rozrzewnieniem (podobnie zresztą jak szaber w opuszczonych przez Rosjan jednostkach). Ta pokątna symbioza gospodarcza pozwalała – zwłaszcza mieszkańcom zapóźnionych gospodarczo regionów – zrekompensować sobie przedsiębiorczo inne związane z obecnością Rosjan straty.

Nie ulega wątpliwości, że dziś w świadomości zbiorowej ocena tamtych czasów nie jest już tak radykalna jak kiedyś. Pierwszym powodem jest zacierający złe wspomnienia czas, drugim zaś – swego rodzaju „ocieplanie wizerunku", za który w pewnej mierze odpowiada nagrodzony Złotymi Lwami na festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni w roku 2008 film Waldemara Krzystka *Mała Moskwa*. Ten oparty na faktach melodramat opisuje historię romansu żony radzieckiego żołnierza z polskim podoficerem. Tragicznie zakończonym romansem żyła swego czasu cała Legnica, grób nieszczęśliwie zakochanej kobiety do dziś jest w mieście jednym z najbardziej rozpoznawalnych punktów. Wizowska i Szymanik wracają do tej historii, dopowiadając ważne szczegóły, które stawiają całą sprawę w nowym świetle, czyniąc ją jeszcze bardziej tajemniczą.

Tajemnica to zresztą słowo klucz, które najlepiej charakteryzuje kwestię obecności wojsk radzieckich w Polsce. Dość wspomnieć, że większość Polaków nie zdawała (i nie zdaje) sobie sprawy, że jednostki PGWAR stacjonowały nie tylko w zachodnim pasie Polski, ale były rozrzucone po całym kraju. Niewielu wie także o skali manewrów przygotowujących do ewentualnego ataku (którego zaniechano dzięki wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego). Jeszcze bardziej tajemnicza była zawartość niektórych garnizonów. Oto na przykład opis magazynu w Brzeźnicy-Kolonii: „Otoczone murem z potrójnych zasieków i przewodów wysokiego napięcia, z góry przykryte pagórkami porośniętymi sosnami i paprociami. Między ogrodzeniami czekały psy uwiązane na długich łańcuchach, miny sygnałowe, strażnice ze strzelcami wyborowymi, stanowiska z bronią maszynową. Teren pa-

eprasa.pl 4e2336049b

trolował specnaz. Dla spadochroniarzy, którzy próbowaliby dokonać desantu na bunkier z nieba, przygotowano rzędy naostrzonych metalowych słupów. Drogi prowadzące do bazy przykrywała siatka maskująca. Z tego wszystkiego tam na górze został tylko beton. Do magazynu z głowicami wchodziło się wtedy nie dziurą w ziemi, ale przez cztery pary stalowych drzwi, każde grube na pół metra. Odblokowywał je mechanizm hydrauliczny po wpisaniu kodu, zmienianego codziennie. Każdej hali strzegł alarm, a żołnierz w rozdzielni nadzorował dosłownie wszystko: ogrzewanie, chłodzenie i poziom fekaliów w zbiorniku. W każdym momencie mógł zablokować drzwi i uwięzić ludzi w środku".

W tak pieczołowicie chronionych bunkrach – o czym wiedziało tylko dwunastu oficerów radzieckich – przetrzymywano 168 ładunków jądrowych o łącznej masie 15 595 kiloton (dla porównania – zrzucony na Hiroszimę ładunek miał 15 kiloton).

Przeszłe i teraźniejsze tajemnice jednostek radzieckich zostały przez Wizowską i Szymanika w *Długim tańcu za kurtyną* dokładnie prześwietlone, ale istotą tej książki pozostaje coś innego, a mianowicie uczynienie ze stanu zawieszenia, jakim była obecność wojsk radzieckich w Polsce, historii pełnej indywidualnych, jednostkowych, ludzkich tragedii. I nie tylko tragedii.

Maciej Robert

Ostatni Jakuci

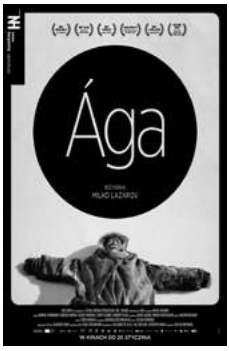

Ága, reż. Milko Lazarow, Francja–Niemcy–Bułgaria 2018

Pod koniec stycznia na polskie ekrany trafił prezentowany na ubiegłorocznym festiwalu Berlinale obraz bułgarskiego reżysera Milko Lazarowa *Ága*. To intymna i kontemplacyjna opowieść o dalekim zakątku Jakucji – o którym konkretnie: nieistotne. Akcja mogłaby toczyć się też w równie niedostępnych rejonach Kanady lub Grenlandii (co zresztą reżyser rozważał w pierwszej kolejności, ale za Jakucją przemówiły niższe koszty produkcji). To uniwersalna opowieść o ostatnich ludziach żyjących na obrzeżach cywilizacji – poza państwem. Niezależnych. Mimo tej uniwersalności *Ága* jest okazją, aby choć nieco podpatrzeć, czym są peryferia peryferyjnej Republiki Sachy, czyli Jakucji – ogromnej, dziesięciokrotnie większej od Polski krainy, gdzie żyje mniej ludzi niż w aglomeracji krakowskiej.

Bohaterowie filmu, Nanuk i Sednia, są inuickim małżeństwem w jesieni życia, które wraz z psem mieszka samotnie na lodowej pustyni, w promieniu wielu kilometrów nie ma innych ludzi. Jakucka para jest samowystarczalna: jedzą i noszą to, co upolują, mieszkają w jurcie. Czasem skuterem zajedzie do nich jakucki chłopak, przywożąc naftę i drewno – to ich jedyny łącznik ze światem zewnętrznym. Na-

eprasa.pl 4e2336049b

Materiały promocyjne dystrybutora: Nowe Horyzonty

nuk i Sednia są takim samym elementem przyrody jak przechadzające się nieopodal lisy czy renifery. Rozumieją przyrodę i żyją z nią w harmonii. Nocami oddają się snuciu opowieści, legend, opowiadaniu snów, granica między prawdziwym i wyobrażonym światem rozmywa się. Ich życie niczym nie zaskakuje.

Kiedyś żyło tu więcej Jakutów, ale zassało ich miasto. Figura miasta budzi niepokój, jest czymś przeciwnym przyrodzie, upiornym. Ich jurtę opuściła kiedyś córka, tytułowa Ága, a małżonkowie do dziś spierają się, czy należy jej wybaczyć – na przykład wyciągając z kuferka wspólne zdjęcie. Z córką nie utrzymują kontaktów. Ága porzuciła życie na lodowej pustyni, aby pracować w kopalni diamentów, symbolu ogałacania i plądrowania ziemi, z której na domiar złego zysk wyląduje w kieszeni jakiegoś oligarchy. Nanuk i Sednia nie muszą opuszczać swojej krainy, aby wiedzieć, że świat się zmienia – po niebie suną samoloty, a wiosna od kilku lat przychodzi wcześniej, rozregulowując odwieczny tutaj rytm życia (pewnie to oni i podobni odludkowie zapłacą rachunek, który przyroda wystawi społeczeństwom rozwiniętym za globalne ocieplenie). Mimo to małżeństwo nie zamierza porzucać tradycji. To opowieść o zderzeniu starego z nowym, o odchodzących światach, o ostatnich ich bastionach.

Czuć sympatię Lazarowa do jakuckiej pary, ale reżyser nie rozstrzyga sporu między starym i nowym. Bułgar nie uprawia historiozoficznej publicystyki, ma się wrażenie, że ważniejsza jest dla niego forma niż treść. A forma jest piękna. Królują długie ujęcia, ciągnące się kadry, poruszające zdjęcia – odartego ze skóry lisa czy monstrualnej przyrody, która dominuje nad człowiekiem. Film jest cichy, pada niewiele słów, a gdy mąż prosi żonę, aby zaśpiewała, Sednia śpiewa bez słów, samymi dźwiękami. *Ága* łączy w sobie estetyki różnych dyscyplin sztuki: od fotografii po muzykę, od poezji po malarstwo. Pełna smutku i żalu opowieść o konfrontowaniu się „ostatnich Jakutów" ze współczesnością dla jednych będzie usypiająca, dla drugich hipnotyzująca, ale nikogo zapewne nie pozostawi obojętnym na los tych, którzy żyją z dala od oka kamer.

Zbigniew Rokita

eprasa.pl 4e2336049b

REKLAMA

WROCŁAW MIASTO KRASNALI

Miasto jest szczególnie przyjazne dzieciom – mnóstwo zabawy zapewni im wizyta w Hydropolis, Humanitarium – parku rozrywki edukacyjnej, Kolejkowie – największej w Polsce makiecie kolejowej czy na licznych placach zabaw, ale najbardziej ekscytujące są zawsze poszukiwania niemal 400 krasnali rozsianych po całym mieście! Wrocławianie zaprzyjaźnili się z nimi i obecnie skrzaty są jednym z miejskich symboli. Raz w roku we wrześniu mają nawet swoje święto – Wrocławski Festiwal Krasnoludków. To prawdziwie bajkowa uroczystość, kilka dni radosnej, kolorowej fiesty, w której uczestniczą mali i duzi. Szczegółowy wykaz wrocławskich skrzatów znajduje się na stronie www.krasnale.pl.

VisitWroclaw.eu

Podróż do Wrocławia warto wcześniej zaplanować – tu nieocenioną pomocą służy Oficjalny Serwis Turystyczny Wrocławia visitwroclaw.eu, a w szczególności Informator turysty (visitwroclaw.eu/informator), który zawiera wiele praktycznych wskazówek dotyczących wizyty w mieście. Na bieżąco na nurtujące turystów pytania odpowiada także chatbot na facebookowym profilu Visit Wroclaw (@visitwro). Dużym udogodnieniem w zwiedzaniu jest także Wrocław Tourist Card, która pozwala zwiedzać najważniejsze atrakcje miasta taniej. Wrocław Tourist Card to także specjalna oferta na usługi transportowe (w tym komunikację miejską) oraz rabaty w najciekawszych punktach gastronomicznych i noclegowych we Wrocławiu.

eprasa.pl 4e2336049b

REKLAMA

EUROPEAN BEST DESTINATION 2018
WROCŁAW

Czy wiesz, jakie miasto w Polsce zamieszkuje ponad 400 krasnali?

visitWroclaw.eu

The Official Travel Guide

W numerze między innymi:

Grzegorz Motyka: Janowi Pawłowi II bardzo zależało na pielgrzymce na Ukrainę i na beatyfikacji biskupów greckokatolickich, wyraził wtedy też nadzieję, że nadejdzie taki moment, kiedy metropolita Andrzej Szeptycki zostanie wyniesiony na ołtarze.

Wojciech Górecki: Co łączy armeńską rewolucję Nikola Paszinjana, uliczne akcje w Gruzji oraz burzliwą demonstrację w azerbejdżańskiej Gandży? To, że wszędzie siłą napędową byli ludzie młodzi i bardzo młodzi, którzy w pełni ukształtowali się, a często nawet urodzili już we własnych niepodległych państwach. Którzy znają ZSRR jedynie z rodzinnych przekazów, filmów i książek, szkolnych podręczników. Zmiana pokoleniowa na Kaukazie Południowym stała się faktem.

Anna Głąb: Moskwę otaczają coraz szerzej różnego rodzaju „pierścienie". Jest znany turystom architektoniczno-historyczny Złoty Pierścień, są coraz bardziej oddalane od centrum pierścienie obwodnic stolicy, jest też swoisty i mało chlubny pierścień – wysypisk śmieci, a w przyszłości także ich spalarni.

Kolegium
Europy Wschodniej
im. Jana Nowaka - Jeziorańskiego
we Wrocławiu

eprasa.pl 4e2336049b